JASKINIA BEATUSA

CZYLI

LEPIEJ NIEWINNIE CIERPIEĆ,

ANIŻELI ŹLE CZYNIĆ.

WZRUSZAJĄCA POWIASTKA Z ŚREDNIEGO WIEKU

DLA MŁODYCH I DOROSŁYCH.

Mikołów. Woj. Śl.
Drukiem Karola Miarki, Sp. Wyd. z ogr. por.
1924.

Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/jaskiniabeatusal0000dlam

Zamek Waldberg.

Bardzo to już wiele lat temu, jak w górach zwanych Czarnym Lasem, na jednym z wierzchołków okolony gęstemi drzewami, stał wspaniały i silny zamek zwany Waldberg. Okolica, w której się ów gmach znajdował, była prześliczną, a z wieży twierdzy roztaczał się szeroko i daleko cudowny widok. W zamku tym żył w owych czasach hrabia Henryk, wraz z swą żoną Teodorą, ostatni potomek zacnego rycerskiego rodu, który się znakomitymi czynami niejednokrotnie wsławił w dziejach ojczystych. Małżonka jego była wzorem wszelkich cnót niewieścich, pełną godności, a odznaczała się przytem cudowną urodą, oboje więc żyli w przykładnej zgodzie i zdala od hucznego zgiełku świata. Zaraz w pierwszym roku pożycia małżeńskiego obdarzył ich Pan Bóg synkiem, któremu na Chrzcie św. nadali imię Otona. Malec był pociechą rodziców, to też matka starała się o jego pobożne wychowanie i ukształcenie serca, ojciec zaś pragnął wcześnie rozwinąć jego rozum. Nie zaniedbywał go jednak wprawiać też

zawczasu w ćwiczeniach rycerskich, bo to p
ówczas było konieczną rzeczą. Tak płynął czas obojgu rodzicom w zaciszu domowem i śmiało można twierdzić, że na całym świecie nie było ludzi bardziej zadowolonych od Henryka i Teodory. Hrabia nie tęsknił wcale za hałaśliwemi rozrywkami, które na zamkach rycerskich były w owym czasie na porządku dziennym, lecz starannie unikał wszystkiego, coby mącić mogło ciszę i spokój domowy, od czasu do czasu tylko zapraszając do siebie, lub odwiedzając kilku sąsiednich panów. W ten sposób czas mijał spokojnie; gdy nadeszła wiosna i zazieleniły się pola i łąki, szła cała rodzina na przechadzkę, rozmawiając przytem o wszechmocności i potędze Boga, ucząc zarazem małego Otona poznawać i podziwiać Stwórcę w każdem najdrobniejszem stworzeniu. Wraz z latem przybywały również nowe, ciche a błogie rozrywki. Hrabia sam odwiedzał zawsze żniwiarzy, a często towarzyszyła mu żona wraz z synkiem. Nie było dla robotników większej uciechy, jak kiedy ich pan wśród pracy nawiedził; umiał bowiem z każdym uprzejmie porozmawiać, wypytywał się o ich stosunki domowe, z nim przyjemnie było podzielić się z każdą wesołą i smutną nowiną, bo u niego znaleźć mógł każdy zawsze zdrową i dobrą radę, a w danym razie i pomocy on nie poskąpił. Dla obojga rodziców sprawiało to prawdziwą rozkosz, gdy mały Oton złożyw-

szy przed nimi rączki, prosił ich o jakiś podarek dla ubogich dziatek wiejskich, które na polu zbierały kłoski. Matka brała wtedy chłopca na rękę i obsypywała gorącymi pocałunkami, a ojciec zawsze stosując się do życzenia, dziesięćkrotnie czynił zadosyć jego prośbie. Wieczorem w piękny dzień letni zwykli byli hrabstwo jeszcze długo siedzieć na balkonie zamkowym i podziwiać prześliczny widok, roztaczający się przed ich oczyma. Hrabia zwracał wonczas uwagę chłopca na cuda i piękność przyrody, mówiąc mu o Stwórcy, który to wszystko z niczego wyprowadził, tak mądrze urządził i utrzymuje, sprawiedliwie tem rządząc. Uczył go trwać w ufności ku Bogu, który tak jak całą przyrodą, tak samo mądrze rządzi losami ludzi. Lecz i jesień nowe, a odmienne sprawiała hrabiowskiej rodzinie przyjemności. Gdy już zebrano wszelkie płody z winnicy i z ogrodu, kazał hrabia zwołać wszystkich swych poddanych do zamku. Na obszernym dziedzińcu zamkowym kazał hrabia zwołać wszystkich swych poddanych do zamku. Na obszernym dziedzińcu zamkowym kazał zastawić ogromne stoły i tu zajęli miejsca świątecznie poubierani wieśniacy. Nie skąpiono ni jadła, ni napoju. Dziedzice rozmawiali uprzejmie z ludźmi, a mały Oton bawił się z dziećmi wieśniaków. Bawiono się swobodnie, bez żadnego przymusu, a gdy przy końcu uczty jeden ze starszych wieśniaków wzniósł według zwy-

czaju toast na zdrowie i pomyślność hrabiowskiej rodziny, szczerze i serdecznie wszyscy mu wtórowali. W zimie, gdy nadeszły długie wieczory, zabawiano się na pokojach zamkowych. Pięknym, ówczesnym obyczajem, zwykła Teodora zasiadać do kołowrotka, albo też przy dźwięku gitary śpiewała jakąś piękną pieśń, miała zaś głos prześliczny i grała prawdziwie po mistrzowsku. Hrabia natomiast, który zwykle znużony z polowania wracał, siadał w wielkiem poręczowem krześle i wyciągnąwszy nogi, grzał się przy kominie, opowiadając rozmaite historye albo z życia swoich przodków, albo z dziejów narodu, albo inne jakieś pouczające i wzruszające rzeczy, nie zaniedbując nigdy zbawiennych dla chłopca nauk, to mu stawiając przodków za wzór męstwa i pobożności, to znów zalecając miłość Boga i bliźniego, jako też troskę o zachowanie w czystości swego sumienia.

Chwile te spędzone w gronie rodziny miały dla hrabiego większy urok, niż wszelkie hałaśliwe uciechy świata. Poddani czcili też i kochali hrabstwo, bo byli uprzejmi i dobroczynni, a każdy gotów był za nich wszystko poświęcić, nawet życie oddać.

Ponieważ jednak na świecie tym niema stałego szczęścia, gdyż wszystko doczesne jest znikome, tak więc i na hrabiostwo przyszły dni smutku i utrapienia, przez które Bóg chciał ich doświadczyć.

Mode lata hrabiego Henryka.

Dawno już rościł sobie rycerz Dytrych z Felsenheim jakieś niesłuszne prawa do hrabiego Henryka, żądając od niego część jego bogatych posiadłości, a że hrabia nie chciał zadosyć uczynić jego niesprawiedliwym i nieuzasadnionym żądaniom, napadał i łupił jego majątek. Hrabia wtedy zbierając swoich poddanych, z bronią w ręku musiał strzedz swych praw. Każdym razem odpędził też wroga, tak iż ten nie był w stanie wyrządzić mu znaczniejszej szkody. Stało się jednak, iż od jakiegoś czasu zaprzestał Dytrych swoich napadów, tak iż hrabia łudził się, iż raz na zawsze już od niego spokój mieć będzie. Omylił się jednak; Felsenheim bowiem rozdrażniony, iż dotąd ani razu mu się z hrabią nie powiodło, zaprzestał tylko chwilowo swoich napaści, a cały ten czas obrócił jedynie na to, aby zjednać sobie wielu podobnych mu do pomocy i znowu zjawił się w jesieni na gruntach hrabiowskich, paląc i wszystko niszcząc. Zaledwie się hrabia o tem dowiedział, posłał po swoich ludzi. Gdy się zebrali, przemówił do nich w gorących słowach: „W Imię Boże zebraliśmy się i w Imię Boże wyruszymy naprzeciw wrogowi, aby bronić naszych siedzib i dobytku waszego od niecnych rabusiów. Za pomocą Bożą wypędzimy ich znowu z posiadłości naszych, które Dytrych chce sobie niesłusznie przywłaszczyć.

Odważnie zatem, moi drodzy, idźmy przeciw wrogowi! Nie pierwszy to raz spotkać się z nim ma, nieraz on już poznał potęgę naszego ramienia, a i teraz nie wątpię, że Pan Bóg pobłogosławi dobrej sprawie i użyczy nam zwycięstwa.“ Gdy hrabia skończył swą przemowę, wszyscy podnieśli w górę miecze i przysięgli jednogłośnie, że za hrabiego i jego rodzinę ostatnią kroplę krwi są gotowi przelać i że go bronić będą do upadłego. Pochód wyruszył, hrabia pożegnał się czule z żoną, która się od płaczu nie mogła utulić, ucałował małego Otona i wsiadł na rumaka. Za chwilę cały orszak zniknął z oczu Teodory.

Jak bolesnem było rozstanie się obu małżonków, ten tylko pojąć potrafi, kto wiedział, jak gorąco się miłowali. Teodora czując niepokój w sercu, nie wiedziała w swem udręczeniu, co począć. Co chwilę biegła na szczyt wieży, chcąc się przekonać, czy nie ujrzy wracających. Jednakże wieczór już zapadł, a tu ani śladu; niespokojna przeto wróciła wieczorem do pokoju. Ułożywszy syna do snu, sama nie zdołała oka zmrużyć, najlżejszy bowiem szelest lub ruch w zamku budził w niej nadzieję, że to pewnie mąż wraca. Już było niedaleko północy, gdy naraz usłyszała odgłos trąbki stróża zamkowego. Czem prędzej pobiegła do okna, otworzyła je i wyjrzała na pole. O cóż to za rozkosz dla niej była, gdy przy świetle księżyca ujrzała przed bramą zamkową oddział ry-

cerzy, a na ich czele męża. Czem prędzej przeto porwała Otona, wołając: „Wstawaj Otonie, ojciec idzie!“ i szybko zbiegła z dzieckiem na podwórze. Zaledwie chwila minęła, a już małżonkowie znajdowali się w objęciach.

— Bóg użyczył nam zwycięstwa — rzekł hrabia wesoło — niech Mu za to będą dzięki stokrotne. Ufajmy Panu, droga małżonko, zawsze w potrzebach naszych, a z pewnością nas nie opuści. Wypędziliśmy wroga poza granice posiadłości naszych i sądzę, że nie poważy się on więcej nas napadać, a zarazem naruszać naszego spokoju.

Następnie hrabia zwrócił się do swych towarzyszów broni, pochwalił ich męstwo, podziękował im za przywiązanie i miłość, czego w tym dniu tak świetne złożyli dowody i zaprosił ich na skromny posiłek. Zastawiono tedy stoły, z kuchni przyniesiono potraw, z piwnicy napoju i każdy wziął się po całodziennych trudach do pokrzepienia ciała. Gdy się nasycili do woli i napili, pożegnał się z nimi i pozwolił im powrócić do domu, kilku tylko zostawił w zamku dla straży. Potem udał się wraz z małżonką do swych pokojów, a zaledwie usiadł, przystąpiła doń Teodora z czarującym uśmiechem na twarzy i pokazując mu własną ręką wyhaftowany widok zamku i okolicy Waldbergu, rzekła: „Oto patrz, kochany Henryku! Chciałam ci tę moją robotę złożyć w darze w dniu twych imienin, lecz teraz nie mo-

głabym z nią dłużej czekać, tak się ucieszyłam z twego szczęśliwego powrotu.“—Hrabia przyglądał się długo robótce żony, potem odrzekł głęboko wzruszony: „Droga Teodoro! jak ty zawsze tylko myślisz o tem, jakby mi jaką radość sprawić.“ Długo jeszcze przyglądał się podarunkowi, potem ukrył go pod ubraniem na piersiach. Następnie usiadła Teodora obok męża, a Oton u nóg rodziców, pieszcząc się z nimi. Hrabia opowiadał o wypadkach dnia dzisiejszego, a kiedy zeszła rozmowa na Dytrycha z Felsenheim, rzekł: „Muszę ci jednak wreszcie oznajmić przyczynę, czemu ten człowiek nie daje mi nigdy pokoju i tak wciąż napada moje posiadłości. Otóż urodziłem się w zamku Falkenberg na granicy czeskiej. Matki mej wcale nie pamiętam, bowiem odumarła mnie, gdym liczył zaledwie dwa lata. Ojciec wiecznie zawikłany w najrozmaitsze interesa, wciąż będąc na koniu, w utarczkach, czuł się niezmiernie szczęśliwy, iż jeden z jego przyjaciół, rycerz Luitpold z Mährenfels, wziął mnie w swoją opiekę. Miałem wtenczas dziewięć lat i kochałem bardzo mego ojca, to też wielce bolesne było nasze pożegnanie. Luitpold posłał po mnie swego starego, zaufanego służącego. Nigdy nie zapomnę słów ojca, któremi mnie żegnał: „Czyń zawsze dobrze i nie bój się nikogo — mówił do mnie. — Miej zawsze przed oczyma Boga, kochaj twoich bliźnich, staraj się być uczciwym i cnotliwym, nie mścij się

nigdy na nikim, a bądź miłosiernym względem ubogich."

Potem przycisnął mię raz jeszcze do piersi i odwrócił się szypko, aby ukryć łzy, które mu się gwałtem tłoczyły do oczu. W Mährenfels nie najgorzej mi się powodziło; przyjęto mię bardzo uprzyjmie i byłem jakby jego rodzonym synem. Luitpold dbał bardzo o moje wychowanie, nie szczędził niczego, aby mię tylko wykształcić, a nie zapominał także i o ćwiczeniach rycerskich.

Ćwiczenia te rycerskie były moją uciechą i wnet przewyższyłem innych pod względem biegania, jazdy konnej, rzucania oszczepem i władania mieczem. Liczyłem właśnie 19 lat wieku, gdy cesarz ogłosił wielki turniej, czyli zabawy rycerskie, na który zaprosił rycerstwo z całego państwa. Rycerz Luitpold widząc moją zręczność we władaniu bronią, namówił i mnie, bym w turnieju wziął także udział i złożył dowód mojej wprawy. Przystałem na to z ochotą, bowiem spodziewałem się przy tej sposobności spotkać z moim ojcem. Myliłem się jednakże, gdyż ojciec był wtenczas chory i musiał pozostać w domu. Rycerz Luitpold sprawił mi zbroje koloru stalowo-błękitnego, takiegoż koloru pióra miałem na hełmie i płaszcz atłasowy na ramionach. Rycerstwa zjechało się ogromne mnóstwo i już zdobyłem sobie kilka nagród, szło tylko jeszcze o pozyskanie ostaniej i najpiękniejszej. Był to krzyż

złoty na podobnym pięknym łańcuchu z napisem: „cnocie i waleczności.“ Nagrodę oną postanowiłem na każdy sposób zdobyć, więc na dany znak, poleciwszy się Bogu, stanąłem na placu. Przeciwnikiem moim był rycerz olbrzymiej postaci w czarnej zbroi i na czarnym koniu. Wszczęła się między nami zacięta walka, czarny rycerz miał bowiem niezmierną siłę i raz już byłby mię nawet wysadził z siodła — gdy wtem odsłonił się zanadto, z którego momentu skorzystawszy, powaliłem go na ziemię. Radosne okrzyki zgromadzonych widzów oznajmiły więc moje zwycięstwo. Pokonanym zaś rycerzem był Szczepan z Eulenburg, którego zamek dziedziczny leżał niedaleko Falkenstein. Dostałem upragnioną nagrodę, podała mi ją najpiękniejsza z dziewic na purpurowej poduszce, a dziewicą tą ty byłaś, moja kochana Teodoro! Widziałem cię wonczas pierwszy raz w życiu i olśniła mię twoja piękność, zapragnąłem cię przeto poznać bliżej. Rycerz Szczepan z Eulenburg tymczasem nie mógł przenieść na sobie poniżenia, którego doznał ode mnie na owych igrzyskach. Jeszcze bardziej zaś niż on, zapałał nienawiścią ku mnie ojciec jego; był to człowiek nadzwyczaj zajadły i mściwy, to też wtedy zaprzysiągł on naszej rodzinie zemstę i oświadczył, że nie spocznie, póki ostatniego z Falkensteinów nie zgładzi ze świata. Niedługo też po tym wypadku zebrawszy bandę rabusiów, na-

padł z nimi na zamek ojcowski. Ojciec mój chciał to wszystko zakończyć zgodnie, ale Eulenburg odpowiedział mu na to tylko szyderskim uśmiechem. Nie wypadało więc nic innego, jak szukać pomocy u przyjaciół. Zwrócił się ojciec mój nasamprzód o pomoc do Luitpolda. Ten zebrał natychmiast rycerzy i pospieszył z pomocą, w której to wyprawie i ja towarzyszyłem Luitpoldowi. Byliśmy już niedaleko zamku, gdyśmy naraz ujrzeli, że nieprzyjaciel właśnie zabiera się do jego zdobycia, przeto rycerz Luitpold na znak zbliżającej się pomocy kazał rozwinąć chorągiew biało-niebieską.

Wróg widząc nieznane sobie barwy, zmieszał się zrazu, poczem odstąpiwszy od oblężenia, rzucił się na nas. Wszczęła się więc krwawa walka, która trwała aż do wieczora. Gdy na zamku nas poznano, pospieszono nam z pomocą i tak wspólnemi siłami wywalczyliśmy sobie zwycięstwo, wszakże smutne ono było dla mnie, gdyż pomiędzy poległymi znalazłem i mego ojca, którego sam stary Eulenburg wyparł z konia. Gdy płacząc, siedziałem nad zwłokami tego, którego widzieć tak pragnąłem, zbliżył się do mnie Luitpold i zaczął mnie pocieszać. Wtem z wieży i z dachu zamku ukazały się płomienie, które przy sprzyjającym pożarowi wietrze poczęły się szerzyć z niesłychaną szybkością. Wróg znalazł sposób, że dostał się tajemną drogą do

zamku i w ten sposób zadowolnił swą zemstę. Pożar szerzył się tak gwałtownie, że o ratunku ani mowy być nie mogło. Tak więc naraz straciłem ojca i cały mój majątek. Wszystkie moje nadzieje na przyszłość poszły z wiatrem, który rozdmuchiwał pożar. Opiekun mój nie odstępował mnie ani na krok, pocieszał o ile tylko mógł i dodawał otuchy. Jakoż nad ranem postanowiliśmy powracać do Mährenfels. Przedewszystkiem chciałem jednak pogrzebać uczciwie ojca mego, ależ jakże się przestraszyłem, gdy nawet zwłok jego nie znalazłem. Trzy, cztery razy przebiegłem całe pobojowisko, szukałem wszędzie, zwłok nie było i do dziś dnia nie pojmuję, co się naonczas z niemi stało. Powróciłem tedy do Mährenfels i tu żyłem samotnie, zdala od wszelkiego towarzystwa. Tak minęła jesień, zima i wiosna cała, nadeszło lato, gdy razu pewnego przyszedł do mnie rycerz Luitpold i tak przemówił: Henryku, podjąłem się zastąpić ci ojca i zabezpieczyć ci przyszłość. Już też czas jest, byś sam o sobie zaczął myśleć, dlatego kupiłem ci w Szwabii piękny zamek rycerski i posiadłość zwaną Waldberg. Jedźże tam, obejmij ją i urządź się, a prowadź życie zgodne z honorem rycerskim. Poczciwy opiekun uścisnął mię przytem serdecznie, ja mu podziękowałem ze łzami w oczach, obiecując, iż wszystkie jego rady i napomnienia zachowam zawsze w pamięci i w kilka tygodni potem objąłem Waldberg w posiadanie. Tu

przybrałem imię zamku i znano mię odtąd jako rycerza Henryka z Waldbergu. Myślałem, że uniknę tym sposobem zemsty Szczepana z Eulenburga; w kronice rodzinnej jestem jednak jako ostatni potomek rodu Falkenbergów zapisany.

Nie brakowało mi niczego więcej do szczęścia, jak kochającej mię małżonki. Znalazłem ją w tobie, kochana Teodoro, i byłem najszczęśliwszym z ludzi, cóż, kiedy to szczęście mi wróg zatruwać począł. Rycerz Szczepan z Eulenburga wdał się z sąsiadami w różne zwady, przez co stracił swoje dziedzictwo i włóczył się ze swoją bandą po całym kraju, aż wreszcie osiadł tu nad Renem w pobliżu Waldbergu. Na jednej ze skalistych wierzchołków zbudował sobie zamek i nazwał go Felsenheim, sam zaś przybrał nazwisko Dytrych z Felsenheim. Zbogacił się wkrótce przez swoje zbójeckie wyprawy i niezadługo nabył na własność nieomal całą okolicę. Widocznie się też dowiedział, kim właściwie jest Henryk z Waldbergu, wnet bowiem począł napadać moje posiadłości. Przyjaciel mój i opiekun przeniósł się tymczasem do wieczności, przeto zniewolony byłem spuścić się na własne siły. Szczególnie odparłem go też aż do jego skalistej siedziby, lecz mimo to zjawia się on od czasu do czasu i mąci nam spokój. Sądzę jednak, iż dzisiejsza porażka odebrała mu na zawsze chęć do dalszych rabunków."

Napad.

Hrabia skończył swe opowiadanie. Tymczasem zgasł już ogień na kominie, północ dawno minęła, gdy hrabiostwo postanowili udać się na spoczynek; wtem z wieży odezwał się znak stróża nocnego na gwałt. Musiało zajść coś nadzwyczajnego, bowiem jeden ze służby wpadł do pokoju hrabiego i zawołał: Panie hrabio, jesteśmy zgubieni! Dytrych zebrał widocznie od nowa swych rycerzy i nie wiem, jakim sposobem dostał się z tyłu do zamku. Brama tylna już w płomieniach, a w podwórzu pełno wroga.

Hrabia ubrał się coprędzej w zbroję, pożegnał się z żoną i zbiegł czem prędzej na podwórze, gdzie już wrzała walka. Żona z dzieckiem drżąc z obawy o męża, została w pokoju. Widok hrabiego dodał odwagi walczącym, którzy poczęli już ustępować przeważnej liczbie nieprzyjaciół. Trudna to jednak była walka, hrabia bowiem miał zaledwo kilku żołnierzy, a Dytrych napadł go z całą siłą zbrojną — nierówne były siły, to też wnet otoczono ze wszystkich stron hrabiego, tak, że się bronić nie było można. Wydarto mu broń i związano ręce i nogi; gdy hrabiego związanego przyprowadzono do Dytrycha, tenże roześmiał się szyderczo, wołając: No i cóż, mój panie rycerzu ze złotym łańcuchem? Wtenczas zwy-

ciężyłyś wprawdzie, ale teraz jesteś w mojej mocy! Zamieszkasz obecnie we Felsenheim, a skromny i ciemny pokoik, który tobie wyznaczyłem, odbierze ci na zawsze ochotę sięgania po złote nagrody. Hrabia nic na to nie odrzekłszy, wzniósł tylko oczy w niebo, a potem w stronę komnat zamkowych, gdzie była jego żona i dziecko. Tymczasem uspokoił się szczęk oręża i wrzawa na podwórzu zamkowym. Ludzie hrabiego, albo polegli, walcząc mężnie w obronie pana swego, albo schronili się, widząc, iż pan ich w niewoli, a Felsenheim zajął zamek. Wszystko, cokolwiek miało jakąś wartość, rabowano i ładowano na wozy, hrabia zaś musiał patrzeć na to, jak dobytek jego przechodził w ręce rabusiów. Ale i to wszystko oddałby z ochotą, gdyby tylko mógł się dowiedzieć, co się stało z żoną jego i z Otonem, jako też czy udało się im ujść przed wrogiem; wszakże i tej pociechy mu nie użyczono, bo i któż mógł mu o tem powiedzieć? Wzdychał i płakał tak, że zdołałby kamienie wzruszyć. Stróże jego natomiast gorsi od głazu, urągali mu tylko i wyśmiewali się z niego. Wkońcu jednak znużony boleścią i całodzienną walką, zasnął. W kilka godzin zbudził go szorstki głos Dytrycha, który na swych ludzi wołał, by ruszyli w drogę. Wszyscy wsiedli na konie, hrabiego umieszczono na wozie, kilku zbrojnych otoczyło wóz dokoła i pochód ruszył. Gdy zjeżdżali z góry zamkowej na równinę,

straszny widok ukazał się oczom hrabiego, bowiem nad zamkiem pojawiły się kłęby czarnego dymu, a za nimi i płomienie. Hrabia nie mógł powstrzymać łez i nie był w stanie patrzeć dalej, jak jego zamek obracał się w perzynę. Począł się więc gorąco modlić do Boga, by mu dodał sił do zniesienia tych przeciwności, które jedna za drugą na niego spadały; Bóg miłościwy zlitował się wreszcie nad nim i zesłał na niego sen, który mu kazał zapomnieć o okropnościach dnia minionego.

Jaskinia Beatusa.

W czasach tych żył na wysokiej skale, wznoszącej się nad jednem z jezior alpejskich, pustelnik nazwiskiem Beatus. Przybył on tu w te okolice przed wielu laty, a nikt nie wiedział skąd przybywa. Był to starzec blizko 70-letni, poważny, o długiej, siwej brodzie, obliczu nakazującem szacunek. Czoło jego było pomarszczone, chód pełen powagi, tak, że wyglądał podobnie do patryarchy. Ubierał się zwyczajem pielgrzymów w długi, czarny płaszcz, przepasywał się powrozem, a przybycie jego w te strony nazwać można było błogosławieństwem Bożem. Tak dzieci jak i starsi szanowali i czcili Ojca Beatusa, a on względem wszystkich był zarówno uprzejmy i łagodny, z ochotą udzielał przychodzącym do

niego dobrej rady i tym sposobem zdołał sobie pozyskać zaufanie u wszystkich. Chatkę zbudował sobie w skale, chrustem i mchem ubezpieczył ją i zasłonił od burz. Obok chatki postawił kaplicę, tuż przy chatce założył mały ogródek, a tam miał podostatkiem wszystkiego, co mu do życia było potrzeba. Źródło u stóp góry dostarczało mu napoju, tylko jak go kto obcy nawiedził, stawiał przed nim puhar wina, które mu wdzięczni mieszkańcy doliny od czasu do czasu przynosili. Cały dzień pracował w ogródku, albo też robił koszyki z sitowia. Pod wieczór, póki słońce zupełnie nie zaszło, siadywał przed chatą i grywał na harfie. Tak więc wśród samotności, zdala od ludzi, był szczęśliwym, miał bowiem sam bardzo skromne potrzeby, a mógł jeszcze bliźnim dużo dobrego uczynić. Mimo to trapił onego starca jakiś ukryty smutek, który mu tem więcej dokuczał, im bliższym się czuł zgonu swego. Tęsknił zawsze za wypełnieniem jakiegoś tajemnego, długiego życzenia i gorąco się modlił do Boga, by spełnił to pragnienie, które go w tej samotności dręczyło.

I Pan Bóg wysłuchał gorące jego modły, nie chcąc, by ten czcigodny starzec zabrał do grobu zgryzotę i troski. Postanowił tedy w dobroci Swojej dać poznać pobożnemu pustelnikowi, że umie i chce leczyć zadane ludziom rany.

Było to w jesieni. W Szwajcaryi powracały już trzody z gór wraz z swymi pasterza-

mi, z pól zebrano już całoroczne plony, nadszedł dzień, kiedy mieszkańcy tej doliny, gdzie Ojciec Beatus miał swoją pustelnię, postanowili uroczyście, jak to co roku było zwyczajem, obchodzić święto powrotu do domu z gór i dożynki. Obchodzono to święto zwykle na łące obok domostwa Luitpolda, jednego z najzamożniejszych kmieci w tej dolinie. Już od kilku dni przygotowywano się wszędzie po chatach do godnego święcenia tej starodawnej uroczystości. W środku polanki wznosiła się potężna lipa, którą w ten dzień przystrojono różnobarwnemi wstążkami, obwieszono winogronami, jako też pozawieszano na niej moc czerwonych i pięknych jabłek. W cieniu lipy ustawiono stoły, krzesełka, ławki, a już wczas rano zeszli się tu gospodarze i gospodynie w świątecznych szatach, zabierając swe miejsca. Przyjemnie to było widzieć tych ludzi gwarzących z sobą, opowiadających sobie różne nowości, zdarzenia zaszłe w ciągu roku, a wkońcu przyszli do tego przekonania, że należy Panu Bogu za ubiegły rok gorące i serdeszne dzięki złożyć. Wśród gości znajdowała się również jakaś ubogo, ale przyzwoicie ubrana pani i bardzo miły chłopczyk, których gospodarz Luitpold z sobą przyprowadził. Nikt ich tu nie znał, wszyscy byli ciekawi, co to za ludzie, ale nikt nie śmiał pytać o to starego Luitpolda. Córka jednakże Luitpolda, Róża, opowiadała im na ucho, że ich wczoraj zdybał ojciec w górach

znużonych i głodnych, zabrał do swego domu i zaprosił na dzisiejszą uroczystość. Zachowanie się obcej pani podobało się wszystkim bardzo, była bowiem pełna niewymuszonej godności, a przytem najuprzejmiej z wszystkimi się witała. Chłopiec zaś wnet się zaprzyjaźnił z wiejskiemi dziećmi i bawił się z niemi tak wybornie, iż go serdecznie polubiły. Już się zebrali wszyscy, brakowało tylko Ojca Beatusa, a tenże przyrzekł również przyjść na pewno. Wyglądano go z niecierpliwością, wreszcie dojrzał go ktoś, jak schodził z góry. Wszyscy powstali, młodzi i starzy i wybiegli naprzeciw niemu. Na ścieżce, tuż obok kładki zabiegli mu drogę i poczęli wesoło witać czcigodnego staruszka: „Witajcie! witajcie! Ojcze Beatusie!“ wołali jednogłośnie i uchylali przed nim czapki, Beatus natomiast łagodny jak zawsze, przyjmował owe wybuchy radości z widocznem zadowoleniem.

Na znak dany przez Luitpolda przyprowadziła Róża i obcą panią z jej synkiem. Beatus poznał zaraz na pierwszy rzut oka, że to musi być jakaś nieszczęśliwa żona rycerza. Począł się też jej zaraz wypytywać, jakim sposobem dostała się tutaj, a kiedy ona opowiedziała mu o uprzejmości i miłosierdziu Róży, wziął dziewczynę za rękę, uścisnął ją i pobłogosławił. Beatus w towarzystwie wieśniaków przyszedł pod lipę, tu przypomniał przedewszystkiem obecnym, co to za cel ma dzisiejsza uroczystość i wezwał ich, by Bogu za dobrodziejstwa całego roku

dzięki złożyli. „Niema bowiem“, zauważył czcigodny starzec, „żadnej uciechy prawdziwej, jeżeli się przytem nie pamięta o Tym, który jest sprawcą wszystkiego dobrego i dawcą wszelkiego wesela. Chwalcież Go więc, dziękując Mu i proście Go, aby i nadal nam błogosławić raczył, a potem można się już cały dzień bawić.“

Jeszcze pobożny starzec nie dokończył swej mowy, a już uklękła cała gromada i zanuciła pieśń pobożną na chwałę Bożą, echo zaś roznosiło jej brzmienie po okolicznych górach. Wkońcu rzekł jeszcze Ojciec Beatus: „Panie, wysłuchaj modlitwy Twoich dzieci i użycz im Swego błogosławieństwa!“ poczem mu wszyscy odpowiedzieli: „Amen“ i powstali z ziemi. Następnie rozpoczęła się uciecha; zastawiono stoły wszystkiem, co Bóg dał przez rok cały. Na stole zjawiło się upieczone młode jagnię, pieczeń z kozicy, gruszki, jabłka i winogrona. Również i wina było podostatkiem. Wszyscy zasiedli do stołu i raczono się ochoczo; Ojciec Beatus zaraz od początku przysiadł się do nieznajomej pani i wdał się z nią w rozmowę. Począł ją wypytywać o rozmaite wypadki, czy bardzo strudzona podróżą i czy daleką drogę odbyła.

Otrzymawszy potakującą odpowiedź, zasmucił się poczciwy starzec, ale dodawał jej otuchy, pocieszał ją jak mógł, mówiąc, że Bóg doświadcza Swoje dziatki, ale je nigdy nie opuszcza. Tymczasem nadeszła gromada pasterzy i pasterek z muzyką, prowadząc pod lipę naj-

piękniejszą z krów, całą przybraną kwiatami. Wśród tańców przeciągnął pochód przed oczyma siedzących i zniknął potem za najbliższą chatą. Potem nadeszła znowu druga gromada: byli to ludzie zajmujący się winobraniem, ubrani zielono, a przepasani czerwonemi wstęgami. Dwóch w pośrodku niosło kosz napełniony winnemi gronami, i ci odtańczyli taniec, poczem zniknęli jak pierwsi. Następnie odezwała się trąbka myśliwska i nadciągnęła gromada strzelców alpejskich. Na przodzie szedł jeden, niosąc na plecach ubitą kozicę. I ci odtańczyli taniec narodowy, odśpiewali kilka stosownych piosnek i zniknęli. Wreszcie wszyscy zasiedli znowu za stołem, a nieznajoma widocznie wzruszona onem współczuciem, jakie jej wszyscy okazywali, jako też szacunkiem, którego miała tyle dowodów, chciała się też również przyczynić ze swej strony do uświetnienia uroczystości, wzięła przeto w rękę gitarę, którą z sobą miała w drodze i przy dźwięku jej zanuciła pieśń następującą:

Ten, co policzył gwiazdy na błękicie,
Co je prowadzi według mądrych praw,
I piasek zliczył, co w rzeki korycie,
Listki drzew, kwiaty i badylki traw:
On nie wypuszcza i ludzi z opieki,
Dba o nich zawsze, dba o nich na wieki.

Z natężoną uwagą przysłuchiwali się wszyscy onej prześlicznej pieśni, nie chcąc stracić ni jednego słowa, ni jednego dźwięku. Wzru-

szenie widać było na twarzach wszystkich, a na twarzy Beatusa rozlała się, jakby dziwna jakaś błogość, zdawało się, że duch jego gdzieś uleciał daleko, daleko, w odległe, zamierzchłe czasy, a wreszcie łzy mu się z oczu puściły. Gdy potem ludzie oddalili się, by dalszy brać udział w zabawach, a on sam na sam pozostał z nieznajomą, głośno i dobitnie powtórzył ostatnie słowa pieśni:

On nie wypuszcza i ludzi z opieki,
Dba o nich zawsze, dba o nich na wieki.

— Tak, czcigodny Ojcze — rzekła nieznajoma, a była nią Teodora, hrabina Waldberg, żona Henryka — każde z tych słów zawiera świętą prawdę. Od wczoraj to jeszcze lepiej czuję, niż dawniej. Modliłam się do Boga, nędzna i opuszczona, by mię nie opuszczał wraz z mojem dziecięciem i nie wątpię, że i nadal Bóg się zajmie nami. Pieśń ta nieraz mi już sił dodała w cierpieniach i opuszczeniu mojem, więc w każdej potrzebie będę ją też nucić z ufnością do Boga.

— Nie uwierzysz, szanowna pani — odrzekł na to Beatus — co za miłe wrażenie i na mnie pieśń ta wywarła. Niegdyś słyszałem ją często i nawet sam ją śpiewałem, dzisiaj budzi ona w mem sercu tylko smutne wspomnienia, a jednak napełnia i dziwną radością; zdaje się, że i ja ją kiedyś jeszcze weselej zanucę, niż dzisiaj. Pieśń ona pociąga mię dziwnie ku szanownej pani, jakoby pani córką moją była.

O jakżebym się czuł szczęśliwym, gdyby mnie kto w mym smutku czasem pieśnią oną rozweselił.

— Ja znowu czułabym się szczęśliwą — odrzekła Teodora — gdyby mnie ci dobrzy ludzie zechcieli przyjąć u siebie.

— Jakto, więc pani bez celu idziesz? — zapytał Beatus.

— Niestety — odparła smutnie Teodora — dziś wiem, gdzie jestem, ale jutro dopiero muszę sobie szukać ojczyzny i schronienia.

— No, toś ją znalazła — odrzekł Beatus — już się ja o to postaram — a powiedziawszy to, powstał i zbliżył się do gromadki wieśniaków. Krótko tylko z nimi rozmawiał, ale umiał im tak gorąco przemówić do serca, że z radością przystali wszyscy, aby nieznajomej przyjść z pomocą; obiecali jej zaraz wybudować chatkę i zaopatrzyć ją we wszystko, co jej potrzeba było do życia. Teodora nie umiała nawet znaleźć słów, by uczciwym onym ludziom wyrazić swe podziękowanie, rozpłakała się tylko z radości i łzy wylewając, uściskiem ręki dziękowała zacnym wieśniakom. — Tam w niebie — rzekła do nich — jest Ten, co wam to należycie wynagrodzi, bo ja tego nie mogę. Będę się tylko modliła za was, żeby was Bóg obsypał hojnie błogosławieństwy Swojemi. — I wesoło zakończyła się uroczystość. — Jeszcześmy nigdy — mówili starsi wieśniacy — nie zakończyli ładniej naszej uro-

czystości, jak tego roku. Postanowienie bowiem, jakie dziś przedsięwzięliśmy, jest koroną tego dnia. Sądzę, że i Bogu dzisiejsza uroczystość najlepiej się musiała podobać.

W wesołem usposobieniu rozeszli się wszyscy na spoczynek, aby nazajutrz wczas rano zabrać się do pracy około chatki dla Teodory.

Życie w zaciszu wiejskiem.

W kilka tygodni stała już chatka gotowa dla Teodory, do którego to czasu mieszkała wraz z synkiem w domu Luitpolda. Poczciwi wieśniacy zaopatrzyli ją we wszystko, co do gospodarstwa było potrzeba, żona zaś Luitpolda, Gertruda, zaopatrzyła jej śpiżarnię. Sam Luitpold zrobił własnoręcznie łóżka, stoły i inne potrzebne naczynia, wreszcie Róża, córka Luitpoldów, zaopatrzyła ich w bieliznę. Teodora serdecznie, ze łzami w oczach dziękowała poczciwym ludziom za ich dobroć, a zostawszy sama w chatce, upadła na kolana i zaniosła przed tron Boży gorące dzięki Panu za tak widoczną opiekę nad sobą. Wnet przyzwyczaiła się do nowego mieszkania i czuła się w niem szczęśliwą. Dzień za dniem upływał w spokojnej i błogiej samotności i czułaby się zupełnie zadowoloną, gdyby jeszcze nie budziły się od czasu do czasu wspomnienia daw-

nych dni i okropności, które musiała przeżyć. Ludzie ją kochali i szanowali, co też choć trochę przyniosło jej jakąś ulgę w cierpieniach, że przecież po tylu przeciwnościach znalazła się w pośród dobrych i życzliwych jej serc. Ilekroć jej przyszły na myśl ostatnie chwile spędzone w zamku Waldberg, dreszcz ją przenikał i zgroza; przypomniała sobie, jak łamiąc ręce, klęczała i modliła się z Otonem, żywo jej stawało przed oczyma ostatnie pożegnanie z jej ukochanym Henrykiem, obrona zamku, a wreszcie zacięta walka, która się toczyła na podwórzu zamkowem. Wreszcie usłyszała, jak nieprzyjaciel wpadł do komnat zamkowych; słysząc szczęk oręża, porwała dziecię, uciekła tajemnem przejściem przed wrogiem i wydostała się na pole tylną furtką. Widziała potem pożar zamku; na wpół przytomna schroniła się wtedy do kapliczki stojącej pod lasem, sama jedna wraz z dzieckiem i z gitarą, nie wiedząc, w jaki sposób ją zabrała z sobą, jako ostatnią pamiątkę z dziedzicznego zamku. Potem szła coraz dalej brzegiem Renu, aż wreszcie dostała się w te góry — tu siły jej ustały, byłaby już zginęła z głodu i ze znużenia, gdyby nie Luitpold, który natrafiwszy ich w lesie, zajął się niemi i przyprowadził do chaty swojej. Tu wreszcie znalazła za przyczyną Beatusa schronienie i ojczyznę. Dziękowała też gorąco Bogu za Jego miłosierdzie nad sobą i dzieckiem; ale z czasem zacierały się przed oczyma

jej duszy te smutne obrazy, do czego głównie się przyczyniło spokojne, ciche życie i życzliwość poczciwych górali. Oton też był zdrów i silny, a powoli wyrosł na ślicznego młodzieńca. Rozwijało się ciało, rozwijał się i duch i to właśnie było, co najwięcej trapiło biedną matkę, że nie była mu w stanie dać starannego wychowania, tak, jakby tego pragnęła. Matka uczyła go czytać i pisać i grać na gitarze, w czem też wielkie poczynił postępy. Stary Luitpold nauczył go robić koszyków i klatek, bowiem zajmował się tem zatrudnieniem w długie wieczory zimowe. Klatki były przeznaczone na sokoły, przeto w lecie razem z innymi strzelcami szedł w góry, wybierał młode sokoły z gniazd, ucząc je i wprawiając do polowania. Koszyki sprzedawał w okolicznych miejscowościach; matka umiała pięknie haftować i te jej roboty znajdywały między ludnością chętny pokup. Wszystko to razem nieraz przyniosło ładną sumkę. Razu pewnego wybrał się Oton ze swoim wózkiem naładowanym koszykami na sprzedaż do poblizkich wiosek. Wrócił późno już w wieczór, ale pieniędzy nie przyniósł; stało się to zaś tym sposobem: Oton sprzedał wszystkie koszyki i to nawet dość dobrze. Wracając wesoło do domu, cieszył się, że uwolni matkę na jakiś czas przynajmniej od kłopotów pieniężnych. Wtem, gdy tak zamyślony ciągnie swój wózek przez las, doleciał go jakiś płacz i narzekanie. Zrazu prze-

ląkł się, ale następnie przyszło mu na myśl, że może tam ktoś jest, co potrzebuje ludzkiej pomocy. Poszedł przeto w stronę, skąd go to narzekanie dochodziło. Pod sosną leżał młody człowiek, mający najwięcej 26 lat, obkładał sobie okaleczone nogi liśćmi i gorzko płakał. Oton zbliżył się do niego, zaczął go pocieszać i spytał, co mu brakuje. Na to odpowiedział ów nieszczęśliwy, że przez długą podróż pokaleczył sobie nogi, tak że dalej ani kroku zrobić nie może i nie pozostanie mu nic innego, jak w lesie umrzeć z głodu. Oton dał mu nasamprzód kawałek chleba, który miał w kieszeni, potem zaczął szukać stosownych ziół, obwiązał mu niemi pokaleczone nogi i przywiązał chustką. Nieznajomy myślał, że to sam Anioł z nieba mu na pomoc przybył, chciał mu całować ręce, ale Oton na to nie pozwolił, mówiąc, że on sam się czuje szczęśliwym, iż może mu być pomocnym i łzy jego osuszyć. Potem włożył go na swój wózek, aby go odwieść do wsi. Zrazu szło z tą jazdą jako tako, ale był to ciężar nad jego siły, to też musiał nieraz wypocząć, zanim do wsi zajechał. Tu prosił pewnego poczciwego gospodarza, żeby przyjął nieszczęśliwego na noc, co też tamten z ochotą uczynił. Pożegnał się następnie z nieznajomym, a na pożegnanie oddał mu jeszcze wszystkie pieniądze, które wziął za koszyki. Zanim mu ów nieznajomy podziękować zdołał, odbiegł szybko i popędził ku domowi.

Podczas dalszej drogi zrobiło mu się żal z powodu mateczki, wiedział bowiem, że w domu nie było ani pieniędzy, ani chleba. Rozpłakał się też, gdy opowiedział matce, czemu powrócił z próżnemi rękoma i począł ją przepraszać. Zacna Teodora jednak wcale mu tego nie wzięła za złe, a płacząc z radości, rzekła: Kochany Otonie! większej radości nie sprawiłbyś mi, choćbyś mi tysiąc talarów przyniósł do domu. Za te kilka groszy, coś je dał temu ubogiemu, pobłogosławi nam Pan Bóg stokrotnie i odda nam to z procentem; a choćby i to nawet się nie stało, to bądź pewny, że samo przekonanie, iżeś zrobił dobry uczynek, jest już nagrodą i przyjemnością nie do opisania.

Sąsiedzi dowiedziawszy się o dobrym uczynku Otona, wielce byli wzruszeni i mówili między sobą: Temu chłopcu będzie się dobrze powodziło w życiu, bo Pan Bóg wynagradza hojnie każdy dobry uczynek.

Tak płynęły lata za latami.

Ludzie w dolinie cieszyli się, że nieznajoma pani pomiędzy nimi w dolinie zamieszkała, bowiem pobyt jej był dla nich bardzo korzystnym. Otóż Teodora gromadziła koło siebie dziewczątka wiejskie i uczyła ich rozmaitych robót kobiecych i różnych rzeczy, z których można było mieć korzyść w przyszłości. To też ją wszyscy kochali za to i szanowali, a szczególnie starzy Luitpoldowie i córka ich Róża. Z nią obcowała też Teodora najwięcej,

a Róża była jej codziennym gościem. Największą jednak uciechę dla Teodory sprawiały odwiedziny czcigodnego Ojca Beatusa, rozmowy z nim, gdyż słowa jego zlewały zawsze jakby balsam pociechy na skołatane tylu doświadczeniami serce.

Zamek Felsenheim.

Podczas gdy Teodora z Otonem pędzili spokojne życie w zaciszu wiejskiem w dolinie Szwajcaryi, jęczał hrabia Henryk w ponurem i wilgotnem więzieniu na zamku Felsenheim, które mu rycerz Dytrych przeznaczył; znajdowało się ono na trzeciem piętrze w wieży zamkowej. Wązki otwór w grubych, kamiennych murach zrobiony, zastępował okno, a wpuszczał tylko tyle światła, że mógł przy niem poznać całą okropność mieszkania. Hrabia okuty był ciężkimi, żelaznymi łańcuchami na rękach i nogach, pożywieniem jego natomiast był tylko chleb i woda, a za posłanie służyła mu wiązka na pół zgniłej słomy. Wśród tego stęchłego i wilgotnego powietrza stracił hrabia zupełnie dawną, zdrową cerę i wychudł tak dalece, że niktby nie był w stanie go poznać. Osłabiony na ciele, większą część dnia musiał leżeć na swojem nędznem posłaniu; mimo to mężnie znosił nędzę i upokorzenie swoje. Nieraz mówił sam do siebie, płacząc: I cóż znaczą te wszystkie moje cierpienia, ten

niedostatek, wobec tej zgryzoty, co mię pożera, gdy pomyślę o nieszczęśliwym losie ukochanej mej Teodory i Otona? Chętnie bez szemrania chciałbym nosić te łańcuchy do końca życia mojego, bylebym tylko wiedział, że żona moja i Oton są przy życiu i że się im dobrze powodzi. Muszę jednakże znosić niestety podwójne męczarnie. Któż mię w tem smutnem położeniu pocieszyć zdoła, tylko Ty jeden, miłosierny Boże! Nie jeden raz pospieszyłeś mi już z pomocą w tylu udręczeniach żywota mojego, wierzę że położysz także i obecnie koniec moim cierpieniom; ufam Ci przeto i mówić nie przestanę, niech Ci będzie, o Panie, cześć, chwała i dzięki po wieki wieków. — Tak modlił się hrabia nieraz całemi godzinami, szukając w modlitwie uspokojenia dla skołatanej cierpieniami duszy. Drugą osłodą w tej samotności był widok Waldbergu, ostatnia robota żony jego, którą od niej dostał w darze właśnie tego samego wieczora, kiedy go Dytrych napadł w zamku. Hrabia zachował wówczas ten haft na piersiach i wraz z nim dostał się w moc wroga. Obrazek ten i łańcuch, który niegdyś dostał w turnieju i z którym się nigdy nie rozłączał, były też dla niego osłodą i pociechą. Kiedy był pewnym, że dozórca nie nadejdzie, wyjmował te pamiątki i oglądał je przy słabem świetle, które przez otwór w murze wpadało do jego więzienia. Wówczas budziły się w duszy jego rozmaite wspomnienia szczę-

śliwie przeżytych dni, przed oczyma duszy stawał obraz żony i dziecka, a łzy strumieniem z ócz mu się puszczały. Budziła się tęsknota, a z nią chęć wolności, zazdrościł ptaszkom, że mogą latać i z łatwością przenosić się z miejsca na miejsce; tak zeszły dwa lata, po upływie których Bóg mu zesłał ulgę w jego cierpieniach. Dytrych miał żonę, kobietę bardzo zacną i cnotliwą, której mimo łagodności i cnót, nie udało się dotąd nawrócić i zmienić usposobienia męża swego. Podobnie jak matka, odznaczała się łagodnością również córka Agnieszka! Obie te niewiasty dowiedziały się raz od dozórcy zamkowego, że wpośród więźniów znajduje się także hrabia Henryk z Waldbergu. Prosić za nim okrutnika, było niepodobieństwem, gdyż wiedziały, iż w ten sposób rozdrażniały go tylko, a zarazem pogorszyłyby stan uwięzionego. Stało się tedy, iż razu jednego wyjechał Dytrych na dłuższy czas, z czego niezwłocznie też skorzystała żona Dytrycha, Matylda. Udało się jej wyrobić u dozórcy, że wpuścił ją do więzienia hrabiego. Wprawdzie długo nie chciał przystać na to, bał się bowiem gniewu Dytrycha, ale gdy Matylda obiecała przyjąć całą winę na siebie, dał się przecież wreszcie nakłonić.

Zdziwił się mocno hrabia, gdy ujrzał wchodzącą do swego więzienia Matyldę. Ta wyraziła mu swoje współczucie, pocieszyła go i prosiła, by jej opowiedział dzieje swoich cier-

pień. Hrabia opisał jej całą swoją historyę, a przez to poruszył jeszcze bardziej do litości poczciwą niewiastę. Matka i córka rozpłakały się nad jego losem, a i dozórca stojąc przy drzwiach, udawał, że jest wzruszony; Matylda zaś rzekła do niego: Tą razą omyliłam się grubo na was; przecież to nie jest miejsce, gdzieby hrabia Henryk z Waldbergen mógł przebywać. Musi się to natychmiast zmienić, więc przyślijcie mi jutro waszą żonę, abyśmy wspólnie mogły temu zaradzić. — Żegnając się z hrabią, jęła go znowu pocieszać i rzekła: Wytrwajcie mężnie, panie hrabio, w waszych cierpieniach. Może to Pan Bóg wszystko jeszcze zmieni na lepsze, a może się też nadarzy jaka szczęśliwa sposobność, że odzyskacie wolność i otrzymacie na nowo wasze posiadłości. Teraz jednak zanośmy wspólnie modły do Boga, aby nas łaskawie raczył wysłuchać. — Nazajutrz zmieniło się smutne więzienie do niepoznania. Zamiast gęstej kraty, wstawiono duże piękne okno, powiększywszy przedtem otwór w murze, przez co było i więcej światła a zarazem i cieplej, następnie zdjęto hrabiemu ciężkie kajdany, wniesiono do izby stół i ławkę, w ten sposób pobyt w więzieniu o ile możności mu uprzyjemniając. Nadto dostał hrabia lepsze jedzenie i do każdego obiadu szklankę wina. Matylda kazała mu także zrobić nowy ubiór, Agnieszka zaś sama dwa razy na tydzień przychodziła zamiatać i myć podłogę

w więzieniu, przykrywszy następnie wilgotną posadzkę dywanikiem; dozórca patrząc na to, potrząsał tylko głową, a raz nawet wyznał otwarcie, że gdyby kiedyś Dytrychowi przyszła chęć zajrzenia do więzienia hrabiego, wtedyby z pewnością za to wszystkich wymordował. Na to jednak odrzekła mu żona jego: „Wątpię bardzo, ażeby to rycerz kiedy uczynił, gdyż nie pozwolą mu na to wyrzuty sumienia. Nie mógłby nawet patrzeć na hrabiego niewinnie cierpiącego, a zresztą, gdyby mu rzeczywiście przyszło to kiedy do głowy, to masz obok celi loch drugi, więc mógłbyś go natenczas tamże zaprowadzić.“

Handlarz sokołów.

Było to jakoś na początku wiosny. Dytrych siedział pewnego wieczoru przy kuflu wina, gdy mu dozórca zamkowy oznajmił, iż przed bramą stoi młody handlarz sokołów i prosi, by go wpuścić do wnętrza, chce bowiem rycerzowi pokazać swój towar. Ponieważ Dytrych zawołanym był myśliwym, przeto też sokolnika postanowił wpuścić.

Za chwilę wszedł do pokoju smukły, piękny młodzieniec i stanął skromnie przy drzwiach. Ubrany był w jasno-zielony kaftan, z odrzuconymi w tył rękawami, od którego pięknie odbijały się żółte spodnie ze skóry kozicy,

w ręku zaś trzymał czapeczkę z zielonem piórem ptaka górskiego. Głowę okrywały mu bujne kędziory ciemnych włosów, które mu aż na plecy spadały. Pod pachą trzymał gitarę.

— No zbliż się tu sokolniku — ryknął nań Dytrych — może się ty i twoje sokoły lękają światła? co? Jeśli tak, to wiedz, że ci potrafię w tem dogodzić. Mam ja tu podziemne sklepienia, tam ciemniej jest, niż w nocy na polu. Jak cię tam wrzucę, to będziesz póty siedział, aż oślepniesz.

— Co? co? co wy mówicie, panie rycerzu? — odrzekł sokolnik niezmieszany wcale tem odezwaniem się rycerza i uśmiechał się przy tem — ja gotów założyć się z wszystkimi, że w waszym zamku niema więzienia dla uczciwych ludzi, a ja do nich należę. Byłoby to przecież ubliżeniem honorowi rycerskiemu i ręczę za to, że gdybyście coś podobnego zrobili, nie moglibyście spać ani jednej godziny spokojnie.

— Milcz chłopcze! — krzyknął Dytrych i zmarszczył czoło. Właśnie przyszedł mu na myśl niewinny hrabia Henryk, którego już tak długo więził. Matylda i Agnieszka, które były rozmowie tej obecne, zamieniły ukradkiem spojrzenie, ocierając skrycie łzy płynące po licach. Sokolnik widząc, że się rycerz rozgniewał, starał się go ułagodzić, otwarł swą klatkę i zaczął pokazywać swe ptaki. Dytrych przyjrzał się sokołom z miną znawcy i zaczął prze-

bierać, ale trudno mu przychodziło z wyborem, tak piękne były sokoły jeden obok drugiego. Zdecydowawszy się wkońcu, rzekł do młodzieńca: Jutro spróbuję tego sokoła na polowaniu, jeżeli jest rzeczywiście tak dobrym, jak go ty zachwalasz, to ci sowicie zań wynagrodzę, ale jeżeli nie będzie dobry, to cię wraz z twoimi sokołami zamknę do klatki wykutej w skale. Dziś przez noc możesz zostać w zamku; dozórca się o to postara, ażebyś miał gdzie zanocować. Powiedziawszy to, rzucił się na łoże i począł ziewać, był bowiem śpiący! Dozórca zamkowy wziął sokolnika z sobą, by go zaprowadzić do swojej izby, a po drodze wypytywał: No jakże ci się podobał nasz rycerz?

— Na miłość Boską — odrzekł młodzieniec — jeżeli rycerz obchodzi się tak z ludźmi zupełnie obcymi, jak srogim on tedy być musi wobec więźniów swoich?

— No, tych on nawet nie odwiedza — odrzekł dozórca — bo widok niewinnych obudziłby w nim wyrzuty sumienia. Mnie oddał on nadzór nad więźniami, a ja mam dość czułe serce i nie chcę przeszkadzać zarówno pani jako też panience, gdy któremu z więźniów chcą przyjść z ulgą. Skoro rycerz wyjedzie, natenczas obie niewiasty ich odwiedzają, i zawsze coś ulżą w smutnej a niezasłużonej doli niewinnych ofiar. Nieraz mówiła już pani ze łzami w oczach: Ach, mój dozórco, cóżbym dała za to,

gdyby się to raz zmienić mogło. — A ja zwykłem na to odpowiadać: Tylko cierpliwości, szlachetna pani, z czasem to wszystko przyjdzie. Jabym się założył, że zjawi się tu kiedy jaki sokół, co przez te mury przejdzie i wszystko wyśledzi.

— A dużo tu macie więźniów — zapytał sokolnik, w którym pewnie czytelnik poznał młodego Otona.

— Oho! jest ich tu dosyć — odrzekł dozórca. — Jeżeli weźmiesz liczbę dni w roku przestępnym, a odejmiesz od niej jednę trzecią część, to masz cyfrę tych, co tu w tych lochach jęczą.

— Oj biedni i nieszczęśliwi ludzie! — zawołał Oton, wzdychając. — A długo to oni tam muszą pozostać?

— Póki ich śmierć od tych cierpień nie uwolni — odrzekł dozórca. — Rycerz nasz obawia się zemsty, więc ich nie uwolni nigdy. Jest tu jeden hrabia, co już 9 lat jęczy w więzieniu, a że dotąd jeszcze żyje, ma tylko do zawdzięczenia ufności, którą ma w Bogu i litościwym sercom zarówno dobrej mej pani, jako też jej córce, inaczej już dawno byłyby go robaki zjadły.

— A nie moglibyście mi powiedzieć — jak się ów hrabia nazywa?

— Co ci potem — odrzekł zapytany. — Pomódz mu i tak nie pomożesz, zresztą nie radziłbym nikomu nawet próbować oswobodzenia

żadnego z więźniów, bo strasznie się mścić umie rycerz Dytrych; u niego życie ludzkie tyle znaczy, co nic. Bawi się niem, jak dziecko piłką, rzuci ją w kąt i tam zostawia, aż nie zgnije.

Rozmawiając tak, przybyli do izby dozórcy, gdzie rozkazał żonie zrobić młodzieńcowi zimnej polewki z wina, a dla siebie przynieść dzban tegoż napoju. Ognisty trunek nie chybił skutku, powoli rozwiązał się dozórcy język, a Oton zręcznemi pytaniami potrafił zeń wyciągnąć wszystko, co wiedzieć pragnął. I tak opowiedział mu dozórca ku jego niemałej radości, że ojciec jego hrabia Henryk z Waldbergu żyje i znajduje się w więzieniu zamkowem. Późno już w noc było, gdy dozórca chwiejnym krokiem idąc, poszedł spać do komory, a Oton zabrał się do spoczynku, przedtem jednak modlił się jeszcze długo i gorąco do Pana Boga, by błogosławił mu i wsparł go w jego zamiarach.

Ocalenie.

Nazajutrz rychło rano wybrał się Dytrych na polowanie. Oton czekał już na niego przy bramie zamkowej i tu dał mu sokoła, którego sobie rycerz wczoraj wybrał. Przy głosie trąbek myśliwskich ruszył orszak w stronę lasu. Oton stał jeszcze chwilkę, patrzył za odjeżdżającym, a z piersi wyrwało mu się mimo-

woli głębokie westchnienie i rzekł: Okrutniku, tyś wolny! a ojciec mój w więzieniu, do którego zawziętość twoja go wprowadziła. — Z tej zadumy wyrwał go głos dozórcy, wołając go na śniadanie. Po śniadaniu poszedł dozórca odwiedzić swoich więźniów. Oton tymczasem siedział w jego mieszkaniu, rozmawiał z jego dziećmi, grał na gitarze, a potem znowu się zamyślił, zesmutniał i stracił przez to nawet apetyt do jedzenia. Po obiedzie poszła dozórczyni z dziećmi do poblizkiej wioski, a dozórca położył się spać. Oton tymczasem bawił się chwilę ze swymi sokołami, a wreszcie ukląkłszy, począł gorąco się modlić do Boga, żeby mu podał jaką myśl w celu oswobodzenia ojca z tego okropnego więzienia. Gdy się dozórca przebudził i ujrzał Otona tak pogrążonego w modlitwie, sądził, że tenże zasnął; nie mając zaś zatrudnienia, poszedł się przewietrzyć, jak to co dzień zwykle czynił, do poblizkiej karczmy. Oton widząc, że się dozórca oddalił, westchnął raz jeszcze do Boga, mówiąc: O dobry Boże, racz pobłogosławić moje przedsięwzięcie i daj, bym wyzyskał tę szczęśliwą sposobność, która mi się nadarzyła — poczem wziąwszy jednego z sokołów, również wyszedł, idąc ostrożnie zdala za dozórcą. Pomiędzy dwoma bardzo wysokimi murami, które zamek dokoła otaczały, wiodła wązka, mało uczęszczana i krzakami zarośnięta ścieżka. Dozórca szedł właśnie tą ścieżką, póki nie do-

szedł do końca muru. Tu była mała żelazna furtka; otworzył ją i przez wązki otwór wydostał się w pole. Oton poszedł za jego przykładem i za chwilę był też poza murami. Był to pagórek zarosły odwiecznemi dębami i sosnami, u stóp jego wił się Ren jak srebrna, wielka wstęga. Z tej strony widać było baszty zamkowe, a w nich mnóstwo zakratowanych otworów, stanowiących więzienia zamkowe. Co za okropność — westchnął Oton — w jednym z tych straszliwych więzieni jęczy biedny mój ojciec. Serce mi pęka z żałości, na samą myśl, iż będąc, drogi ojcze, tak blizko ciebie, nie mogę cię wyratować i niema nikogo, coby mi w tem mógł dopomódz. — Stał i patrzył tak, gdy w tem jakiś głos się poza nim odezwał: Hej! hej! przyjacielu, uważajno, żeby cię nikt ze zamku nie zobaczył. Wiesz ty, że takie wpatrywanie się w więzienia zamkowe może cię życie kosztować!

Oton przeraził się i spojrzał poza siebie. Ale wnet uspokoił się, gdy zobaczył drwala siedzącego na pniu zwalonego dębu, wraz z swym synem, posilającego się po pracy kawałkiem chleba. — Chodź lepiej bliżej — ciągnął dalej drwal — siądź nieco i odpocznij. Chętnie się z tobą podzielę kawałkiem chleba, a sądzę, że ci tu poza murami lepiej smakować będzie, niż pieczeń w zamku.

— Ach — odrzekł Oton, przystępując do

mówiącego — mnie i tak, gdziekolwiek będę, nic nie smakuje i smakować nie może.

— To źle — odparł drwal — w takim razie mocno cię żałuję. Jestem co prawda ubogi, alem szczęśliwy, a ten kawałek suchego chleba, na który w pocie czoła pracować muszę, smakuje mi lepiej, niż wyszukane potrawy, które tam w zamku jadają. Jestem zdrów, mam czyste sumienie, a to są najlepsze przyprawy. Cóż, nie wierzysz temu?

To mówiąc drwal, spojrzał w oczy Otonowi, zdziwił się i powstając, zawołał: Co? przecież ja was znam! przecież się nie mylę? Nie, nie mylę się, to wy jesteście!

Oton przeraził się bardzo, myśląc, że się zdradził. Ale Ruprecht wielce się ucieszył, zaczął go ściskać i opowiadać, że poznał w nim swego dobroczyńcę, który się w lesie nim zajął, kiedy chory i znużony, umierający z głodu nie mógł iść dalej. Ucieszył się stąd młodzieniec i prosił go, by mu opowiedział swoje przygody, a Ruprecht rozpoczął opowiadanie, jak następuje:

— Przez dwa dni pozostałem w chacie owego wieśniaka, do którego mię zaprowadziliście. Odpocząwszy tamże nieco, przyszedłem do siebie, potem wybrałem się w drogę, by szukać sobie służby. Długo, długo chodziłem, zanim przybyłem tu w te okolice. Był to dzień gorący, a pragnienie dokuczało mi bardzo. Na skraju lasu ujrzałem chatkę, która dziś do mnie należy; widzicie ją tam oto w do-

linie, wstąpiłem tamże i poprosiłem o wodę i kawałek chleba. Mieszkał tam wówczas drwal rycerza Dytrycha, imieniem Kuno, zacny i poczciwy człowiek. Udzielił mi on chętnie posiłku, a gdy odpocząłem, wdaliśmy się w następującą rozmowę. Wśród łez opowiedziałem mu smutne moje położenie; podobała się mu moja otwartość, a że był już starym i nie mógł sam podołać rąbaniu drzewa do zamku, przeto zatrzymał mnie przy sobie. Z czasem polubił mnie, wstawił się za mną do pana zamku i wyjednał mi miejsce drwala, a nadto dał mi swoją córkę, Teklę, za żonę. Po nim to odziedziczyłem tę chatkę, gdyż niezadługo zmarł stary poczciwina. Pan Bóg dał nam syna, tego tu oto, również Jerzego, istny portret Jerzego Kuna i żyjemy z Teklą szczęśliwi i zadowoleni. Niczego mi nie brakowało dotąd do szczęścia i o nic innego nie prosiłem Boga, tylko, żeby mi Bóg dał zobaczyć jeszcze kiedyś mego dobroczyńcę, abym mu mógł podziękować i wywdzięczyć się za jego dobre serce. I to Pan Bóg w dniu dzisiejszym wypełnił. Wyście położyli podstawę do mego obecnego szczęścia, to też zawsze was szczerze wspominałem i wiecznie wam wdzięczny będę. Ale powiedzcież mi przecież, co was sprowadza w te strony?

Oton nie miał powodu ukrywać przed poczciwym Ruprechtem powodu swego przybycia, to też opowiedział mu, że w sercu jego obudziła się tęsknota za uwięzionym ojcem

i ona go też skłoniła do tego, że poleciwszy matkę opiece Boskiej, wybrał się sam, przebrany za handlarza sokołami, w świat i chodził od zamku do zamku, by się dowiedzieć, gdzie się ojciec znajduje i postarać się o jego uwolnienie. Nadaremnie chodził jednak tu i owdzie, a jakieś przeczucie mówiło mu zawsze, że tylko we Felsenheim się znajdować musi. W czasie rozmowy bawił się Jerzy, syn Ruprechta, sokołem Otona.

— Podoba ci się ów ptaszek — zapytał go wreszcie młodzieniec — poczekaj, pokażę ci zaraz, co on jeszcze potrafi. — To mówiąc, posadził sobie sokoła na palcu, wskazał mu wróbla jednego z tych, co się gnieździły w oknach zamkowych, i rzekł: Zobaczysz, iż za chwilę ci tu zaraz wróbla przyniesie. — Sokół zrozumiał dany znak i puścił się za wróblem; biedny ptaszek zniknął gdzieś w otworze, a sokół poleciał za nim. Przez długi czas nie było widać sokoła, zniknął gdzieś w jednem z okien więziennych; wreszcie wyleciał, niosąc jednak w dziubie nie wróbla, ale haftowany widok zamku w Waldbergu, ten sam, który Teodora w ostatni dzień pobytu na zamku podarowała swemu mężowi. Oton poznał od razu, czyja to była własność, bo mu o tem nieraz matka opowiadała. Ucieszył się, że wreszcie odkrył więzienie ojca i podziękował za to Bogu. Teraz poczęli obaj z Ruprechtem przemyśliwać nad tem, jakby ojca uwolnić.

Naraz zawołał Ruprecht: Już mam sposób!
— Jaki? — zapytał Oton.

Ruprecht pobiegł czem prędzej do łodzi stojącej przy brzegu Renu, odwiązał linkę, na której łódź była przywiązana i przybiegł z nią do Otona.

Oton niezwłocznie zrozumiał o co chodzi i uściskał poczciwego drwala za jego pomysł. Następnie wydobył Ruprecht z kieszeni swego kaftana kawałek pergaminu i podał go Otonowi, aby na nim napisał kilka słów do ojca, co tenże natychmiast spełnił, umieszczając nań następujące wyrazy: Nad brzegiem Renu czeka zbawca, posłany od Boga. Gdy na wieży zamku uderzy dziesiąta, weź tę linę, którą ci przysyłam, uwiąż ją u okna i spuść się po niej; jest to jedyny sposób, aby cię uwolnić. Na dowód jednak, że jesteś hrabią Henrykiem z Waldbergu, przyślij przez tegoż samego sokoła łańcuch złoty, który dostałeś na turnieju cesarskim. Nie bój się, nie zginie on.

Kartkę przywiązał sokołowi do nogi a linkę okręcił około szyi i puścił go.

Sokół poleciał znowu do tego samego okna, gdzie był przedtem.

Przez cały czas, kiedy sokół nie powracał, klęczał Oton i gorąco się modlił. W kilka minut powrócił sokół i usiadł Otonowi na ramieniu, zamiast jednak linki miał na szyi złoty łańcuch. Oton wziął go i przycisnął do ust, potem rzekł do Ruprechta: Z łańcuchem tym

pójdę do cesarza. Wasz chłopiec przeprowadzi mnie przez las i nie wątpię, że mu pozwolicie. Będę prosił cesarza o pomoc dla odzyskania naszych posiadłości, a potem wystaram i wam wywdzięczyć się za to wszystko, co teraz dla mnie czynicie.

Ruprecht zapewnił go o swojej gotowości, i poszedł przysposobić wszystko do ucieczki. Nasamprzód zaopatrzył łódź w wiosła i żywność na kilka dni, wreszcie pobiegł uwiadomić żonę, że go przez jakiś czas nie będzie w domu. Gdy się już ściemniało, stanęli pod murem, wyczekując oznaczonej godziny. Oton modlił się ustawicznie, aby Bóg pobłogosławił ich zamiarowi. Wreszcie uderzyła godzina dziesiąta; przy słabem świetle księżyca ujrzeli, jak z okna na trzeciem piętrze spuściła się linka i po niej zaczęła się jakaś postać spuszczać na ziemię. Gdy hrabia Henryk stanął na ziemi, upadł naprzód na kolana, by w krótkiej, gorącej modlitwie podziękować Bogu za ocalenie. W tejże chwili, zanim Oton miał czas przyjrzeć się ojcu, dały się słyszeć głosy jakieś i kroki kilku ludzi. — Boże! — zawołał Oton — jesteśmy zdradzeni, zginęliśmy. Szybko, szybko uciekajcie hrabio w stronę rzeki; tam czeka łódź, ona was powiezie do Szwajcaryi. Jak tam przybędziecie, pytajcie się o jaskinię Beatusa i czekajcie tam na mnie. — Mówiąc to, pociągnął Oton szybko hrabiego za sobą i pędem puścili się z pagórka w stronę rzeki.

Ruprecht już był gotowym; hrabia skoczył tedy do łodzi i za chwilę byli już na środku rzeki.

— Niech was Bóg szczęśliwie prowadzi — zawołał Oton, poczem skrył się w nadbrzeżnych krzakach.

Napad na Felsenheim.

Gdy się już wszystko uciszyło i naokół nie było widać nikogo, wyszedł Oton ze swego ukrycia i z Jerzym puścił się w podróż nad brzegiem Renu. Droga wiodła przez wzgórza, pola, nad Renem dopiero zeszli w piękną, uroczą dolinę. Tu w cieniu odwiecznego buku spoczęli obaj wędrowcy, posilili się, poczem Jerzy wskazawszy mu dalszą drogę, pożegnał się i wrócił do domu. Oton ruszył przeto dalej ze swym sokołem na ramieniu ku stolicy. Przez całą drogę nie myślał o niczem innem, jak tylko o ojcu i o matce, jak się razem spotkają i nawzajem witać będą, a po kilku dniach podróży stanął wreszcie u celu. Gdy ujrzał zdala to wspaniałe miasto, ze wspaniałymi pałacami, wysokiemi wieżami, owo mnóstwo domów, dopiero wtedy przyszło mu na myśl, że trudno mu przyjdzie, jemu nieznajomemu biedakowi, dostać się na dwór cesarski. Nie tracił jednak nadziei, tylko śmiało wszedł do miasta; wypytawszy się o drogę do pałacu cesarskiego, przybył tam, ale jak przewidywał, tak się też stało;

odmówiono mu wstępu. W smutku swym szukał znowu ucieczki, jak to zwykł był czynić, w modlitwie i Bóg wysłuchał modłów jego. Na trzeci dzień po swem przybyciu do stolicy, chodził po ogrodzie cesarskim. Ciężko mu było na sercu i trapiły go różne smutne myśli; wtem zrobił się ruch w ogrodzie. Usunął się na bok i widział jak cesarzowa z kilku damami dworskiemi obok niego przeszła. Wśród ogrodu znajdowała się fontanna ze sztucznej skały i obsadzona była naokoło różnemi pięknemi roślinami. Panie zbliżyły się do fontanny, a zdjąwszy rękawiczki poczęły rwać tamże rosnące kwiaty. Oton przypatrywał się wszystkiemu z daleka; panie zaś, zrobiwszy bukiet, poszły dalej, wesoło pospołu gwarząc. Oton pogrążył się znowu w zadumie, chodząc zwolna po ogrodzie, aż wreszcie również nadszedł do fontanny. Wtem sokół, który dotąd spokojnie siedział mu na ramieniu, zerwał się, poleciał ku fontannie i przybiegł napowrót, niosąc coś świecącego w dziobie. Oton przyjrzawszy się uważniej, zobaczył, że trzyma piękny złoty pierścień wysadzony brylantami. Domyślił się zaraz, iż to jedna z pań musiała go zgubić przy rwaniu kwiatów. Czem prędzej więc pobiegł w stronę, gdzie poszła cesarzowa ze swoim orszakiem, ale cóż, pani już nie było. Wyszedł tedy z ogrodu, lecz zaledwie dostał się na ulicę, usłyszał, jak woźny ogłaszał, że cesarzowa zgubiła bardzo drogi pierścień i przyrzekła

znalazcy hojną nagrodę. Oton ucieszył się niezmiernie, wzniósł oczy ku niebiosom i podziękował gorąco Bogu, że się nim tak opiekuje. — Dzięki Ci, o Boże — zawołał wzruszony — że po raz wtóry już wybrałeś ptaka, ażeby był oswobodzicielem mojego ojca. Teraz sokół mój utoruje mi drogę do cesarza, a gdy się tam dostanę, przedstawię mu całą sprawę nieszczęśliwego ojca mego. — Cesarzowie przyjęli młodzieńca bardzo uprzejmie, Oton zaś klęcząc, oddał cesarzowej zgubiony pierścień. Cesarzowi spodobał się przystojny i dobrze wychowany młodzieniec, zapytał go więc, jakiej by łaski sobie życzył w zamian za odnalezienie pierścienia. Wtedy Oton przyklęknąwszy na jedno kolano przed cesarzem, złożył ręce na piersi i prosił o pozwolenie, by mógł cesarzowi opowiedzieć krótką historyjkę. Cesarz pozwolenia udzielił, a wtedy Oton stanąwszy na środku sali, począł mówić swym dźwięcznym głosem: W pięknej, czarownej dolinie mieszkał pasterz z trzodą swoją. Zajmował się gorliwie nią i strzegł jej pilnie. Gdy się owce pasły, siadał przy nich i jadł swój chleb, gdy one piły, pił i on z niemi z tego samego źródła. Lubiał swą trzódkę i strzegł jej od nieszczęść i przypadków. Nawzajem trzoda jego lgnęła do niego. Lecz dowiedział się o tem szczęśliwem, cichem pożyciu wróg w oddali mieszkający. Opanowała go złość szatańska, poszedł do lasu, zmówił sobie trzodę wilków i z niemi

wpadł do doliny, pomordował owce, a łąki zabrał na swą własność. Pasterza zaś porwał i daleko, daleko uprowadził z sobą, lata całe trzymając go w więzieniu strasznem, aż dopiero teraz udało się synowi pasterza, który tymczasem wyrósł na młodzieńca, oswobodzić ojca z długoletniego więzienia. Jest on teraz wprawdzie wolny, ale trzody jego, dobytek i łąki jego są jeszcze w rękach wroga.

Cesarz uśmiechając się przyjaźnie, zapytał Otona: I cóż to ma za znaczenie ta twoja historyjka, mój synu?

Wtedy zabłysła łza w oku Otona, zbliżył się do tronu cesarskiego i przemówił wzruszony: Ten pasterz, co spokojnie strzegł trzody swojej, to ojciec mój hrabia Henryk z Waldbergu, syn hrabiego Rudolfa z Falkenberg, który niegdyś na turnieju cesarskim otrzymał pierwszą nagrodę. Na znak, że mówię prawdę, składam ten oto łańcuch, na którym jest wyrażona korona cesarska. Ów wróg zaś, to rycerz Dytrych z Felsenheim, znany niegdyś pod nazwiskiem Stefana z Eulenburg, ten sam, który był niegdyś przeciwnikiem ojca mego w turnieju i od niego pokonanym został. — Potem opowiedział Oton historyę swego ojca; rozpoczął od chwili cesarskiego turnieju, a skończył na opowiadaniu, jak mu się udało oswobodzić ojca. Opowiadanie jego wszystkich wzruszyło, poczem rzucił się do nóg cesarzowi i błagał go, by przywrócił ojca do należnych mu

dawniej praw i posiadłości. Ale cesarz nie pozwoliwszy mu nawet dokończyć, zbliżył się doń, podniósł go z ziemi i rzekł: Bądź dobrej myśli, młodzieńcze! Przykro mi tylko, że dopiero teraz się dowiedziałem o tyloletnim nieszczęściu twego ojca. Przyczyny jednakże szukać tylko można w zmienieniu nazwiska. Lecz pomogę mu, zaręczam ci młodzieńcze; tobie zaś daję oddział zbrojnych ludzi i moje pełnomocnictwo, abyś sobie postąpił z wrogiem twego ojca, jak sobie na to zasłużył. Dobra własne możesz sobie odebrać, a z posiadłości Dytrycha zabierz tyle, ile uważasz, że potrzeba będzie na pokrycie wyrządzonych wam krzywd. Dam ci nadto patent cesarski, w którym przywracam ojca twego do dawnego nazwiska i do dawnych posiadłości dziedzicznych. A co do siebie, bądź pewny, że ci zawsze pozostanę życzliwym i dobrym monarchą.

Wszyscy obecni ucieszyli się, słysząc te słowa cesarza, a dostojna małżonka jego szczególniej się radowała i dziękowała Bogu, że przez zgubienie pierścienia Bóg sprawił tyle dobrego.

Nazajutrz przywdział Oton z rana wspaniałą zbroję, którą mu cesarz podarował i dosiadłszy konia, stanął na czele oddziału zbrojnych ludzi, przydanych mu na wyprawę przeciw Dytrychowi. Pod wieczór stanął ze swoim oddziałem we wsi i zaczekał do nocy. Korzystając zaś z nocnych ciemności, dostał się do

zamku tą samą tylną furtką, którą się zwykle dozórca wymykał do karczmy. Nikt w zamku nie dostrzegł, że się tam obcy, zbrojni ludzie dostali, aż dopiero, gdy się już uporali ze strażą zamkową. Dytrych siedział właśnie w komnacie, gdy jeden ze służby wpadł i oznajmił, iż jacyś rycerze zajęli zamek. Czem prędzej porwał za miecz i rzucił się na podwórze; nie mógł jednak nic podołać, bowiem natychmiast rzuciło się nań czterech żołnierzy, przytrzymali go i okuli w kajdany. Z zaciśniętemi usty i ponuro począł się Dytrych wpatrywać w twarz młodego dowódcy. Oton zaś to spostrzegłszy, zbliżył się doń i rzekł: Cóż Dytrychu? nie poznajecie mnie? Widzieliśmy się temu niedawno. Nie pamiętacie tego młodzieńca, co wam chciał sprzedać pięknego sokoła? Nazywam się Oton, a jestem synem Henryka z Waldbergu, któregoście przez 9 lat trzymali w więzieniu. Dzięki Bogu jest on już teraz wolny. — Usłyszawszy to Dytrych, począł się rzucać na wszystkie strony i klął okrutnie. Oton więc kazał go strzedz pilnie, a sam udał się do żony rycerza i córki Agnieszki. Przedstawiwszy się im kim jest, opowiedział jak mu się ojca udało wyratować. Wreszcie dodał, że zamierza Dytrycha zamknąć w więzieniu, w jednym z dalekich zamków położonych w górach i trzymać go tam póty, aż się zupełnie poprawi. Matylda i Agnieszka rozpłakały się wprawdzie, usłyszawszy ono postanowienie,

wkrótce jednak się pocieszyły, bo wiedziały, iż niema innego ratunku, aby naprawić długoletniego i zatwardziałego grzesznika, jakim był Dytrych. Potem odszukał Oton dozórcę zamku; tenże drżąc, stanął przed nim, bo spodziewał się, że go nie minie zasłużona kara. Oton zaś kazawszy sobie oddać gitarę, którą zostawił u niego, uciekając za ojcem, oddalił go ze służby, będąc przekonanym, iż jest pijakiem i niedbałym w poleconym mu obowiązku. Obiecał jednak pamiętać o jego żonie i dzieciach, zabezpieczając im zarazem utrzymanie. Przy tej sposobności opowiedział im dozórca, co zaszło owego wieczora, kiedy hrabia uciekł.

Wróciwszy z karczmy, szukał dozórca sokolnika, ale go nigdzie nie mogąc znaleźć, doszedł aż pod mury baszty, i jego to wówczas słyszał Oton nadchodzącego. Kiedy zobaczył linę spuszczoną z więzienia hrabiego, odgadł natychmiast, co się stało. — To też gdy Dytrych kazał mu na drugi dzień zawołać handlarza — bowiem wyszukany sokół bardzo się mu spodobał — oświadczył mu dozórca, iż się sokolnik upił i śpi; doradził przeto Dytrychowi, aby wcale nie płacił, a skoro się młodzieniec przebudzi, to go po prostu wyrzuci ze zamku. Dytrych, będąc człowiekiem łakomym i niezmiennym, zgodził się na tę propozycyę i według tego nakazał ze sokolnikiem sobie postąpić. O ucieczce hrabiego nie wspomniał nic dozórca. Dytrych nie odwiedzał więźniów, panie nie

miały jakoś czasu zajrzeć do hrabiego, przeto też w zamku nie wiedział nikt prócz dozórcy o ucieczce Henryka, aż dopiero Oton o tem wszystkich uwiadomił.

Uwolniwszy tedy młodzieniec wszystkich więźniów, którzy byli zamknięci w lochach zamkowych, udał się następnie do Ruprechta. Łatwo sobie wyobrazi każdy radość poczciwego drwala, gdy się o tak pomyślnem zakończeniu sprawy dowiedział. Oton w nagrodę za jego pomoc mianował go burgrabią zamkowym, poczem na trzeci dzień puścił się do Szwajcaryi, by zobaczyć i uściskać drogie swemu sercu osoby.

Spotkanie.

Już było dobrze po zachodzie słońca, kiedy drogą wiodącą ku jaskini Beatusa postępował jakiś pielgrzym w długiej, czarnej sukni, z sękatym kijem w ręku. Droga była przykra, jak wszystkie ścieżki górskie, ale podróżny spieszył się widać, bo już i noc zapaść wnet miała. Był już koło kapliczki, gdy wybiła godzina dziesiąta, a z chatki odezwał się męski głos, który przy dźwięku harfy nucił następującą pieśń:

„Ten, co policzył gwiazdy na błękicie,
Co je prowadzi według mądrych praw,
I piasek zliczył, co w rzek jest korycie,
Listki drzew, kwiaty i badylki traw:

On nie wypuszcza i ludzi z opieki,
Dba o nich zawsze, dba o nich na wieki."

Pielgrzym stanął jakby skamieniały i słuchał.

— Boże! — zawołał wreszcie wzruszony — co się ze mną dzieje? Zdaje się, iż wracają znowu owe szczęśliwe dni młodości, kiedym był jeszcze chłopięciem i nieraz wieczorem siedziałem przy ojcu, a on mi tę pieśń nucił!

Wkrótce potem otwarły się drzwi chatki i na progu ukazał się Ojciec Beatus. Spostrzegłszy pielgrzyma, powitał go uprzejmie i zaprosił do siebie. Za chwilę przyniósł posiłek, mówiąc: Naprzód odpocznijcie sobie i posilcie się, a potem opowiecie mi, co was do mnie sprowadza.— Gdy się pielgrzym posilił, począł opowiadać, co go tu w te strony przygnało. Jestem rycerzem Henrykiem z Waldbergu; dawniej posiadałem w Szwabii zamek, jeden z najpiękniejszych w całej okolicy.

Gdy to ojciec Beatus usłyszał, zmieszał się.

— Jakto? czy to być może? — pomyślał. — Czyżby to miał być małżonek onej nieszczęśliwej niewiasty?

Hrabia nie zauważył jednak zmiany w obliczu pustelnika, tylko opowiadał dalej, a łzy rzęsiste toczyły się mu po wybladłych licach, wreszcie zaś doszedł do chwili swego uwolnienia z więzienia i dodał, iż wybawca jego kazał mu szukać w Szwajcaryi jaskini Ojca Beatusa i dlatego tu przyszedł. — O gdybym jeszcze

mógł dożyć tego szczęścia i wreszcie mógł przycisnąć drogą moją Teodorę do serca. — Beatus pocieszał go, a potem zaprowadził do izby, gdzie mu przyrządził nocleg. Nazajutrz wczas rano, kiedy jeszcze spał hrabia, ubrał się, wziął kij w rękę i haft przedstawiający widok zamku Waldbergu, który hrabia przyniósł z sobą i udał się w drogę. Postanowił bowiem odwiedzić Teodorę. Biedna niewiasta była od dłuższego czasu chora; zasłabła wnet po odejściu Otona i dopiero przedwczoraj pierwszy raz opuściła łoże. Ludzie skoro się tylko dowiedzieli o jej wyzdrowieniu i po raz pierwszy ją ujrzeli przed domem, zbiegli się do niej i głośno wyrażali swą radość i uciechę. Martwiło ją tylko, iż tak długo nie było widać Otona z powrotem, a przyrzekł jej święcie, że z wiosną wróci do domu. Teraz wszędzie zakwitły już konwalie, a syna nie było widać. Ucieszył się też Ojciec Beatus, wiedząc, że jest w stanie przynieść jej jakąś weselszą nowinę. Teodora poczęła się przed nim żalić, że nie widać wcale jej dziecka z powrotem, a Beatus odrzekł jej na to, że lubo nie jest w stanie dać jej pewnej wiadomości o synu, mimo to zdoła ją z drugiej strony pocieszyć, gdyż może jej udzielić wieści o jej mężu. Mówiąc to, wyciągnął wyhaftowany widok Waldbergu i podał go hrabinie, mówiąc: Przyszedł do mnie jakiś pielgrzym, który chce kochanej pani wiele opowiedzieć i przyniósł mi tę robótkę.

Nie chciał jej Ojciec Beatus wszystkiego naraz opowiedzieć, bo wiedział, iż dla niewiasty, osłabionej długą chorobą, nie byłoby to zbyt dobrze. Poprosił ją natomiast, aby jutro o świcie wybrała się w towarzystwie Luitpoldów do jego pustelni, a tam się więcej ciekawych rzeczy dowie.

Na drugi dzień przybrał Ojciec Beatus swoją pustelnię girlandami z kwiatów. Henryk musiał przywdziać na siebie strój rycerski i dziwiło go to niemało, że pustelnik tak wszystko przystroił zielenią i kwiatami. Zapytawszy się przeto pustelnika, otrzymał następującą odpowiedź: Przed wami, panie hrabio, nie mam powodu ukrywać, czemu to zrobiłem. Nim słońce tu stanie nad tą pustelnią, zobaczysz tę, za którą tak dawno tęskniłeś, ukochaną przez ciebie Teodorę, twoją małżonkę. — Hrabia nie chciał wierzyć własnym uszom i począł drżeć od wzruszenia. Ojciec Beatus pokazał mu tedy drogę między górami, którędy miała nadejść Teodora. Hrabia stał z okiem utkwionem w tę stronę, wreszcie dojrzał ją postępującą pod górami w towarzystwie Luitpoldów i pobiegł naprzeciw niej. Poznał ją natychmiast: „Teodoro! — Henryku!“ — usłyszeli obecni i małżonkowie rzucili się oboje w objęcia, płacząc z radości. Dłuższy czas stali tak spojeni uściskiem, a gdy pierwsze wrażenie minęło, zapytał hrabia żony, gdzie Oton się podział. Wtedy Teodora opowiedziała,

jak przebrany za handlarza sokołami wybrał się w świat, by oswobodzić ojca z więzienia. Z opowiadania żony poznał hrabia, że ocalenie swoje winien własnemu synowi.

Małżonkowie ciągle zatopieni byli w opowiadaniu przygodów, od chwili, w której się rozstać musieli, gdy w dolinie ukazał się oddział cesarskich żołnierzy, a na ich czele młody jakiś rycerz. Ten młodzieniec wyprzedził wszystkich i w kilka minut był już w objęciach kochających go rodziców, był to bowiem Oton. Przedewszystkiem musiał szczegółowo opowiedzieć rodzicom wypadki swej podróży, a kiedy w opowiadaniu swojem doszedł do chwili, gdzie się znalazł na dworze cesarskim, zbliżył się do zgromadzonych i Ojciec Beatus, również przysłuchując się uważnie jego rozmowie. Wreszcie wyciągnął Oton wielki dokument na pergaminie i wręczając go ojcu, rzekł: Tu oto, ojcze kochany, jest list cesarski; przezeń przywraca cię cesarz w posiadanie całego dziedzictwa jako też imienia, które przedtem nosiliście, hrabiego na Falkenbergu. — Zaledwie słowa te wyrzekł, zawołał znowu Ojciec Beatus: Boże wszechmogący! Mój ukochany Henryk! Henryk! mój syn! Chodź synu, chodź w moje objęcia! O, co za rozkosz! Umieram z radości! Patrz, widzisz, oto ja jestem twój ojciec, Fryderyk, hrabia na Falkenbergu!

Któż zdoła opisać tę wzruszającą scenę. Wszyscy wśród łez poklękali, naprzód podzię-

kować Panu nad pany za to cudowne i niespodziewane spotkanie, potem usiedli na murawie. Ojciec Beatus pokazał im na potwierdzenie swych słów herb rodzinny, który zachował aż dotąd, a następnie im opowiedział swoje przygody. Otóż w czasie napadu na zamek jego nie był wcale śmiertelnie raniony i w nocy przyszedłszy do siebie, zerwał się, a widząc wspaniały ów gmach w płomieniach, sądził, że syn jego padł niezawodnie w boju, będąc zarazem przekonany, że tejże nocy stracił już wszystko, co miał na ziemi, dobra dziedziczne i jedynego syna. Postanowił przeto opuścić kraj rodzinny i udał się na pielgrzymkę. Zwiedził dalekie kraje, wreszcie osiadł tu w dolinie nad jeziorem i sądził, że tu jako pokutnik w Bogu i z Bogiem przepędzi resztę dni życia swojego. Bóg wszechmogący tymczasem zgotował mu przed śmiercią jeszcze taką radość, że mógł oglądać syna i wnuka i dowiedzieć się o odzyskaniu dziedzictwa swego. Wszyscy obecni, a szczególnie Luitpoldowie, cieszyli się z tego szczęśliwego spotkania, mówiąc między sobą: jak to cudownie Pan Bóg wszystko urządził, gdy nawet w najdrobniejszych okolicznościach widać tu wyraźny palec Opatrzności Bożej.

Trzy dni spędziła jeszcze rodzina hrabiowska w uroczej szwajcarskiej dolinie, wśród tych zacnych i poczciwych ludzi, wreszcie trzeba było pomyśleć o zabraniu się w drogę. Ojciec Beatus chciał koniecznie i nadal pozo-

stać w swojej pustelni, musiał jednak wreszcie ustąpić naleganiom zarówno syna i wnuka. Stary Luitpold musiał jednak dać mu przyrzeczenie, że przynajmniej raz w tygodniu zwoływać będzie ludzi na modlitwę do kapliczki. Smutne było rozstanie z poczciwymi góralami. Wszyscy do łez byli rozrzewnieni, tak im żal było żegnać się z Beatusem, Teodorą i Otonem, których serdecznie pokochali. Beatus raz jeszcze udał się do swojej kaplicy, gorąco pomodlił się na intencyę odjazdu i za wszystkich mieszkańców doliny, poczem wsiadł do powozu. Po drodze odwiedzili jeszcze zamek Felsenheim, gdzie Matylda i Agnieszka przyjęły ich nadzwyczaj uprzejmie, przyczem zarówno matka jak córka poczęły prosić za Dytrychem. Hrabia Henryk przyrzekł im uroczyście, że jak się tylko pokaże, iż Dytrych się rzeczywiście poprawił, nie omieszka mu natychmiast przywrócić wolności.

W Waldbergu powitali wszyscy z radością powracające państwo, poczem cała rodzina pojechała do Falkenberg. Beatus otrzymawszy swe dobra, oddał je zaraz synowi, sam przepędzając całe dni na modlitwie. Henryk natomiast wziął się do odbudowania obu zamków i w kilka lat stanęły na miejscu dawnych jeszcze wspanialsze siedziby.

Zakończenie.

Czytelnik może zapyta, co się z Dytrychem stało i czy się on też poprawił. Otóż nadmieniamy, iż długo wprawdzie nie chciała się poruszyć ta zatwardziała dusza, ale Pan Bóg umie w rozmaite sposoby przemawiać do ludzi. Więzieniem jego była wieża w zamku na pół rozwalonym wśród gęstego lasu. Do pilnowania go dodano mu czterech zbrojnych ludzi. Smutne ono więzienie i brak wszelkiego otoczenia, jeszcze bardziej przyprowadzało go do złości. Przeklinał wszystko co święte, a nieraz w przystępie dzikiej rozpaczy bił głową o mur, ściskając w rękach tak silnie łańcuchy, że mu aż krew płynęła. Było to w pierwszych miesiącach, później uspokoił się wprawdzie nieco, ale zrobił się ponurym i wstrętnym. Tak minęły dwa lata, a o poprawie jeszcze ani mowy nie było.

Pewnego razu zerwała się straszna burza, wśród której piorun uderzył w sklepienie wieży i zaczął się palić dach. Trzask płonących belek, walące się mury, swąd i dym, płomienie, które wtenczas Dytrych widział, wydawały mu się obrazem piekła. Spostrzegł, jak stróże go odbiegli i czuł, że mu przyjdzie pod gruzami nędznie zginąć, począł przeto wołać o pomoc. Następnie wieża się zawaliła, ale Bóg zachował w cudowny sposób Dytrycha od

śmierci; kąt bowiem, w którym ukląkł, nie był zasypany rumowiskiem zwalonej wieży. Przez dwa dni pozostawał tak o głodzie prawie tuż nad grobem wśród rumowiska, a myśląc, że mu umrzeć przyjdzie, począł się na śmierć przygotowywać. Żałował za swe zbrodnie i prosił Boga o przebaczenie, ślubując, że jeśli go Bóg wyratuje, poprawi się zupełnie i będzie prowadził inny żywot. Po dwu dniach usłyszeli naraz węglarze pracujący w lesie słaby głos dobywający się z gruzów, wzięli się do pracy i odkopali Dytrycha, wprawdzie osłabionego głodem, ale zdrowego i co najważniejsza, zupełnie na duszy zmienionego. Gdy się Matylda i Agnieszka dowiedziały co za zmiana zaszła z Dytrychem, pospieszyły same do niego i wkrótce potem wyjednały mu uwolnienie.

Pięć lat minęło, odkąd Ojciec Beatus opuścił swą pustelnię w szwajcarskiej dolinie, a przeniósł się do zamku Falkenberg, by w gronie rodziny spędzić ostatnie dni żywota. Pod koniec piątego roku jednak objawił życzenie, raz jeszcze widzieć swą chatkę, w której tyle lat przepędził na służbie Bogu. Coś mu w duszy mówiło, że się zbliża już koniec żywota jego i coś go pchało koniecznie do tej pustelni.

Towarzyszyli mu więc w tej podróży Henryk, Teodora i Oton, koło jaskini zaś zebrali się wszyscy mieszkańcy z doliny. Wśród zgromadzonych był także poprawiony już rycerz Dytrych z żoną i córką. Dytrych chciał

upaść do nóg Beatusowi, ale ten podniósł go i przycisnął do serca, zaręczając, że mu już dawno przebaczył. Zbliżył się przeto teraz do Henryka i prosił jego o przebaczenie, ale Henryk ani mówić mu nie dał. Dytrychu — rzekł — o tem ani nie mówmy, co było; jesteśmy przyjaciołmi, i na tem koniec. — Mówiąc to, przystąpił z nim razem do Beatusa, a ten widząc ich tak ręka w rękę, ucieszył się niezmiernie. Henryk natomiast odezwał się donośnym głosem:

— Tak jak tu obecnie ręką złączeni jesteśmy, tak chcemy być i przyjaźnią i braterstwem połączeni. Niech nic nie zdoła rozedrzeć tych węzłów aż do grobu; ażeby zaś i w naszych dzieciach ta przyjaźń nadal trwała, połączmy je węzłem małżeńskim, którym to sposobem dwa te pokolenia rycerskie dotąd w niezgodzie żyjące, niech miłość w jedno połączy.

Dytrych nie spodziewając się tyle szczęścia, słowa nie zdołał wymówić i silnie tylko uścisnął rękę Henryka. Oton i Agnieszka spojrzawszy na siebie, zapłonęli żywym rumieńcem, a Ojciec Beatus wzniósłszy swe ręce, zawołał: Bóg wysłuchał modłów moich! Czuję, że nadchodzi ostatnia moja godzina, Pan woła mnie ku Sobie; uklęknijcie przeto, gdyż chcę was jeszcze pobłogosławić. — Wszyscy uklękli, a Ojciec Beatus pomodliwszy się chwilę, zrobił nad nimi znak Krzyża świętego, mówiąc:

Niechaj was błogosławi Bóg w Trójcy świętej jedyny i niech na was zleje wszelkie łaski, a będzie z wami po wieki wieków. Amen. Żyjcie w zgodzie, dziatki moje i pamiętajcie na 85-letniego, umierającego dziadka waszego; kochajcie się wzajemnie i miejcie w pamięci ostatnie słowa moje.

Omdlał, ale dał jeszcze znać gestami, żeby zadzwoniono w jego kapliczce i żeby ktoś zanucił ulubioną pieśń jego. Przy dźwięku pieśni i przy odgłosie dzwonka, którym tyle lat zwoływał pobożnych na modlitwę, oddał Ojciec Beatus swoją piękną duszę Bogu. Po zachodzie słońca złożono zwłoki jego obok jaskini, który grób dawno już sobie tu przygotował. Opłakawszy go serdecznie, pożegnali się wszyscy z poczciwymi góralami i ruszyli z powrotem do domów. Niedługo potem odbył się ślub Otona z Agnieszką; Oton wziął Ruprechta z zamku Gelsenheim za burgrabiego do siebie, a Bóg miłościwy nie zapomniał o Swoich wiernych. Oton i Henryk postawili następnie nad grobem pobożnego Ojca Beatusa wspaniały pomnik z czarnego marmuru z poniższym napisem: „Tu spoczywa pobożny Ojciec Beatus, niegdyś jako hrabia Fryderyk z Falkenberg znany. Zasnął spokojnie w Panu, tak jak i spokojnie pędził żywot. Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie! a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków. Amen.“

Czcionkami K. Miarki, Sp. z ogr. por., w Mikołowie.

STEFANJA TUCHOŁKOWA.

ÓSMY KWIECIEŃ

POWIEŚĆ

NA TLE

WYPADKÓW ÓSMEGO KWIETNIA R. 1861-GO
W WARSZAWIE.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ KAROLA MIARKI
W MIKOŁOWIE.

Uwaga: Szczegóły historyczne do powieści p. t. „Ósmy Kwiecień“ czerpałam z opowiadań naocznych świadków, z ówczesnych notatek w pismach i przedewszystkiem z książki Sulimy p. t. „Dzieje dwóch lat“.

I.

Noc z dnia siódmego na ósmego kwietnia r. 1861-go, noc wietrzna, chłodna, deszczem rozpłakana, spowijała Warszawę w całun mroku.

Latarnie były już pogaszone, bo północ minęła, a nieliczne tu i owdzie na chmurnem niebie widne gwiazdy mdło przyświecały, jak oczy bielmem zaszłe.

Lecz mimo spóźnionej pory, zimna przenikliwego i mżącego ustawicznie deszczu, miasto nie spało. Wszystkie restauracje, kawiarnie i ogródki były pełne gości, a na ulicach snuły się nieprzeliczone, dziwnie podniecone tłumy. — Miasto całe drżało, jak człowiek chory drży febrycznemi drgnieniami. Straszny, gorączkowy dygot ogarniał tłumy, które jakiś mus wewnętrzny zniewalał do snucia się po ulicach.

Śmiano się i płakano naprzemian, padano sobie wzajemnie w objęcia i wołano: „Zwycięstwo, zwycięstwo po naszej stronie!“

Niektórzy nucili „Boże coś Polskę“, inni zaś pieśń Władysława Syrokomli, ułożoną z powodu rozwiązania Towarzystwa Rolniczego przez Wielopolskiego:

„Nas zebranych wielu razem
Car widzieć nie życzy,
Więc rozwiązał swym ukazem
Nasz legjon rolniczy.

Przypomina twoje długi,
Rycerski człowiecze,
Że żelazne twoje pługi
Czas przekuć na miecze“ i t. d.

Szczegóły rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego oraz przebiegu wczorajszej manifestacji narodowej i projekty tej, która się nazajutrz odbyć miała, — były na ustach wszystkich.

Opodal zamku, przy kolumnie Zygmunta, stała grupa ziemian, wiodąc ze sobą ożywioną rozmowę.

Obawiam się, — mówił jeden z nich, spoglądając na falujące tłumy, — że oni byliby gotowi zerwać się do boju i iść z gołemi rękami na armaty moskiewskie. Już od lat kilku odczuwam, że prądy rewolucyjne gromadzą się zwolna na horyzoncie politycznym tak, jak elektryczność gromadzi się w chmurach przed burzą. A dzieje się to skutkiem tego, że syn Mikołaja I. zawiódł nieuzasadnione zresztą niczem, li tylko na humanitarnem usposobieniu cara oparte nadzieje narodu polskiego.

— O tak, — ozwał się drugi w gromadce, — okazało się przecież, że władca Rosji może mieć słowo humanitarne na ustach i umysłem szersze, ogólno-ludzkie obejmować horyzonty; w czynach jednak zawsze stosować się będzie do polityki swych poprzedników na tronie carskim. Ulgi, jakie nieszczęsnemu narodowi przyznał, nie zadawalają nikogo. Udzielona przezeń emigrantom i wygnańcom sybirskim amnestja była w tak obraźliwej wyrażona formie, że emigracja ją odrzuciła. Z wygnańców sybirskich wrócili tylko ci, którzy dłużej tęsknoty za rodziną i ziemią ojczystą, o której w długie dni i noce wygnania śnili, znieść już nie mogli. Rzucając zyskowne nawet poniekąd zajęcia

na Sybirze, wracali w progi rodzinne, gdzie przeważnie cierpieć musieli po powrocie nieopisaną nędzę. Upokarzał ich też warunek dołączony do amnestji, by korzystający z niej udział swój w bojach krwawych, toczonych o niepodległość ojczyzny, uznali „z wynurzeniem żalu za chwilowe obłąkanie". I ta amnestja, w ten sposób udzielona, była pierwszym zaczynem niezadowolenia przeciw liberalnemu synowi okrutnego Mikołaja.

— Masz słuszność, panie Piotrze, — mówił trzeci, — a przecież i nadal nie zabrakło przyczyn budzących nieufność i niechęć do młodego cara. Słowa o tolerancji religijnej miał na ustach, a jednocześnie kazał przemocą nawracać na prawosławie Unitów, którzy za zachowywanie unickiego obrządku sieczeni bywali do krwi rózgami i zsyłani do ciężkich robót. Czegóż dobrego spodziewać się możemy po tym carze, który wielkoduszne słowa ma na ustach, a postępuje jak dziki satrapa? I cóż dziwnego, że coraz większe rozgoryczenie ogarnia umysły?

Nie dziwię się też temu, sąsiedzie, ale obawiam się, że smutnie skończy się to wszystko przy tak zapalnym stanie umysłów. Położenie zaś zaognia się sprawą czysto socjalną, ekonomiczną, sprawą włościańską. To martwe morze chłopskie, wśród ciężkiej pracy rąk i ucisku drzemiące od wieków letargicznym snem duchowym, poruszać się i falować zaczyna. Projekt uwłaszczenia zbudził zatajone w chłopach słuszne zresztą pożądanie posiadania na własność tej ziemi, którą z wieku na wiek w ciężkim mozole potem swym użyzniali. Ale to morze chłopskie, czułe na własne materjalne korzyści, nieczułem jest dziś na sprawy narodowe, które go nic nie obchodzą. Słyszałem sam, jak moi kmiotkowie mówili między sobą, że

panowie śpiewają „ojczyznę naszą racz nam wrócić, Panie“, a w myśli dodają: „pańszczyznę jeszcze racz nam wrócić, Panie!“

— Nie widać też tu dziś żadnego włościanina, — zauważył inny z ziemian, — zdala trzymają się oni od publicznych manifestacji narodowych, w których mieszczaństwo, właściciele i dzierżawcy posiadłości ziemskich, oficjaliści i młódź szkolna udział bierze. I sądzę, że gdyby wybiła godzina działania, to dłoń chłopska, uzbrojona w kosę racławicką, nie pomogłaby do oswobodzenia narodu. A bodaj niebawem wybije ta godzina działania. W kraju wre, jak w garnku z ukropem, choć wrzenie to na razie objawia się tylko w noszeniu żałoby narodowej i w manifestacjach po kościołach i ulicach.

Ale mnie to dziwi, że i żydzi biorą udział w tych manifestacjach. Nie nazywają też siebie żydami, lecz „Polakami mojżeszowego wyznania“. Uczestniczyli też w pogrzebie pięciu ofiar, poległych dwudziestego-dziewiątego lutego, kiedy to przy takiej ulicznej manifestacji generał Zabołockij rozkazał wojsku strzelać do bezbronnych tłumów. Nabożeństwa za tych pięciu poległych odprawiono także w synagodze.

Wiecie, sąsiedzi, że co do mnie, to sądziłem, iż usunięcie nienawistnego Muchanowa z kuratorstwa oświaty, a powołanie Wielopolskiego uspokoi wzburzone umysły. Ale przeciwnie, nietakt polityczny, jaki Wielopolski popełnił obecnie przez rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego, dał bezpośrednio już wczoraj powód do licznego zbiegowiska pod murami zamku. Ale Gorczakow mimo pogróżek nie zdobył się na użycie broni wobec tych bezbronnych tłumów, które teraz oto nocą

snują się radosne, jakby przejęte poczuciem odniesionego moralnie zwycięstwa.

Zabołockij został pociągnięty do odpowiedzialności za krew przelaną d. 29-go lutego, — opowiadano sobie w dalszej gromadce. — Już się teraz żaden generał rosyjski nie odważy na to, by kazać żołnierzom strzelać do ludu. A musimy odpowiedzieć manifestacją na to, co się jednak Wielopolski ośmielił uczynić, choć wiedział, że tem serca rodaków zrani i wywoła ogólne oburzenie. Czem mu Towarzystwo Rolnicze zawiniło? Chyba tem, że swego czasu nie przyjęło go w poczet swych członków, więc teraz kiedy margrabia do władzy doszedł, wywarł na Towarzystwie nieszlachetną, z osobistych pobudek wypływającą zemstę.

— Nietylko dlatego, — ozwał się Jan Borzęcki, przybrany w długie buty, krótki kożuszek barankowy i rogatywkę, — ale i dlatego, że Wielopolski pono zawistnem okiem spogląda na wzrastającą z dniem każdym popularność hrabiego Andrzeja Zamojskiego. Ale tem bardziej należy nam okazać publicznie uznanie „panu Andrzejowi“. Czyż nie mam słuszności, Elo? — pytał młodzian, zwracając się do towarzyszącej mu, skromnie, lecz zgrabnie ubranej dziewczyny.

— Ty zawsze masz słuszność, mój Janku, — odparła, spoglądając mu z wyrazem niewymownej miłości w oczy.

— Ale hrabia Andrzej niechętnie przyjmuje te objawy publiczne miłości i uznania, — mówił dalej Borzęcki do narzeczonej swej, Eleonory Sieczkowskiej, szwaczki z zawodu. — Z niechęcią widoczną ukazał się dziś na wezwanie ludu na balkonie, z niechęcią przyjmował wieniec od deputacji, w odpowiedzi wzywając tłum do rozejścia

się, do poniechania manifestacji. Mówił, że mieliśmy już pięć ofiar i trzeba się wystrzegać, by więcej takich ofiar...

— Ofiar takich więcej nie będzie, — przerwała Eleonora narzeczonemu. Dziś grozili także, że będą strzelać, ale się na to nie odważyli i na wezwanie naszej młodzieży Gorczakow kazał się wojsku cofnąć do zamku, usłuchać naszej młodzi. Po naszej stronie wygrana, bo myśmy do ostatka na placu dotrwali.

Zwycięstwo, zwycięstwo! Wiwat! Wygrana przy nas! — odzywały się naokół liczne głosy.

Tłum cieszył się w radosnem upojeniu, jakby z odniesionego na polu bitwy walnego zwycięstwa.

Nie wiedzieli nieszczęśni, że na naprędce zwołanej do zamku naradzie postanowiono dać ludowi krwawą nauczkę w razie gdyby i nazajutrz do publicznych manifestacji przyjść miało.

Napoleon zabronił Moskalom strzelać do ludu, — powtarzano bezmyślnie krążącą wśród ludu pogłoskę.

Napoleon zabronił strzelać do ludu, — powtarzała także narzeczonemu Eleonora Sieczkowska.

Tak, pani, tak jest istotnie, — przywtórzył nagle jej słowom jakiś głos o śpiewnem brzmieniu i obcym akcencie.

Spojrzała.

Tuż przy niej stał człowiek jakiś, którego już poprzednio wielokrotnie widywała. Człowiek ten, gdy raz dla wypoczynku w ogrodzie Saskim na ławce usiadła, przybliżył się do niej i przedstawił się, lecz nazwisko tak niewyraźnie wypowiedział, że nie dosłyszała i nie wiedziała, jak się ów obcy nazywa.

On jednak odtąd nieustannie jej się narzucał, przy każdem spotkaniu wyznając jej swe uczucia, o których ona słuchać nie chciała. Ale ani chłód

Eleonory, ani wieść z jej ust posłyszana, że jest już zaręczona z kim innym, nie odstraszały niefortunnego wielbiciela. Wszędzie snuł się za dziewczyną, jak jej cień własny. Ilekroć rano szła do szwalni, lub wieczorem ze szwalni do mieszkania wracała, zawsze zjawiał się ów człowiek przy niej i prześladował ją swoją miłością. Jednak nigdy dotąd jeszcze nie miał śmiałości zbliżyć się do niej w obecności jej narzeczonego. — Dziś stało się to po raz pierwszy.

Nim jednak ze zdumienia nad tem ochłonąć mogła, przybysz począł mówić porywająco o miłości ojczyzny, o dniu codopiero ubiegłym, dniu, który wielką chwałą okrył naród polski, bo oto przed nieosłoniętemi zbroją piersiami ludu cofnęły się zbrojne roty moskiewskie.

Pogróżek Moskali lękać się nie trzeba — mówił, — oni strzelać nie będą, bo jak pani słusznie powiedziała, Napoleon im tego zabronił, a raczej wziętoby to rządowi rosyjskiemu za złe. Rosja zaś osłabiona niedawną wojną krymską musi się liczyć z ościennemi mocarstwami, a zwłaszcza z Francją. Europa zresztą trzyma naszą stronę i nie da mordować bezbronnych Polaków. Wolnomyślni Rosjanie poprą nasze usiłowania; tylko nie trzeba dać się zastraszyć. Należy jutro zadokumentować przed światem, że jesteśmy narodem, który ma odwagę upomnieć się o swe prawa. Manifestacja przyjść powinna, przyjść musi do skutku. — Mówił długo na ten temat i porywał słuchaczy swą wymową.

Naokół cisnąć się do niego poczęto.

Słowa jego padały jak iskry na nagromadzone prochy. Podniecenie gorączkowe wzrastało wśród tłumu

Jutro, jutro nadstawimy im piersi nieosłonione zbroją! — wołano. — Zobaczymy, czy się ośmielą

strzelać. A choćby się nawet na to ośmielili, no to polegniemy, a śmierć nasza chwałą nas, ich zaś sromotą okryje. Zresztą oni strzelać nie będą. To tylko czcze pogróżki.

Oczy Eleonory błyszczały zapałem

Uprzedziłam się do niego, — myślała, słuchając słów mówcy, — to musi być dobry człowiek i gorący patrjota.

Przypomniało się jej jednak, że jeszcze sukni żałobnej dla owdowiałej pani Stobnickiej nie skończyła.

Nazajutrz miał być pogrzeb św. p. Ksawerego Stobnickiego, Sybiraka, który za amnestją powrócił swego czasu z wygnania do kraju.

Naród widział w zmarłym męczennika za sprawę narodową i w jutrzejszym pogrzebie kto żyw, chciał wziąć udział.

Suknia w każdym razie musiała być koniecznie do rana wykończona.

Eleonora szepnęła narzeczonemu na ucho, by ją wyprowadził z ciżby.

Ów niby znany, a jednak z nazwiska jej nieznany człowiek ukłonił jej się nisko, przyczem rozwarły się poły jego płaszcza.

Eleonora zdumiała się, bo zdało jej się, że dojrzała pod ciemnym jego płaszczem szynel rosyjski. Ale była pewna, że to tylko przywidzenie. Pełna prostoty i łatwowierna nie mogła tego przypuścić, że leżało to w interesie niektórych czynowników rosyjskich, by jutrzejsza manifestacja przyszła do skutku. — Chcieli, by krew na ulicach Warszawy popłynęła, aby nie było już możności uspokojenia narodu na drodze legalnych ustępstw.

Jak chmura gradowa zawisła już zapowiedź czegoś strasznego w powietrzu.

Eleonora nie przeczuwając tego, szła spiesznie w towarzystwie narzeczonego do domu; a choć teraz wymownych słów obcego człowieka nie słyszała, zdało jej się jednak, że czuje na sobie jego ścigające ją spojrzenia.

Obejrzała się mimowoli. Zdało jej się, że na rogu ulicy dojrzała jego sylwetkę Ale było to może także przywidzeniem jej ostatniemi wypadkami podnieconej wyobraźni.

Otworzywszy kluczem bramę, pożegnała się z narzeczonym i znikła mu z oczu w głębi domu.

II.

Jan Borzęcki pozostał na drodze wśród mroku i wichru, który to jęczał, to wzdychał, to chichotał za węgłami domów, wstrząsał ramami drzwi i okien, przysiadał chwilami cicho na gzemsach i znów się zrywał i ciskał mu w twarz płatki padającego teraz mimo pory kwietniowej śniegu.

Po chwili jednak nikły promień światła spłynął w mroczną ulicę z okienka poddasza, w którem Eleonora wraz z matką swą i drobnem rodzeństwem mieszkała.

Poprzez świst wichru doszedł uszu Jana Borzęckiego głos słodki, głos tak bardzo mu drogi:

— Dobranoc ci, Janku, dobranoc!

Wzniósł głowę w górę.

W uchylonem okienku poddasza widniała w promieniu światła palącej się w pokoiku lampy drobna twarzyczka jego Eli, jak Eleonorę w skróceniu nazywał.

Dobranoc ci, najdroższa! — odparł.

Muszę już okno zamknąć, — rzekła, — bo silny wiatr mógłby mi szyby potłuc. Zesztą pilno

mi z robotą. Zrana muszę odnieść gotową suknię do pani Stobnickiej, poczem wrócę do domu. Przyjdź tu o dziewiątej, a gdyby mnie jeszcze w domu nie było, to zaczekaj na mnie. Pójdziemy razem na punkt zborny, na Krakowskie Przedmieście, a po obiedzie na pogrzeb. Dobranoc raz jeszcze!

Okienko zamknęło się ze stukiem.

Lecz Borzęcki nimo wzmagania się wichru stał ciągle, wpatrzony w ten nikły promień światła, jaki w otaczającym go mroku płynął ku niemu z okienka ukochanej.

Przez niezasłonięte szyby widział Elę, krzątającą się po pokoiku. — Snać chłodno jej było, bo roznieciła ogień na kominku, a potem zasiadła nad szyciem.

Teraz weszła do pokoiku siwa, przygarbiona staruszka, w której Jan Borzęcki poznał matkę swej narzeczonej. Rozmawiała o czemś długo z Elą, potem wyszła z pokoiku i znów wróciła, wręczając córce jakieś pismo, które Ela oczyma przebiegła. A po przeczytaniu na chwilkę zadumała się, potem w płonący ogień to pismo wrzuciła i znów pilnie szyć zaczęła.

Światło lampy i odblask płonącego na kominku ognia oświetlały jasno jej białą, o regularnych drobnych rysach twarzyczkę, okoloną ciemno blond włosami.

Borzęcki kochał ją nad życie.

Była to dla niego najdroższa istota na świecie. Sierotą był, a z rodziny miał tylko stryja, bogatego stolarza, mieszkającego na Solcu.

Elę zobaczył poraz pierwszy w Stobnicy, gdzie zarządzał gospodarstwem, a dokąd Ela na przeciąg kilku miesięcy przybyła, by szyć wyprawę dla wy-

chodzącej za mąż córki właściciela majątku, a syna zmarłego teraz przed kilku dniami w Warszawie Ksawerego Stobnickiego.

W takich to okolicznościach tam na wsi poznali się młodzi przed kilku laty.

Ela zarówno urodą, jak i skromnością obejścia odrazu spodobała się Borzęckiemu. Za tem spodobaniem przyszła zwolna miłość prawdziwa i gorąca, choć tylko ukradkowemi spojrzeniami i cichemi westchnieniami się objawiała.

W poobiedzia niedzielne grywał Jan Borzęcki na skrzypcach w pobliżu oficyny, w której Ela pokoiczek wyznaczony sobie miała, lub wyśpiewywał pod jej oknami:

„Już słońce zaszło, psy się pośpiły,
A ktoś tam klaszcze za borem;
Pewnie to, pewnie mój Filon miły
Pod umówionym jaworem."

Ela domyślała się uczuć młodzieńca i odpłacała mu wzajemnością. Do wyznań jednak przez dłuższy czas nie przyszło, bo też i nie było sposobności po temu. Byłaby może nawet Ela do Warszawy powróciła bez posłyszenia oświadczyn Borzęckiego, gdyby szczęśliwy przypadek nie był dopomógł zakochanym.

W pewne piękne poobiedzie majowe pani domu zauważyła, że Ela jakoś pomizerniała i pobladła. Przypisując to nadmiernemu siedzeniu nad szyciem, poleciła dziewczynie, by odłożyła wcześniej niż zazwyczaj robotę i przeszła się na świeżem powietrzu.

Najlepiej idź panna do lasu; rosnące tam świerki taką miłą woń żywiczną roztaczają dokoła, że doprawdy to cię orzeźwi, bo mi coś mizernie wyglądasz.

Dziewczyna chętnie posłuchała zlecenia i jak ptaszę z klatki wypuszczone wyfrunęła na chwilę swobody. Poszła do lasu, gdzie zupełnie niespodzianie spotkała się z Borzęckim, który krótszą przez las drogą wracał właśnie z pola.

Pierwszy raz byli sam na sam.

Z niesłychaną wyrazistością, jakby obecna, stanęła teraz ta chwila w jego pamięci.

Z przed oczu jego znikła mroczna ulica rozświetlona tylko słabym blaskiem lampy, palącej się w mieszkaniu Eli. Nie słyszał poświstu wichru, nie czuł przenikliwego chłodu, lecz zdało mu się, że się znajduje w Stobnicy, w owym lesie. Po raz drugi we wspomnieniu przeżywał jakby w rzeczywistości ową chwilę.

I zdało mu się, że znowu ów wieczór wraz z nieodstępną swą towarzyszką — ciszą — schodzi powoli na pastwiska zielone, owija zasłonami mroku wyniosłe drzewa i żurawie studzienne i chat obejścia, przysiada przy krzyżach przydrożnych, przy miedzach i polach, przystaje przy rozstajach i jarach i obejmuje świat w swe posiadanie.

Chwila przed kilku laty miniona wracała teraz ku niemu na fali wspomnienia. Szli wówczas razem w las.

Wiewiórka ruda spłoszyła się na gałęzi; a z pod nóg zerwało im się stado cietrzewi. Gdzieś gruchały miłośnie gołębie leśne, nawoływały się drozdy, a dzięcioły stukały zawzięcie.

Lecz zwolna cichnąć zaczęły te wszystkie głosy. — Kilka poważnych akordów zagrał im jeszcze las szumiący i ucichł. Tylko z mrocznej głębi lasu tajemnicze jakieś szepty podnosiły się i rozbrzmiewały w przestrzeni; a poeta lasu nucił gdzieś pieśń swą w gęstwinie. Co za ptak i jaką pieśń nuci? — z tego nie zdawali sobie sprawy. — W tej cichej

zmroku godzinie las, przestwór cały śpiewał im cudną pieśń miłości, której wtórowało przyspieszone bicie ich serc.

Tłum drzew zielonych otaczał ich w około, a ponad ich głowami błyszczeć zaczynały na niebie złociste gwiazdy.

Tkliwe, pełne miłości słowa cisnęły mu się na usta, niby potok rwący. Żadna moc ludzka nie mogła ich powstrzymać.

Miłuję cię, pani — szeptał, — więcej niż świat cały. Powiedz, czy i ty mnie miłujesz i czy chcesz ze mną iść przez życie?

W blasku gwiazd dojrzał, że łzy miała w oczach, a rozchylone jej usta, na których ważyły się jakieś słowa, drżały ze wruszenia.

Wietrzyk muskał im lica jakby z lekką pieszczotą. — Drzewa szeptały opowieść o upojeniu miłości.

Pochylił się nad nią.

Czekam na odpowiedź, — rzekł, — tak czy nie, zmiłuj się, pani, powiedz, nie trzymaj mnie w niepewności.

Tak, — wyszepteła.

Tak, — zawtórował las cichym poszumem.

Ogarnęło go słodkie upojenie.

W około pachniały kwiaty i zioła, i jej włosy pachniały.

Ujął jej głowę w swe dłonie i pił szczęście z jej ust.

Nie broniła się. Główka jej, oblana światłem miesiąca, spoczywała z ufnością na jego ramieniu.

I tak w ten cichy wieczór gwiaździsty wyznali sobie miłość wzajemną, która przez długi szereg takich wieczorów, blaskiem gwiazd roziskrzonych, w sercach ich powoli wzrastała. Ale o pobraniu się nie mogło być na razie mowy. Stanowisko

urzędnika gospodarczego w owe czasy nie było tak dobrze płatne, aby Jan Borzęcki mógł pomyśleć o prędkiem założeniu ogniska domowego. Trzeb było lata całe na to czekać. Ale oni mając pewność wzajemnych uczuć, chętnie czekać chcieli i zwolna dążyć z wytrwałością do zacisznej przystani własnego, choćby najskromniejszego ogniska domowego.

Tak przeczekali całe trzy lata, aż teraz nareszcie cel upragniony był bliski dopięcia. Oboje oszczędni uciułali trochę grosza, a bogaty stryj Borzęckiego, posiadający wielki warsztat stolarski na Solcu, chciał dopomóc bratankowi znaczniejszą bezprocentową pożyczką do wzięcia w dzierżawę lub do nabycia na własność jakiego małego folwarczku.

Ale z dniem każdym zaogniająca się sprawa włościańska, nieuregulowane stosunki pańszczyźniane stawały teraz na przeszkodzie w urzeczywistnieniu tego planu. Przytem wzbierający każdą chwilą prąd rewolucyjny i coraz silniej budzące się w sercach narodu pragnienie odzyskania niepodległości — usuwały na bok wszystko inne, wszelkie sprawy prywatne.

Złudne, pragnieniem serca wywołane fatamorgana brano za jasny świt wolności. — Umysły były jak baterje naładowane, do których tylko lont zapalony przyłożyć trzeba, by wybuch nastąpił.

Ale gdy teraz Jan Borzęcki stał tak na dworze wśród mroku i wichru i padającego śniegu, wpatrzony w to oświetlone okienko poddasza, wydało mu się mimowoli to ciche, jasne, z poza szyb błyskające światło niejako symbolem światła ogniska domowego, przy którem, wśród największych mroków i wichrów przeciwności, można pielęgnować ideały ojczyste i pracować na polu cichej, legalnej pracy nad rozwojem narodowym.

To może najbezpieczniejsza ostoja, najpewniejsza przystań, — pomyślał. Może ten znienawidzony margrabia Wielopolski ma jednak trochę słuszności w tem, że byt narodowy poprawić mogą tylko w obecnych warunkach wewnętrzne, pokojowe reformy. I może byłoby lepiej poniechać manifestacji, która wywołać może krwawe represje ze strony siepaczy.

Tak myślał Jan Borzęcki teraz, teraz, gdy był zdala od rozgorączkowanych tłumów.

W tej chwili poczuł jakąś ciężką rękę na ramieniu. Obejrzał się i ujrzał owego nieznanego sobie mówcę, który poprzednio tłum do jutrzejszej manifestacji namawiał. Jakby w myślach ludzkich czytać umiał, ozwał się ów mówca do Borzęckiego:

Chyba się niema co namyślać, — jutrzejsza manifestacja to rzecz już postanowiona. Zresztą pójdź pan ze mną; mam panu jeszcze niejedno do powiedzenia! I nim zdumiony Borzęcki zdołał zdobyć się na odpowiedź, nieznajomy pociągnął go za sobą w stronę pobliskiej garkuchni, w której roiło się od rzemieślniczej i szkolnej młodzieży.

III.

Zasiedli za stołem.

Garson, podać piwa dla wszystkich. Ja płacę, — zawołał towarzysz Borzęckiego. Po chwili trącano się pełnemi kuflami.

Niech żyje wolność! — zawołał mówca.

— Spełniono toast duszkiem.

Garson, przynieś teraz wódki i przekąski.

Stojący pod piecem wyrostek, walczący z ogarniającą go sennością, spełnił rozkaz.

Na pohybel ciemiężcom! — zawołał mówca donośnym głosem. — Daj jeno jeszcze jedną kolejkę, przyjacielu, a teraz słuchajcie panowie, — dodał, wyciągając z kieszeni plik gazet.

Rozwinął jedną z nich i począł głośno czytać tłómaczone z pism zagranicznych entuzjastyczne artykuły o Polsce, pełne nic nie kosztujących zapewnień gorącej sympatji, jaką zagranica odczuwała dla uciemiężonego narodu. — Czytał, a słuchający wchłaniali w siebie każde z usłyszanych słów.

Milczeli, lecz oczy ich mówiły, jak głęboko zapadały im w dusze słowa posłyszane.

W Borzęckim budziły się wątpliwości, czy zagranica ujęłaby się czynnie za nieszczęsnym narodem, gdyby tego zaszła potrzeba? Łatwo to szafować zapewnieniami sympatji, które do niczego nie zobowiązują, a co innego, gdy o czyn chodzi.

Nieznajomy zwrócił się wprost do niego, jakby czytał w jego myślach.

Czy pan sądzisz, że Europa w danym razie nie przyszłaby nam z pomocą? O! to się mylisz. Francja zawsze była wierną siostrzycą Polski. Lilje francuskie na polu bitew powiewały na sztandarach obok Orłów białych. Żyje we Włoszech pamięć legjonów Dąbrowskiego, a i liberalna Anglja nie jest obojętna na niedolę Polaków.

A jednak mocarstwa europejskie dopuściły do największej zbrodni, jaka się kiedykolwiek na świecie stała, do rozćwiartowania żyjącego narodu, — ozwał się Borzęcki.

O! wtedy, przy rozbiorze Polski, to co innego. Okoliczności tak się wówczas nieszczęśliwie złożyły, że każde z państw europejskich zaprzątnięte było własnemi sprawami. Zresztą wówczas w chwili upadku Polska nie cieszyła się wielką sympatją u innych mocarstw. Teraz opromieniło nas aureolą

męczeństwo porozbiorowe i sprawa polska budzi oddźwięk we wszystkich sercach. Trzeba tylko zrzucić gniotące jarzmo.

Tylokrotnie chwytaliśmy za oręż, a cóż za plon przyniosły nam nasze krwawe trudy? Któż zrywającemu się do boju nieszczęsnemu narodowi podał dłoń pomocną? A słusznie powiada Jan Śniadecki w żywocie Kołłątaja, że „rewolucja krajowa jest jak owa bajeczna u poetów Gryce, która swoich dowódzców przerabia w burzycieli porządku, gdy się nie uda."

„Albo w bohaterów i zbawców, gdy swego dopnie" — przerwał Borzęckiemu mowca. — Zresztą nie mówię o tem, by koniecznie za broń chwycić, — ale trzeba jednak jawnie swe uczucia narodowe zadokumentować. Ojczyźnie trzeba tak służyć, jak Chrystusowi, który sam o Sobie powiedział, że zaprze się tego, któryby go się zaparł wobec ludzi. Zresztą cóż wskóramy znosząc spokojnie wszelki ucisk i samowolę wroga?

Tak, to prawda, — ozwał się jakiś student. Ojciec mój nie mieszał się w żadne sprawy polityczne ani społeczne, tylko przyznawał się jawnie do swej narodowości, a uwięziono go i tak go dręczono przy badaniach, chcąc wyciągnąć zeń zeznanie niepopełnionej winy, że nieszczęsny kawałkiem szkła, który znalazł w lochu więziennym, żyły sobie poprzerzynał.

A mego brata, — mówił inny, — dlatego tylko, że się litował nad krwawą dolą Unitów, wywieziono do kazamat sybirskich, gdzie zmarł w strasznej udręce ciała i duszy.

Chwila głuchego milczenia zapadła po tych słowach. — Wiatr tylko jęczał za oknami.

Przed zadumanym wrokiem Borzęckiego rozwarły się odległe przestrzenie krainy sybirskiej,

gdzie w kazamatach, przykuci do taczek, pędzą nieszczęsny żywot ci, którzy idą za przyrodzonem prawem człowieka, umiłowali ziemię ojczystą i mieli odwagę przyznać się do tego lub wyrzec kilka słów współczucia dla prześladowanych. Nietylko skazani na wygnanie i ciężkie prace, ale i wyzuci z praw ludzkich, bo dozorcy mają prawo ich chłostać i pastwić się nad nimi. I jedna tylko dla nich chwila wytchnienia, gdy myśl ich na skrzydłach tęsknoty leci, jak ptak, w kraj daleki, w kraj umiłowany, do swoich. Ale tem boleśniejsze poczucie rzeczywistości.

I rozwarły się przed oczami duszy jego lochy cytadeli i podziemnych więzień, gdzie dręczeni ponad wszelką miarę i tylko dla swej narodowości rodacy jego pędzą żywot żywcem pogrzebanych. W mroku i zaduchu iście mogilnym płyną im dni samotne, pełne udręki, i noce bez końca, w czasie których zatraca się zwolna poczucie czasu i istnienia, tak jakby się zawisło w jakiejś bezmiernej pustce, gdzie się nic nie dzieje, gdzie się jest jakby poza życiem, poza czasem.

I wtedy dłoń samobójcza przecina pasmo nieszczęsnego, podmogilnego żywota. I czyliż on, Jan Borzęcki, mógłby żyć w spokoju i zadowoleniu w zaciszu domowem, gdy jego współrodacy tak cierpieli? — Dalekie i obce wydały mu się w tej chwili zabiegi codzienne i sprawy osobiste, ponad któremi górowało to, co stanowiło i stanowi treść życia przyszłych i obecnych pokoleń, — pragnienie wolności, — bez której nawet największe osobiste szczęście stanowiłoby szereg dni martwych i jałowych. Przypomniały mu się słowa z pieśni wajdeloty w Konradzie Wallenrodzie: „Szczęścia nie znalazł, bo go nie było w Ojczyźnie.“ — Kochał narzeczoną swą nad życie, i ognisko rodzinne,

opromienione jej obecnością, mogłoby mu być rajem na ziemi, gdyby na dnie każdej myśli, każdego odruchu woli i pragnienia nie tkwiła bezbrzeżna tęsknota za odzyskaniem niepodległej Ojczyzny. Cóż mogłoby zagłuszyć ten krzyk wewnętrzny za wolnością, którego pełna była każda przechodząca i pełna będzie każda przyszła chwila? Więc nie o szczęściu osobistem mu śnić, ale iść jutro wraz z wszystkimi jawnie zadokumentować swe uczucie narodowe. Niech dzieje się, co chce. Pójdą inni, to i on pójść musi. Nie może pozostać poza narodem.

Tak rozmyślał, a wokół garkuchnia rozbrzmiewała entuzjastycznemi okrzykami.

Pójdziemy jutro, pójdziemy wszyscy; jak jeden mąż! Niech wróg ugnie się moralnie przed zjednoczoną wolą narodu. Pójdziemy.

IV.

Tymczasem Ela siedziała w swoim pokoiku szyjąc pilnie; lecz wejście matki na chwilę oderwało ją od roboty.

Matka jej nietyle wiekiem, co ciężkiemi przejściami życiowemi zgnębiona kobieta, gderliwą była z usposobienia.

Do czegóż to podobne? — mówiła, — przez cały dzień włóczysz się po mieście, a tu robota pilna w domu leży.

Nie gniewaj się, mamusiu, sukni i tak do rana dokończę.

Ale pocóż wy te wszystkie hece urządzacie? Źle wam chyba w głowie. Ot, lepiej byś mi w domu w robocie pomogła i szycia więcej pilnowała. Przez te manifestacje tylko czas i zarobek tracisz, a tu tyle wydatków. Aż głowa mnie boli

od tych ciągłych kłopotów, skąd wziąć pieniędzy na potrzeby domowe; ta zaś spaceruje sobie, jak jasna pani, po ulicy, a stara matka ręce sobie po łokcie opracuje, — zrzędziła gniewnie.

Ale choć słowa gderliwe na ustach miała, w głębi duszy dobra to była kobieta. Ciągłe nieszczęścia, a bardziej jeszcze drobnostkowe codzienne kłopoty przytłumiły w niej wrodzoną żywość i wyższe porywy. Zmęczyła się w deptaku codziennego życia. Jednostajność, zajęć i otoczenia, nie dając jej nowych wrażeń, uśpiła w niej myśl, ścieśniła widnokrąg pojęć. Pochłaniały ją ciągle starania i troski o byt i czyniły ją na to tylko czujną, co się tego bytu tyczyło. Dzień cały od świtu do nocy pracowała ciężko. Pierwsza wstawała, ostatnia spać się kładła; a chociaż najwcześniej wstała, zawsze jeszcze jej się zdawało, że za długo spała, że godziny dnia więcej można było wyzyskać i że gospodarstwo domowe na tem ucierpi. Drobnostkowemi sprawami przejęta, nie pojmowała entuzjazmu córki w wielkiej sprawie ogółu i obca była duchem prądowi chwili.

Cóż mogą mnie obchodzić jakieś manifestacje, jak'eś hymny, śpiewane po ulicach? — Toć to żadnej namacalnej korzyści nie przyniesie. Nacóż więc to wszystko? Ot głupstwo i mitręga czasu i tyle. Eli pałały policzki, a serce biło jej silnie.

Nie mów tak, mamo, nie! O! gdybyś ty była widziała, jak to było pięknie, gdy nieomal cała Warszawa zgromadziła się na cmentarzu powązkowskim!

Stosem wieńców okryto mogiłę pięciu ofiar poległych w lutym. Pośród wieńców czerniał krzyż, spowity w kajdany i wieniec cierniowy, jako godło naszego męczeństwa, a nad tem godłem biały ptak królewski rozwijał swe skrzydła, jakby wzlecieć chciał ponad tym tłumem, nucącym jednogłośnie: „Boże

coś Polskę". Cmentarz cały rozbrzmiewał tym śpiewem, jakby nietylko żywi ludzie, ale i zmarli w mogiłach pieśń tę śpiewali. A potem, jakto było uroczyście przed gmachem Towarzystwa Rolniczego i pałacem hrabiów Zamojskich! Pomyśl, matuchno, że pono sto tysięcy narodu tam się zgromadziło. Drzwi wchodowe ustrojono wieńcami i girlandami a na balkonie na miejscu, gdzie wisiał dwugłowy orzeł rosyjski, zawieszono obraz Matki Boskiej, spowity w krepę, a pod obrazem Białego Orła. Kilku młodych ludzi niosło olbrzymi wieńcem myrtowym okolony transparent z umieszczonym w srodku napisem „Towarzystwu Rolniczemu". Prócz tego było jeszcze wiele małych transparentów z temi samemi napisami. Na głos śpiewano: „Jeszcze Polska nie zginęła." Moskale i sam nawet generał Paniutyn, który napróżno wzywał lud do rozejścia się, słuchali tego, ale nie śmieli się nawet odgrażać. Następnie „pan Andrzej", wezwany przez lud, ukazał się na balkonie, a zgromadzony tłum zawołał jednogłośnie: „Niech żyje król polski, Andrzej Zamojski". Wreszcie tłum cały zwartą ławą ruszył ku zamkowi, przed którym dwie kompanje wojska pod wodzą Chrulewa ustawiły się w szyku bojowym. Ale tłum nie zważał na to wcale; wtedy sam Gorczakow w otoczeniu dwóch generałów i naczelnika policji Rozwadowskiego podjechał konno do zgromadzonych, wzywając ich do rozejścia się.

„Rozchodźcie się, idźcie spać do domu, — mówił.

Odpowiedzieliśmy mu:

„Spaliśmy przez trzydzieści lat, teraz obudziliśmy się."

„Czego chcecie?" — spytał.

„Wolności, konstytucji, Towarzystwa Rolniczego, delegacji!"

„Każę strzelać!" — groził.

„Strzelajcie do bezbronnych, jeżeli chcecie; polegniemy chętnie jako ofiary za Ojczyznę!“

Wreszcie Gorczakow rozkazał użyć siły Chrulewowi, który na czele konnicy wdarł się w tłum. Cofano się o kilka kroków pod naporem koni i zaraz powracano na dawne miejsca, nie ustępując z placu. Skończyło się na tem, że na wezwanie kilkunastu młodych ludzi, którzy Chrulewowi dali słowo, że lud się w takim razie rozejdzie do domów, wojsko ustąpiło i cofnęło się do zamku. A myśmy wołali, rozchodząc się zwolna:

„Wiwat książę, że naszych dzieci usłuchał!

Wygrana! Wygrana!“

Widzisz matuchno, grozili, że będą strzelać a nie ośmielili się i nie ośmielą się też na to. Choćby nawet tak było, to miła przecież śmierć za Ojczyznę.

Za Ojczyznę? — Czyż sądzisz, dziecko, że Ojczyźnie krew bezowocnie przelana korzyść przynieść może?

Wicher szalał na dworze, uderzał w szyby i wstrząsał drzwiami. Zdawać się mogło, że niewidzialne jakieś istoty dobijają sie do okien i drzwi i wołają żałosnemi głosy: Otwórzcie! Otwórzcie! —

I zdało się starej kobiecie, że otwierają się naoścież wąskie odrzwia, a niemi suną krwawe widma przeszłości. Coraz ich więcej. Mała izdebka nie może ich pomieścić.

Ach! i ja pamiętam, — rzekła z głębokiem westchnieniem — jak lat temu trzydzieści zdawała się wschodzić nad krajem naszym jasna zorza wolności. W noc taką wietrzną, pochmurną, jak dziś szło na Belweder osiemnastu spiskowych, wołając: „śmierć tyranowi!“ Ale tyran zdołał ujść tej śmierci. A za tą garstką młodzi poszedł na nieszczęście naród cały. Lecz jak bańki mydlane pękły zwodnicze

blaski chwili. Iluż to poległo! Wszystkich moich najbliższych najdroższych wtedy straciłam. W czas jakiś potem z niezagojoną jeszcze raną w sercu, by tylko własny dach nad głową znaleźć w sierocej mej doli, połączyłam się węzłem małżeńskim z twym ojcem. Ale i on był takim, jak ty, entuzjastą. Wciąż tylko marzył o Ojczyźnie niepodległej, warsztatu krawieckiego nie pilnował. Dłoń miał wiecznie otwartą na różne potrzeby narodowe, a o zabezpieczeniu losu swej rodziny nie pamiętał. Długi czas za Paszkiewicza przesiedział w cytadeli; wreszcie umarł a ja zostałam z gromadką drobnych dziatek i z nędzą. Tyle ofiar i cóż z tego? Wszystko poszło na marne. Wszystko mrzonki. A cóż nam jutro przyniesie?

Ale Elę ogarnęła jakaś beztroska o to, co jutro przynieść może. To dziś, zdaniem jej zwycięskie, w którem naród bezbronny nieugięty pozostał wobec rot zbrojnych, to dziś trwało i napawało ją poczuciem triumfu i nieopisanego zapału.

Matuchno — rzekła, — czyliż wszystko tylko miarą osobistych korzyści i strat mierzyć można? Wyżej niż wzgląd na dolę i niedolę poszczególnych osób stoi wzgląd na dobro kraju. My zresztą nie idziemy walczyć z orężem w dłoni; my tylko chcemy publicznem zamanifestowaniem naszych uczuć i żądań zniewolić cara, by przyznał nam nasze narodowe prawa. My pieśnią i hymnem chcemy u Pana zastępów wyprosić wybawienie z niedoli.

To wszystko mrzonki, — powtórzyła matka, — ale wiem, że cię nie przekonam, więc dajmy temu pokój. Ale prawda, całkiem zapomniałam, że przyszedł jakiś list do ciebie nie pocztą, bo nie nosi żadnego stempla pocztowego, tylko ktoś podsunął go pode drzwi nasze.

Mówiąc to, wyszła do drugiego pokoiku i po chwili przyniosła list.

Ela spojrzała na kopertę. — List zaadresowany był jakąś nieznaną jej ręką.

Rozerwała kopertę i szybko przebiegła list oczyma. W miarę, jak czytała, coraz większe a przykre zdumienie malowało się na jej twarzy.

Kto pisał ten list i cóż w nim donosi? — zapytała matka.

Kto pisze, tego nie wiem, — odparła dziewczyna, — bo podpisu niema; ale w liście przestrzega mnie ktoś niby mi życzliwy, że Janek mnie zdradza.

Co to, to już nie wierzę, — rzekła matka, — Janek to zacny chłopiec, który kocha cię szczerze. Każdy wie, że takim listom bez podpisu wiary się nie daje. Ten, kto ten list pisał, to podły kłamca i intrygant!

Ja też nie wierzę, mamo, w treść tego listu, — zawołała Ela i wzniosła wzrok swój ku stojącej na kominku fotografji Janka.

Z ramek, okolonych wiankiem suszonych kwiatków, patrzały na nią poczciwe oczy narzeczonego, a z pod gęstego wąsika uśmiechały się do niej miło jego usta.

Takie poczciwe oczy nie kłamią, — myślała Ela, — one są zwierciadłem duszy nieznającej zdrady.

I nagłym ruchem wrzuciła list anonimowy w ogień. — W okamgnieniu objął go płomień w palący swój uścisk i zmienił w pył. Po chwili i ten pył zapodział się gdzieś w czeluści kominka. Nie rozpoznać go w popielisku. Ani śladu nie pozostało po nim.

A pomimo to i mimo że przeświadczona była o wierności Janka, cień jakiś kłujący pozostał w jej sercu. Taki martwy świstek zapisanego papieru, a tak wielki ból żyjącej istocie mógł sprawić! Spłonął już, lecz każde słowo, każda literka listu

stały jej przed oczyma i zdawały się rosnąć, wydłużać, przybierać kształty sztyletów, które raniły ją w samo serce.

Setki podejrzeń, choć je odpychała zwartą falangą, napływały jej do myśli, obsiadały ją, jak rój owadów naprzykrzonych.

Jakąś drobną szpareczką niespostrzeżenie sączyć zaczęła się do jej serca nieufność do Janka.

V.

Chłodny, posępny poranek spowijał świat w szary jakiś całun i smętek bezbrzeżny. — Słońce przez chmury świeciło jakiemś szarobiałem, jakby trupiem światłem.

Niosąc zawiniątko z gotową suknią do pani Stobnickiej na Senatorską, spiesznym krokiem dążyła Ela poprzez puste prawie ulice, bo prócz kilku piekarczyków, roznoszących świeże pieczywo, nikogo nie napotkała.

Cisza poranna panowała jeszcze naokół. Tylko raz po raz z drzew wzdłuż ulic rosnących młody liść, mrozem niespodzianym zwarzony, opadał z cichym szelestem na bruk poprószony śniegiem mimo pory wiosennej.

Przyroda tego roku była obrazem doli tej ziemi. — W marcu już przedwczesna wiosna okryła pola runią zieloną a drzewa młodem listowiem, lecz początkiem kwietnia chwyciły niespodzianie mrozy i zwarzyły kiełkujące źdźbła i młode listki.

Tak też i przedwcześnie wybujałe nadzieje nieszczęsnego narodu miał mróz przeciwności w samym ich rozkwicie zwarzyć i zniweczyć.

Ale Ela pełna była otuchy. — Niepokoiło ją tylko dziwne wrażenie, jakiego zaraz po wyjściu

z domu doznała. — Otóż zdawało jej się tak, jak i wczorej przy powrocie do domu, jakoby spojrzenie czyichś oczu goniło za nią ustawicznie. Obejrzała się kilkakrotnie poza sobie i nie dojrzała nikogo. Raz tylko wydało jej się, jakoby cień jakiś za obejrzeniem się jej przylgnął do muru oddalonej o kilkanaście kroków kamienicy. Lecz nie była pewna, czy to nie jest znów tylko przywidzenie. Szła jednak jeszcze spieszniej, bo teraz właśnie przechodzić musiała przez plac z rozpoczętemi w zeszłym roku budowlami. Z powodu mrozu i ustawicznych manifestacyj prac budowlanych jeszcze w tym roku nie rozpoczynano, więc plac stał pusty. W tej chwili prócz niej nikogo na nim nie było. Jakieś dziwne przeczucie, lęk jakiś niewytłómaczony ją ogarnął. Objęło ją niemiłe poczucie samotni. Wtem bezwiednie uczuła, że ktoś ostrożnie przybliża się do niej. Nie obejrzała się już, lecz przyspieszyła jeszcze więcej kroku. Lecz zdało jej się, jakby się wszystko na nią sprzysięgło.

Kałuże, stosy desek i cegieł, jakby żyjące jakie istoty, umyślnie zdawały się zastępować jej drogę. Potykała się o nie i biegła. Przestrzeń jednak zdawała się jakby wstecz cofać.

Czyliż nigdy nie zdoła przebyć tego pustego placu?

Mimo przenikliwego chłodu pot uperlił jej czoło.

Dobywała wszystkich sił, lecz ten, który ją gonił, był tuż przy niej. Czuła jego gorący oddech na twarzy.

Pochwycił ją za rękę.

Dzień dobry pani! Niechaj tak pani nie ucieka, — zabrzmiał jej w uszach głos wczorajszego agitatora.

Niechętnie ściągnęła brwi, lecz wspomniawszy jego wczorajsze patrjotyczne słowa, uspokoiła się znacznie.

Dzień dobry panu! — odrzekła, — ale proszę, niech pan mnie nie zatrzymuje, bo mi spieszno.

Pozwoli pani towarzyszyć sobie kawałek drogi? — zapytał.

Nie chcąc być niegrzeczną, nic nie odpowiedziała.

Lecz on szedł tuż przy niej.

Dlaczego pani tak mi nieprzychylna? — mówił. — Takiej miłości, jak moja, nie znajdzie pani na świecie, a pani odtrąca mnie dla tego Janka Borzęckiego, który nie wart uczuć pani. On panią zdradza.

Nagły błysk świadomości olśnił dziewczynę.

To pan pisał ten niecny list, który wczoraj odebrałam, — zawołała z oburzeniem. — Teraz to już wiem napewno, że to wszystko kłamstwo, co w tym liście było.

I naraz nastała w niej cisza i ukojenie, jakby ją ktoś ułaskawił z katorgi trwogi i udręki, jaka jej się przez noc całą we znaki dawała.

On zaś mówił coś do niej, usprawiedliwiając się, lecz nie zważała na jego słowa, więc zamilkł.

Uszli kilkanaście kroków.

Naraz on rzucił się na dziewczynę, niby sęp na upatrzoną zdobycz. Pochwycił ją za obie ręce, ciągnąc przemocą ku stojącej opodal pustej szopie.

W lot zrozumiała, jakie niebezpieczeństwo jej grozi. Próbowała się wyrwać, lecz on trzymał ją silnie, jakby kleszczami.

Chciała wołać o ratunek, lecz głos jej zamarł w krtani. Zresztą nikt nie dosłyszałby jej wołania na bezludnym placu. Po chwili szamotania się z napastnikiem zdołała jednak wyrwać mu prawa

rękę. Ściśniętą w kułak pięścią uderzyła go niespodzianie między oczy.

Uderzenie było nagłe i silne, bo dziewczyna, od młodu nawykła do ciężkiej pracy, miała muszkuły ręczne mocno rozwinięte.

Napastnik potoczył się i mimowoli puścił jej drugą rękę.

Ona zaś przyciskając zawiniątko z suknią do siebie, biec co cił poczęła.

Lecz w kilku susach ją dogonił.

Na szczęście z bocznej uliczki wysunęło się kilku przechodniów. — Na wołanie dziewczyny biegli jej na pomoc.

Widząc to napastnik, zaklął, puścił dziewczynę i począł umykać.

Ela skręciła w bok. Teraz czuła się już bezpieczniejsza, bo ruch na ulicach się ożywiał.

Przechodnie dążyli to w tę to w tamtą stronę. Kręciło się pełno policjantów, którzy rozlepiali białe, czerwone i zielone manifesty rządowe, zakazujące zamykania składów i biur w ciągu dnia i wzywające ludność do spokojnego zachowania się i unikania wszelkiego zbiegowiska pod groźbą użycia najsroższych środków represyjnych.

Manifesty te, podobne do wielkich białych, czerwonych i zielonawych, czarnocentkowanych motyli, miały i istnienie prawdziwie motyle, nikłe; bo ledwo naklejone, były zrywane i darte w kawałeczki przez publiczność.

Policjanci niestrudzenie nakiejali nanowo inne, tak samo brzmiące manifesty, które publiczność zrywała znów niestrudzenie i darła.

Sklepy i biura były mimo zapowiedzianych na manifestach kar wysokich wszystkie pozamykane.

Ulice natomiast coraz więcej ożywiać się poczynały.

Ela z trudem tylko torować sobie drogę mogła przez napływające coraz liczniej tłumy, aż wreszcie doszła na ulicę Senatorską, gdzie Stobniccy mieszkali.

Otrzymawszy zapłatę ruszyła z powrotem do domu. Bojąc się jednak ponownej napaści, wybrała znacznie dłuższą, lecz przez ludne ulice wiodącą drogę.

Gdy wreszcie do domu przybyła, zastała już oczekującego na nią a zaniepokojonego długą jej nieobecnością narzeczonego.

Z okrzykiem radości, pochwycił ją w objęcią, ona zaś tuląc główkę do jego piersi, zawstydziła się w głębi duszy swych wczorajszych podejrzeń.

VI.

Na Krakowskiem Przedmieściu około godziny jedenastej przed południem zebrał się naokół figury Matki Boskiej nieprzejrzany tłum, który odśpiewawszy kilka pieśni patrjotycznych, bez niczyjego wezwania rozszedł się spokojnie.

W program dnia tego wchodziło publiczne zbratanie się z żydami, „podanie im ręki pokoju, braterstwa i przyjaźni“.

W tym celu tłumy zebrawszy się ponownie po pewnym czasie, ruszyły ku cmentarzowi żydowskiemu, lecz przed rogatkami silny oddział piechoty zastąpił im drogę. Nie wiedząc teraz, co począć, zebrani ruszyli na ulicę Senatorską przed kościół Ojców Reformatów, skąd właśnie wynoszono wieńcami okrytą trumnę ze zwłokami św. p. Ksawerego Stobnickiego.

Choć karawan stał przed kościołem, młodzież nie pozwoliła nań trumny wstawić.

Sami zaniesiemy zwłoki wygnańca sybirskiego na miejsce wiecznego spoczynku, — wołali młodzi. Będziemy zmieniać się kolejno.

Jakby na umówiony znak, przed trumną na czele pochodu ustawiło się w rzędach kilkuset młodzieńców, ubranych w czamarki i konfederatki. W każdym rzędzie trzymali się młodzieńcy za ręce. Za nimi ruszyło duchowieństwo. Za trumną postępowała rodzina, a dalej wśród uczestników pogrzebu szła także Ela Sieczkowska ze swym narzeczonym.

Orszak przeszedł spokojnie obok rozstawionego oddziału wojska, dążąc na Powązki, gdzie trumnę spuszczono do grobu przy śpiewie „Boże coś Polskę". Poczem ruszono na cmentarz żydowski, gdzie rabin Kramsztyk przyjął przybywających uroczyście i w przemowie swej kładł nacisk na zbratanie się Polaków katolickiego i mojżeszowego wyznania.

I znowu odśpiewano wspólnie „Boże coś Polskę", poczem tłum podążył zwartą falangą ku zamkowi, przed którym już poprzednio gromadki innych manifestantów przystawać poczęły. Z każdą chwilą ciżba wzrastała, choć śnieg nawpół z gradem przepadywał i topniejąc na ziemi, tworzył kałuże.

Manifestanci, przemoczeni i zziębnięci, nie zważali na to i brnęli w błocie.

Ponad ich głowami powiewał istny las narodowych sztandarów, których płótna wiatr zwijał i rozwijał. — Biały ptak na każdym sztandarze zdawał się rozwijać królewskie swe skrzydła do lotu, by wieść tych bezbronnych, ramię przy ramieniu, jako wiódł niegdyś ich zbrojnych praojców.

Jakiegoż zwycięstwa ten tłum bezbronny mógł się spodziewać? — A jednak spodziewał się, że

zbiorowa wola i życzenia publicznie i gremjalnie okazane wywrą wpływ na polepszenie doli narodu.

Zdało im się, że ich piersi bezbronne są żywą twierdzą, do której wróg strzelać się nie ośmieli.

Przyszliśmy bezbronni, z pieśnią na ustach, mówili, — cóż nam za to uczynić mogą? Jedni poklękali naokół figury Matki Boskiej, modląc się głośno. Drudzy śpiewali pieśni patrjotyczne; inni znów krążyli po przyległych ulicach i trwali w oczekiwaniu, sami nie wiedząc, na co właściwie oczekują.

Wtem koło godziny szóstej nad wieczorem wysunęła się z rogu ulicy Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia kurjerska karetka pocztowa, jadąca do Lublina.

Pocztyljon zrównawszy się z rozmodlonym pod figurą tłumem, przyłożył trąbkę do ust i zagrał „Jeszcze Polska nie zginęła."

Niesłychany entuzjazm ogarnął tłumy, które jednogłośnie pieśń tę śpiewać poczęły.

Przestwór cały rozbrzmiewał tą pieśnią. Drzewa uliczne, szumiące zcicha, zdawały się jej wtórować.

Ci, którzy klęczeli, porwali się z klęczek i cały tłum w zwartych szeregach rzucił się za odjeżdżającą karetką pocztową, bijąc brawa pocztyljonowi.

Lecz z chwilą, gdy doszli do Zjazdu, z zamku poczęło występować wojsko pod bronią, zagradzając napływającemu ludowi drogę.

W okamgnieniu wojsko ustawiło się w szyku bojowym. — Środkiem stanęła piechota pierwszej i drugiej kompanji strzeleckiej pułku Sybirskiego oraz trzy kompanje linjowe pułku Kostromskiego, na skrzydłach ustawiła się jazda, składająca się ze szwadronu żandarmów i oddziału Kozaków Kubańskich, zwanych w Warszawie Czerkiesami.

Naprzeciw zbrojnego wojska stanął bezbronny lud w zbitej masie.

Długą chwilę mierzyli się wzajemnie oczami.

Głucha cisza zapanowała, jakby nikogo tutaj nie było.

Niby rój nietoperzy krążyły posępne przeczucia czegoś strasznego ponad milczącymi tłumami.

Wreszcie na odebrany od Gorczakowa rozkaz wystąpił przed front blady, jak płótno, adjunkt Ojrzyński w towarzystwie jednego jeszcze oficera i dwóch doboszy.

Wśród ponurej ciszy rozległy się głucho uderzenia w bębny, a potem donośnym, choć drżącym od silnego wzruszenia głosem wymówione słowa Ojrzyńskiego:

„Z mocy prawa i rozporządzenia władzy wzywam was, abyście się rozeszli, gdyż po bezskutecznem trzechkrotnem zawezwaniu rozpędzeni zostaniecie siłą zbrojną."

Z zapartym tchem, w głuchem milczeniu słów tych słuchano.

Ojrzyński skończył mówić, a tłum stał wciąż nieporuszony.

Niektórzy przeklinali głośno Moskali i odgrażali się wojsku kijami i laskami spacerowemi. — Większość jednak stała w zaciętem milczeniu, a nikt ani o krok się nie cofnął.

Po upływie dziesięciu minut znów wystąpił przed front adjunkt Ojrzyński.

Znów uderzono w bębny, i poczem Ojrzyński zawezwał powtórnie łum do rozejścia się.

Nikt tego ponownego wezwania nie usłuchał.

Tłumy stały milczące, poważne, skupione, zdecydowane na wszystko.

Znów upłynęło dziesięć minut, z których każda godziną się zdawała w naprężeniu groźnego oczekiwania.

Po raz trzeci ozwały się bębny i zabrzmiały słowa Ojrzyńskiego, wzywające tłum do rozejścia się.

I znów bezskutecznie.

Ojrzyński cofnął się do zamku.

I znów upłynęło dziesięć długich minut, po których upływie, Chrulew rozkazał dwom plutonom żandarmów, sformowanych w linję półszwadronową, ruszyć naprzód kłusem w zwartą ciżbę, by ją naporem koni rozpędzić.

Ciężko uzbrojeni żandarmi ruszyli z chrzęstem i brzękiem z miejsca.

Lud cofnął się w popłochu na Podwale i ulicę Senatorską, opróżniając jednak tylko środek ulicy, a cisnąc się gromadami po trotuarach.

Żandarmi byli tylko rynsztokami odgrodzeni od tłumu, który kijami straszył ich konie, chwytał je za cugle i ciągnąc na dół, zmuszał do padania na przednie kolana.

Napróżno starali się żandarmi rozproszyć zbiegowisko, które z każdą chwilą wzrastało.

Po półgodzinnem daremnem ucieraniu się żandarmów z tłumem Chrulew dał rozkaz, by żandarmi dla postrachu uderzyli płazami szabel.

Dzikie instynkta, okrucieństwo, właściwe sołdatom moskiewskim, obudziły się w nich.

Żandarmi nie płazami, lecz ostrzami szabel uderzyli na bezbronnych.

Krew poczęła lać się strugami na bruk.

Niektórzy w tłumie usiłowali się cofać, lecz odzywały się liczne głosy:

„Stać, nie uciekać; jeżeli ginąć mamy, to gińmy wszyscy razem!“

Naraz ktoś zanucił „Święty Boże!“

Lud zakotłował się, skłębił i naraz runął na kolana.

Jak kłosy w czasie burzy, pochyliły się głowy ludzkie ku ziemi.

Przepotężne „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami“ przeleciało jak gwałtowny szum wichru nad temi pochylonemi głowami, na które spadały błyskawiczne razy szabel z rąk rozwścieczonych żandarmów.

Wstrząsające jęki zakolebały powietrzem.

Nikt jednak łaski nie żądał, nikt nie uciekał.

„Od powietrza, głodu, ognia, wojny i niewoli wybaw nas, Panie,“ — huczała dalej pieśń potężna niebosiężnym dźwiękiem.

Z bezgraniczną ufnością płynął ten śpiew ponad ulicami, wznosił się w górę ku niebu do stóp tronu Świętego, Mocnego i Nieśmiertelnego Boga.

Cztery razy atakowali żandarmi bezbronne tłumy, szarżując wściekle.

Zbiegowisko jednak zwiększyło się jeszcze, bo w tej chwili od strony Krakowskiego przedmieścia przybyła procesja, powracająca z pogrzebu Stobnickiego. — Część bowiem tłumu z cmentarza żydowskiego wróciła raz jeszcze na Powązki i stamtąd teraz dopiero wracała.

Wśród tętentu koni żandarmskich i świstu szabel, wśród rozgłośnych jęków i nuconego hymnu płynęła ludzka fala głów odkrytych, by złączyć się z ginącymi rodakami.

Na czele szło kilku księży. — Jeden z nich trzymał krzyż w ręku, lecz uderzony szablą, upadł, krwią brocząc, na ziemię, a krzyż wypadł mu z rąk.

Spostrzegłszy to, znajdujący się w pobliżu młody żyd, Landau, podniósł krzyż z ziemi, lecz w tej chwili upadł, raniony ciężko uderzeniem szabli.

Na ten widok większy jeszcze entuzjazm ogarnął tłumy.

Jeźli żyd ginie w obronie godła męki Chrystusowej, to jakżeż nam godziłoby się stąd uchodzić z życiem? — mówili jedni do drugich.

Teraz jednak lud porzucił bierną postawę i począł się bronić. — Bito żandarmów kijami, laskami spacerowemi i odłamanemi od drzew ulicznych gałęziami, a kamienie wyrywane z bruku sypały się jak grad na głowy napastników.

Na Podwalu przewróciła się jakaś dorożka i kibitka. — Utworzono z tego natychmiast rodzaj obronnej barykady.

Jakiś Kozak, ugodzony silnie kamieniem w głowę, padł na miejscu trupem. Dwóch oficerów i dziesięciu szeregowców raniono ciężko. Lżej rannych było wielu między żandarmami.

Tłum ustępujący w tył pod naporem szarżujących żandarmów, w tej chwili zaraz na dawne powracał miejsca, jak odpływająca i przypływająca fala.

Chrulew nakazał wycofać się żandarmom a natomiast kazał rozwinąć się w linji bojowej dwom kompanjom piechoty, jednej do strony Podwala, drugiej do Krakowskiego przedmieścia.

Zakomenderował: „Nabij broń!“

Tłumy patrzały na to spokojnie, jak sołdaci nabijali karabiny.

Złowrogo zabrzękły odwodzone kurki karabinów.

Kilku oficerów wysunęło się naprzód, wzywając znowu zebranych, by się rozeszli.

„Tu nie ma żartów,“ — mówili, — „karabiny są nabite ostrymi ładunkami.“

Ale jakaś pogarda życia, obojętność na śmierć ogarniała tłumy.

„Strzelajcie, mordujcie bezbronnych," — odpowiadano.

Chrulew nakazał piechurom uderzyć kolbami.

Sołdaci rzucili się z impetem na lud, bijąc kolbami z wściekłością.

Rozległ się łoskot uderzeń, jakby chłopi na cepiskach bili.

Impetem natarcia żołnierze pchali przemocą wstecz lud, który też odparli na znacznej przestrzeni.

Lecz lud po chwili wracał znów na dawne miejsce.

Gorczakow, otoczony świtą generałów, przypatrywał się przez binokle z okna zamku tej przerażającej scenie.

Chrulew podjechał pod samo okno.

Chyba każę strzelać? — rzekł do Gorczakowa.

Namiestnik nic nie odrzekł, lecz skinął głową na znak przyzwolenia.

Chrulew podjechał napowrót do wojska. Celuj! — zabrzmiała jego donośna komenda.

Wznosiły się i zniżały powoli nabite karabiny piechurów, celując w zbite masy bezbronnego ludu. Poczem głucha cisza, ścinająca krew w żyłach, zaległa ponad placem. W ciszy tej czaił się lęk i zgroza.

Wojsko trzymając broń nabitą i wycelowaną, znieruchomiało a tłumy bezbronne stały jakby skamieniałe.

I długą chwilę stały te zwarte kolumny wojska z błyszczącemi hełmami i kaskami na głowach, z karabinami w rękach, mierząc oczyma te naprzeciw nich w posągowej ciszy pocisków śmiertelnych oczekujące tłumy.

Wreszcie tę martwą ciszę rozdarło słowo komendy: Pli! (Pal!).

Huknęła przeciągła salwa. — Kule ze świstem uderzyły w stłoczone masy.

Zabrzmiał jakoby jeden krzyk olbrzymi, straszny, rozdzierający. — Cały przestwór jęczał.

Na chwilę powstało straszne zamieszanie wśród krwią oblanego tłumu. — Wiele ciał drgało na bruku w ostatnich podrzutach konania.

Lud wszystek runął znów na kolana, a z piersi ludu zabrzmiało znów jednogłośnie: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny!“

I ten śpiew w tej godzinie nieopisanej zgrozy wzlatujący na skrzydłach modlitwy ku niebu, ten śpiew, z którego wiało wiarą nieżmożoną i mocą nieśmiertelną, bólem bezgranicznym, prośbą pokorną i skargą żałosną zarazem, odbijał się o mury domów, o rogi ulic i niósł się poza plac zamkowy, poza miasto, hen w dal rozgłośnem echem.

Na rogu Podwala i Senatorskiej klęczała tuż obok narzeczonego Ela, przerażona krwawym, serce rozdzierającym widokiem. Ale nie lękała się o swe życie, nie pomyślała nawet o tem, że i nad jej głową zawisło niebezpieczeństwo.

O kilka kroków od niej upadł mężczyzna jakiś, snać kilkakroć raniony, bo cały krwią ociekał. Mimo to podniósł się jeszcze o własnej sile i iść począł, opierając się ręką o mury domów, popod któremi przechodził. Każde dotknięcie jego ręki pozostawiało krwawe, okropne plamy na murach. — Ranny chwiał się na nogach, więc kilku rodaków pospieszyło mu z pomocą i wyniosło go z ciżby.

O parę kroków dalej dojrzała Ela pięcioletniego chłopczyka, który snać zgubił się w ciżbie i teraz rozglądał się naokół, wołając matki.

Kilku sołdatów obstąpiło go. Jeden z nich silnem kopnięciem powalił chłopczynę na ziemię i leżącego chciał zażgać.

Ela krzyknęła i rzuciła się naprzód, chcąc biec chłopczynie na ratunek; lecz już człowiek jakiś wyrwał go sołdatowi i wyniósł z tłoku.

Dalej znów dwaj oficerowie rosyjscy pochwyciwszy za nogi jakiegoś wyrostka, z całej siły uderzali go głową o bruk.

Naokół rozlegały się głosy oburzenia i przekleństwa:

„Zbóje, mordercy, kaci moskiewscy!“

W powietrzu unosiły się białe, zwiewne chmurki prochowego dymu, które wiatr zwijał i rozwijał naprzemian nad tym nieopisanej grozy pełnym widokiem.

VII.

Wraz z hukiem pierwszej salwy rozległ się po całem mieście okrzyk:

„Naszych mordują przed zamkiem!“

Kto jeszcze dla jakiegokolwiek powodu pozostał w domu lub na dalszych znajdował się ulicach i przedmieściach, ten biegł teraz na miejsce rzezi.

Szał jakiś męczeński ogarnął ludzi. Przypuszczenie, że oni mogliby bezpieczni pozostać w domu, gdy tamci pod zamkiem kładą się pokotem na krwawym bruku, wydawało się wszystkim czemś potwornem.

Lud warszawski tak, jak ojciec Bonifacy w Anhellim Słowackiego, „chciał zbawić Ojczyznę modlitwą“ i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny: „iść i nie broniąc się, ginąć jak męczennicy.“

Biegli więc naoślep na ogień wystrzałów jak ćmy do światła palącej się lampy.

Stara Sieczkowska uskromniwszy się z domowemi zajęciami, zasiadła ze szyciem przy łóżeczku najmłodszej swej córeczki Marychny.

Dziecko było nieuleczalnie chore na płuca, na jakie wskutek zaziębienia zapadła. Nadziei ratunku nie było i stroskana matka mogła tylko troskliwemi staraniami słodzić cierpienia powoli dogorywającego dziecięcia. A kilkoro już dzieci z biegiem lat utraciła. Z ośmiorga tylko troje pozostało przy życiu: najstarsza, dwudziestoletnia Ela, dwunastoletni Michaś i dziesięcioletnia Marychna, przy której matka właśnie siedziała, opowiadając na życzenie dziecka pewnie po raz setny jakąś cudowną bajeczkę.

Naraz jakby głuchy, przeciągły grzmot doleciał z oddali.

Matka zadrżała; zrozumiała bowiem, co ten grzmot znaczy. Zdało jej się, że jakaś straszna ciemna przepaść rozwiera się przed jej stopami.

Dech na chwilę zaparł się w jej piersiach.

Dziecko nie pojęło, co ten grzmot znaczy.

— Mamusiu, opowiadaj dalej, — prosiło.

Ale matka z ust słowa dobyć nie mogła. Ciemne jakieś koła zaczęły obracać się przed jej oczami, prędko, coraz prędzej. Na chwilę złożyła głowę swą na poduszkę tuż obok główki Marychny.

— Cóż ci to, matuś? — pytała z przerażeniem chora dziewczynka.

— Nic mi, nic, dziecię, ot tylko w oczach mi się zaćmiło od tego ciągłego siedzenia w ciasnych pokoikach. Muszę się trochę przejść na świeżem powietrzu, to mi przeminie, — uspokojała chorą pobożnem kłamstwem. — Michaś tymczasem zostanie przy tobie, aż ja powrócę.

Ale okazało się, że Michaś, który miał węgli ze sklepu do kuchenki na górę przynieść, gdzieś się zapodział.

Macierzyńskiem przeczuciem tknięta, odgadła Sieczkowska, gdzie to on pobiegł. I ona tam piec

musi. Głos nieprzezwyciężony mocy wielkiej, głos wewnętrzny woła ją tam, gdzie niebezpieczeństwo zawisło nad głowami jej dzieci.

Chorej Marychny nie mogła jednak pozostawić samej, więc uprosiła sąsiadkę, by ją przy dziecku zastąpiła.

Sąsiadka ta miała nogi sparaliżowane, przesuwano ją z miejsca na miejsce na fotelu z kółkami. Ona to wraz ze swą pięcioletnią wnuczką pozostała przy chorej, bo z dorosłych, kto tylko zdrów był, ten biegł w stronę placu zamkowego.

I Sieczkowska dążyła tam, popychana macierzyńską troską, a choć biegła co sił, mimo to zdawało jej się, że ta droga, którą miała do przebycia, końca mieć nie będzie. Ogarnęło ją ogromne znużenie. Tętna w skroniach biły jej jak młoty. Zdało jej się, że spieszy już tak od bardzo dawna, że ani przypomnieć sobie nie może od kiedy. Biegła jednak ciągle bez odpoczynku. Ludzie napotykani przesuwali jej się przed oczyma, jak cienie. Mgła jakaś oczy jej przesłaniała.

Po drodze przyłączyła się do procesji dążącej także na plac rzezi od strony kościoła Bernardynów.

Na czele procesji szedł uczeń szkoły sztuk pięknych, Karol Nowakowski, z długim krzyżem w ręku. — Zaintonował „Święty Boże“, a lud, idący procesją, śpiewał za nim.

I znów ta pieśń, wstrząsająca do głębi, śpiewana tysiącami ust a zespolona w jedno przepotężne wołanie, płynęła ponad miastem i niosła się w niebo z głębi udręczonych serc polskich. Ta pieśń, ustawicznie po ulicach się powtarzająca, zdawała się zmieniać ulice w kościół i prosić i zniewalać wprost potęgą wiary i bólu, aby ten Bóg święty, Mocny i Nieśmiertelny wysłuchał błagania nieszczęsnego narodu.

Słowa pieśni i widok rozegzaltowanego tłumu podziałał, jak haszysz, na usposobienie Sieczkowskiej. Entuzjazm tłumów i jej się udzielił tak łatwo, jak jaka choroba zakaźna. Jakby bruk, po którym stąpała, rozpalonym był i jej, tej roztropnej kobiecie udzieliła się gorączka pragnienia, by iść i zginąć wraz z innymi. Już nawet mniejszy ból odczuwała na myśl, że dzieci jej tam polegnąć mogą — boć to przecież „za Ojczyznę!"

I te dwa słowa „za Ojczyznę" działały tak, że wszystko wobec nich wydało jej się tak małem i nic nieznaczącem, jakby patrzała z olbrzymiej jakiejś góry na dół, gdzie wszystko, nawet ludzie wydają się drobnymi, jak mrówki.

„Za Ojczyznę" szeptała drżącemi wargami. A naokoł niej brzmiały dalej słowa pieśni:

„Od nagłej i niespodziewanej śmierci —
zachowaj nas, Panie!

My grzeszni Ciebie Boga prosimy —
wysłuchaj nas, Panie!"

Zbliżano się już do placu.

Pułkownik żandarmerji, Tałajewski, zabiegł z częścią swego pułku drogę przybywającym i nakazał pochwycić żywcem dowódcę procesji.

Nowakowski jednak bronił się rozpaczliwie, a nie mogąc czem innem, zadawał napastnikom ciężkie ciosy krzyżem, który całkiem połamał o głowy Moskali.

Wreszcie pięciu żandarmów ujęło go i szamocącego się uprowadziło przemocą do zamku.

Procesja jednak połączyła się z tłumem właśnie w chwili, gdy ponowna salwa zabrzmiała.

Rozległy się rozdzierające jęki i głuche odgłosy ciał upadających wznak na bruk.

Stara Sieczkowska ujrzała naokół siebie krwią oblane postacie, których odzież na piersiach i piersi same od kul wprost poszarpane były na krwawe strzępy

Usta wielu poległych rozwarte były jeszcze, jakby na drugim świecie hymn przerwany chcieli dokończyć. Niektórzy w stygnących dłoniach ściskali pomięte sztandary.

A pieśń, jakby jękami nabrzmiała, krwią nasiąkła, rozbrzmiewała coraz silniej i potężniej:

„Abyś nas do prawdziwej pokuty przyprowadzić raczył, — prosimy Cię, Panie!

Abyś karanie Twoje od nas oddalić raczył, — prosimy Cię, Panie!“

W tej chwili od strony ulicy Senatorskiej zjawiła się nowa procesja, którą wiedli ojcowie Kapucyni, a wśród nich imponujący wzrostem ksiądz Wacław Nowakowski, brat pojmanego poprzednio Karola.

Krwawy widok, jaki się oczom jego ukazał, tak silny cios na jego wrażliwy na ludzki ból umysł sprawił, że nieszczęsny Kapucyn dostał nagle wskutek tego pomieszania zmysłów.

A Gorczakow nawpół nieprzytomny patrzał na to wszystko przez binokle z okien zamku.

Ktoś w otoczeniu jego rzekł:

„Istni Hugonoci!“

— Tak, — odparł machinalnie.

Oczy moskiewskich generałów, jak przyczajone sępy, krążyły nad tym krwawym placem, na którym szerzyło się okrutne dzieło zniszczenia. I nieubłagani, jak przeznaczenie, siepacze cara patrzeli na tę walkę zbrojnych rot z determinacją ginącego ludu.

Rrzeczywistość wydawała się podobną do dręczącej zmory sennej, do halucynacji gorączkowej, przechodzącej miarę możliwości.

Co kwadrans rozbrzmiewały nowe salwy.

W przerwach między salwami lud podnosił rannych i poległych, których im wojsko przemocą z rąk wydzierało i unosiło do zamku. Przychodziło do istnych bójek na pięści o rannych i o trupy między ludem z żołdactwem, które rannych wlokło za nogi, uderzając ich głowami nielitośniwie o bruk, dobijając ich i pastwiąc się nad nimi.

Chwilami pieśń wśród tłumu rwała się i milkła i martwa cisza zalegała nad tym placem bólu, krwi i śmierci. — Lecz znów z ust klęczących zrywała się ta pieśń i niosła się nieprzebraną falą ku niebu, jakby żaląc się nad niedolą ginącego ludu.

W przestankach między strzałami z pośród klęczących mas wysuwali się też ludzie i zaklinali gorąco rodaków do rozejścia się

Napróżno jednak. — Tłum stał, jakby w ziemię wryty.

Lecz zdarzało się, że gdy właśnie nowe salwy zagruchotać miały, ten i ów starał się wymknąć z tłumu.

Wtedy ci, którzy przedtem prosili, by się rozejść, wołali:

„Teraz stać, kiedyście wprzódy nie chcieli się rozejść!“

Słowa te znajdowały posłuch, choć za każdą salwą wielu padało, by już nie powstać więcej.

Rannych, których nie zdołali pochwycić sołdaci, składał lud w cukierni Beelego na rogu Podwala i Senatorskiej, w hotelu Europe'skim, w resursie, w szpitalu Marcinkanek, w lazarecie św. Rocha i Dzieciątka Jezus.

Do Marcinkanek zaniesiono też rannego żyda, Landaua, (tego samego, który krzyż ze ziemi podniósł) lecz mimo natychmiastowej pomocy lekarskiej umarł niebawem.

Po mieście kursowały dorożki, w których młodzież, w konfederatki i czamarki przybrana, rozwoziła rannych. — Z dorożek lała się krew na bruk tak, że cała Warszawa była jakby jakie morze czerwone po niej przepłynęło, pozostawiając po sobie osad krwawy.

Tuż koło starej Sieczkowskiej przewożono w dorożce odkrytej jakiegoś rzemieślnika, któremu kula ze sztucera bok przeszyła.

Ludzie kłaniali mu się z wielką czcią, jaka bohaterowi przynależy.

On zaś zdjął z głowy konfederatkę i choć głos rwał mu się ze słabości, zawołał o ile mógł najgłośniej:

„Niech żyje Polska“!

Poczem opadł omdlały na siedzenie, a ocucony z omdlenia, skonał.

Trochę da ej niesiono jakiegoś snać dogorywającego młodzieńca, który drżącym głosem wymieniał adres swych rodziców, aby go tam odniesiono. Zaledwie zdołał to wypowiedzieć, umarł; lecz na stygnących ustach przywarł mu uśmiech ekstatyczny, promienny. Młodzian zdawał się tylko być uśpionym i o czemś miłem śnić.

Lecz Sieczkowska rozglądała się naokół za swemi dziećmi. — Dojrzała wreszcie opodal Michasia, który wyrywając kamienie z bruku, ciskał je na głowy celujących właśnie w tłum Moskali.

Chciała się rzucić ku niemu, lecz w tej chwili zagruchotały nowe salwy.

Poprzez dym od wystrzałów dojrzały oczy matki, że Michaś padł krwią zbroczony na ziemię.

Jęknęła głucho, jakby ta kula, która w chłopczynę trafiła, jednocześnie i jej pierś przeszyła. Ból straszny, niewypowiedzialny ścisnął jej serce. Podbiegła i pochyliła się nad drgającem ciałem syna; uniosła chłopcu główkę i z pomocą jakiegoś człowieka niosła go do resursy. Lecz ta stygnąca główka syna nad miarę ciążyła jej macierzyńskim dłoniom. Musiała oddać komuś innemu do niesienia dziecko. Sama szła obok wpatrzona w blednącą coraz więcej twarzyczkę chłopięcia.

Chłopię rozwarło oczęta, a dojrzawszy pochyloną nad sobą matkę, zawołało urywanym głosem:

„Boli, oj boli, ale własną ręką dwóch Moskali zabiłem, jednego w głowę trafiłem, drugiego w piersi, ani drgęli.“

Przyszedł doktor, i z pomocą matki począł chłopca rozbierać, by mu ranę opatrzyć; lecz właśnie, gdy mu miał kulę z piersi wyjmować, Michaś przechylił w tył główkę, zawołał „mamo“ i opadł na poduszkę.

Pęk krwawych ślin wypłynął mu na usta.

Boże, zachowaj me dziecię! — błagała Sieczkowska z głębi rozdartego bólem serca.

Michaś zacharczał, wyprężał się i zesztywniał.

Przywarła ustami do jego warg stygnących, jakby w nie ciepłe swe tchnienie przelać chciała, a z nawału jej sknębionych myśli wypełzła jedna: Dlaczego się to wszystko stało, i czemu Bóg wszechmocny nie wysłuchał jej prośby, nie zachował jej chłopięcia przy życiu? Straszne, dręczące pytanie, na która jednak sama odpowiedź znalazła.

To za Ojczyznę, — szeptała zbielałemi jak u martwego Michasia wargami.

Potem za chwilę dobrotliwa jakaś moc przysłoniła jej wszystko mgłą niepamięci.

Niech panią Bóg pocieszy! — posłyszała słowa doktora, odzyskując przytomność.

To za Ojczyznę! — szepnęła znowu.

Ktoś znajomy podjął się odnieść zwłoki Michasia do jej mieszkania.

Ona, sama nie chciała się stąd oddalić. — Toć jeszcze drugie jej dziecię i przyszły zięć znajdowali się w niebezpieczeństwie, a bez pewności o ich losie nie chciała powracać do domu.

VIII.

Tymczasem co kwadrans nowe gruchotały salwy.

Wsród krwią ociekającego, śmiercią przerzedzonego tłumu klęczała Ela przy narzeczonym, a zarówno jej, jak i jemu, zdawało się, że to było ich obowiązkiem wytrwać tu do końca i że myśl o własnem bezpieczeństwie byłaby czemś potwornem wobec zgonu tylu ofiar.

Coraz nowe wyłomy czyniły kule moskiewskie w tym żyjącym murze, który plac zamkowy naokół opasywał. Bruk, ściany okolicznych domów i okna parterowe były krwią zbryzgane. Naokół leżały trupy, konający i ranni; a nieranieni dotąd i żywi z uporem rozpaczy trwali na śmiertelnem stanowisku.

A śmierć nieubłagana kosiła ciągle i obfite zbierała żniwo. Przysiadała na piersiach ciężko rannych i kościstą swą dłonią tamowała im oddech, zaglądała w ich rozwarte źrenice i blask ich chłodnem swem wejrzeniem gasiła na wieki. Drgające jeszcze w podrzutach konania ciała dotknięciem swem pogrążała w martwej nieruchomości i zwycięska, triumfująca krążyła między tymi, którzy jeszcze dotąd ocaleli, upatrując wśród nich nowych ofiar. Dojrzała świeżą, cudną twarz Eli i błyszczące nie-

ziemską ekstazą oczy klęczącego obok niej młodzieńca i niedostrzeżona przez nich chyłkiem się ku nim czaić zaczęła.

Jakiemś przeczuciem tknięta, spojrzała Ela przed siebie. Naraz blask przerażenia zapłonął w jej modrych źrenicach. —

Naprzeciw, wśród mierzących do ludu szeregów dojrzała owego agitatora, który dzień poprzednio tak gorąco do manifestacji namawiał i który ją dziś rano na pustym placu budowlanym napadł. Mimo munduru wojskowego, jaki miał na sobie, poznała go natychmiast.

I on ją dojrzał. Jakiś zły uśmiech wybiegł mu na usta. Wycelował lufę karabinu wprost na klęczącego obok niej Janka.

Objęła narzeczonego ramionami, zasłaniając go od strzału. W tej chwili poczuła ból i gorąco w lewej piersi i łopatce. Ciemno zrobiło jej się w oczach. Ramiona jej, obejmujące postać ukochanego, osunęły się bezwładnie. Poczęła bić rękoma powietrze tak, jak ptak raniony skrzydłami.

W tej chwili z karabinu jej zabójcy padła druga kula i ta zraniła ciężko Jana Borzęckiego w lewy bok blisko serca, które ominęła.

Ranny runął z cichym jękiem na ziemię.

Z szeregów wojska rzucił się ku niemu ten, który jego i Elę trafił i z pomocą jeszcze kilku sołdatów wyrwał rannego z rąk usiłujących go unieść ziomków.

Powleczono go do cytadeli.

W tym samym czasie omdlałą Elę niosło kilku rodaków do resursy, u której wyjścia stała właśnie nieszczęsna matka.

Na widok niesionej, krwią ociekającej córki nie miała już łez ani jęku, bo ból jej był tak wielkim, że nie mógł znaleźć ujścia nazewnątrz. Coś w niej

wewnątrz rozprężyło się, łamało i łkało; ale oczy pozostały suche, a usta nieme. W milczeniu weszła wraz z posępnym pochodem do resursy, gdzie już pełno rannych leżało.

Elę zaniesiono do jadalnego pokoju i złożono na znajdującej się tam sofie.

Jeden z lekarzy, którzy opatrywali rannych, przybiegł z narzędziami chirurgicznemi.

Ela odzyskała przytomność przy bolesnem sondowaniu rany i wyjmowaniu kuli i poznała matkę.

Po usunięciu kuli chiano ją przenieść do pobliskiego szpitalą.

Miała jeszcze tyle sił, że podniosła się, wstydliwie naciągając odzież na odkryte piersi.

Błagam, pozwólcie mi iść samej, — prosiła, — tylu rannych czeka na opatrunek.

I rzeczywiście potrzebujących opatrunku było zbyt wielu, by obecni lekarze mogli nadążyć z niesieniem im pomocy.

Ela, wsparta na matce, uszła kilka kroków, lecz opuściły ją siły i zwisła omdlała na ręce matki.

IX.

O tym samym czasie margrabia Wielopolski miał u siebie na kolacji przyjaciela swego Helcla i bankiera Enocha. — Siedzieli właśnie w trzech przy herbacie, gdy doktor Chałubiński wpadł drżący z przerażenia do jadalnego pokoju.

Panowie tu sobie spokojnie herbatę zapijacie, a tam na placu zamkowym mordują lud.

Jakto? Co się dzieje? — pytali równocześnie Wielopolski, Helcel i Enoch.

Chałubiński pokrótce opowiedział co się święci.

Pojadę natychmiast do zamku, — rzekł margrabia — i skłonię Gorczakowa, by wstrzymał niezwłocznie dalszy rozlew krwi.

Skinął na służącego:

Biegnij do stajni i każ na gwałt zaprzęgać.

Do krytej karety, — dodał Chałubiński, — bo lud ogromnie przeciw tobie, margrabio, wzburzony. Gotowi cię żywcem ukamienować, jeśli cię postrzegą.

W kilka minut konie były zaprzężone do krytej karetki, do której wsiadł margrabia, syn jego Zygmunt i bankier Enoch; na koźle zaś obok stangreta umieścił się doktor Chałubiński.

Na wszelki wypadek margrabia zaopatrzył się w dwa nabite rewolwery.

Gdy już powóz miał ruszyć, wychylił się z okna do Helcla.

„Si je ne reviendrai pas, — rzekł po francusku, nie chcąc być zrozumianym przez służbę, — vous disez à ma femme, que j'ai fait mon devoir.“ (Jeźli nie powrócę, powiesz mej żonie, że spełniłem mój obowiązek).

Stangret palnął z bicza. — Konie ruszyły wyciągniętym kłusem; lecz wnet dla natłoku, panującego na ulicach, musiały zwolnić biegu.

Karetka mogła się tylko wolno posuwać; a gdy się ukazała na wąskiem Krakowskiem przedmieściu, rozległ się naraz donośny, ochrypły głos:

„Trzymaj, trzymaj!“

To stojący opodal Piotr Umiński, urzędnik komisji spraw wewnętrznych, dostrzegł przez szybę powozu znajdującego się wewnątrz margrabiego.

Tłum otoczył karetkę. Pochwycono konie za uzdy.

Kto jedzie? — pytano.

„Delegacja do namiestnika, aby zaprzestano strzelać“, — odrzekł Enoch, wychylając się z głębi karetki.

„Nie wierzcie, panowie“, — wołał Umiński, — „to Wielopolski jedzie“.

Na to ozwał się z kozła doktor Chałubiński:

Przysięgam wam na wszystko najświętsze, na miłość Ojczyzny, że tu niema Wielopolskiego, że to delegacja do Gorczakowa, by rzezi kazał zaprzestać.

Doktor Chałubiński cieszył się wielką popularnością. Znana była jego prawdomówność, mimo której zmuszony był teraz do kłamliwego wybiegu, by umożliwić Wielopolskiemu akcję ratunkową. W dobrej intencji wypowiedziane przez Chałubińskiego kłamstwo odniosło pożądany skutek.

Przepuszczono karetę. —

Lecz Umiński wciąż zaklinał się, że dojrzał w karecie Wielopolskiego.

Ktoś z tłumu rzucił kamieniem za dojeżdżającą do zamku karetą. Inni poszli za tym przykładem i wnet posypał się istny grad kamieni, które wytłukły szyby w oknach powozu.

Margrabia i jego towarzysze byli pokaleczeni odłamkami szkła i pociskami kamieni, a obryzgani błotem.

Przed zamkiem kordon wojska otoczył karetę, zatrzymał i przepuścił ją dopiero, gdy salwy ucichły.

Cóż musiał w tem czasie odczuwać margrabia Wielopolski? Bez wątpienia miłował on kraj swój gorąco, a jednak przez swój nietakt i rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego z osobistych pobudek dał bezpośredni powód do narodowej ósmego kwietnia manifestacji, a tem samem bezpośrednio i do rzezi dnia owego. — Sam się przed sobą i drugimi

uniewinniał; ale trybunał wewnętrzny, jaki każdy człowiek sam przeciw sobie nosi, musiał go jednak potępiać.

Jednocześnie prawie z margrabią usiłowała także dostać się do zamku deputacja miejska ze Szlenkierem na czele w poselstwie do Gorczakowa by kazał zaprzestać dalszych strzałów. — Ale deputacji tej już nie przepuszczono. —

Tymczasem przebrzmiała już jedenasta, ostatnia salwa.

Noc już zapadła, a że nikt nie miał czasu ani głowy po temu, by pomyśleć o zapaleniu latarń ulicznych, więc mrok ciemny, jakby kirem żałoby, spowijał całe miasto.

Chrulew nakazał wojsku cofać się do zamku.

Lud rozbiegł się teraz po placu zamkowym, ponad którym zdały się jeszcze unosić mrące echa jęków, jakby fale powietrzne drżały jeszcze od ostatnich westchnień zamordowanych.

Zwolna plac opustoszał.

Lud rozpływał się po przyległych ulicach.

Gromadka kobiet przystanęła na Krakowskiem Przedmieściui klęknąwszy przy figurze Matki Boskiej, zanuciła „Salve Regina“, choć śpiew co chwila rwał się na drżących ustach.

Reszta tłumu krążyła po dalszych ulicach.

Nikt nie miał odwagi wracać do domu z krwawem wspomnieniem dnia tego, z wyjącym bólem w piersiach.

Wiatr uspokoił się trochę. Wypogodziło się choć na krótko. Na niebie zalśniły gwiazdy i srebrny sierp księżyca. W drżącej poświacie gwiazd i miesiąca płynęły w przestrzeni mgły nocne, białe, podobne do mar mogilnych, zjawiających się nocną porą żyjącym.

I ponad krwią ociekłem, w mroku pogrążonem miastem zdawała się sunąć we fali powietrznej nieskończona procesja dawno poległych dzieci tej ziemi.

I przeciągały bez końca korowody. — Sunęły hufcem niezliczonych, jakby ich w głębi ziemi ze snu śmiertelnego jęki ginących dnia tego rodaków zbudziły. Zastygłemi oczami, z bólem niewypowiedzianym, spoglądały cienie na krwią bezbronnych oblaną stolicę kraju, na ten lud niespokojnie krążący i w bólu śpiewający „Salve Regina".

I sunęły, zda się, cienie poległych kmiotków, w sukmanach, z kosami kościuszkowskiemi i szeregowcy w czamarkach i ociekający wodą topielcy z fal Berezyny i w narodowe mundury przybrani powstańcy z 1831-go roku, okryci ranami lub z powrozami na szyi, i wygnańcy gdzieś w zapomnianych mogiłach w tajgach sybirskich spoczywający. — Wszyscy, zda się, ze swych grobów w tę straszną noc powstali i cicho, bezszelestnie płynęli nieskończonym korowodem ponad Warszawą.

W tem z wielkim szumem i blaskiem na tle mrocznej przestrzeni błysnęło, sypiąc iskrami, dwanaście ognistych wężów od strony zamku.

To Chrulew kazał puścić z zamku dwanaście rakiet, jedną po drugiej, dając tem umówiony znak wojsku z koszar, by zajęło wyznaczone placówki na mieście.

Popłoch powstał wśród krążącego po ulicach ludu.

„Co to znaczy?" „Czyżby z cytadeli miano bombardować miasto?" — pytali jedni drugich.

Lecz zaledwie rakiety zgasły, z fortu Włodzimierskiego cytadeli zagrzmiały po sześć razy wystrzały armatnie.

Poczęto w przerażeniem uciekać.

Rozległ się trzask zamykanych na gwałt drzwi i bram domów, lecz prawie jednocześnie zadudniały

na bruku kopyta końskie. — Tabun wojska na rozpędzonych koniach galopował ku miastu, aż iskry z pod kopyt się sypały.

Piętnaście tysięcy żołnierzy wpadło jak huragan do miasta.

Zapalono nagle wszystkie latarnie i płomień ich powiększono. Łuna jaskrawego światła oblała krwawy bruk, lśniące hełmy i pałasze żandarmów, szable kozackie i lance ułańskie.

Pędzili przez Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Aleje Jerozolimskie, przez ulicę Marszałkowską i Królewską, wiodąc ze sobą sześć dział ze zapalonemi lontami.

Kozacy bili nahajkami napotykanych rzadkich przechodniów.

Kto nie zdołał wczas umknąć, ten ginął pod kopytami końskiemi.

Przebiegli po ulicach jak wicher, znikali jak cienie, tylko w dali jeszcze kopyta końskie dudniły po bruku.

Lęk i groza sunęły przed nimi i za nimi, a ciche, przeciągłe, coraz bardziej słabnące i umierające na wieki jęczenie brzmiało ich śladem. Odgłosy tych jęków zdawały się jeszcze brzmieć w przestrzeni, gdy już cisza śmiertelna zaległa.

W tej ciszy każde z dali dochodzące uderzenie kopyta o bruk brzmiało jak grzmot przeraźliwy, a każde świśnięcie nahajki rozlegało się przeciągłem echem.

Wojsko lokowało się teraz na wyznaczonych stanowiskach.

Na placach: Zamkowym, Krasińskich, Saskim, Bankowym, Zielonym i Trzech Krzyży, na Nalewkach i w Alejach Jerozolimskich rozłożyło się wojsko biwakiem, rozpaliwszy ognie, jak w dobytem mieście.

Krwią ociekła, kirem żałoby okryta stolica była podobna do wielkiego cmentarzyska, na którem, jako wśród rumowisk pozwalanych grobowców, rozsiadła się dzika horda żołdactwa.

Patrole wojskowe i policyjne krążyły ustawicznie po ulicach. Dobijano się do drzwi domów prywatnych, hoteli i lokali publicznych, do bram klasztornych, i urządzano wszędzie rewizje, zabierając przemocą rannych i trupy, które na krytych furgonach wywożono.

Skrzypiące wozy, naładowane strasznym ciężarem, snuły się ciągle drogą wiodącą do cytadeli. — Widok ich przypominał czasy prześladowania pierwszych chrześcjan, kiedy to z amfiteatrów i cyrków pogańskiego Rzymu wywożono na wozach szczątki męczenników do wspólnych dołów.

Po mieście samem rozlegał się świst nahajek i brzęk pałaszy i lśniły ognie biwakującego wojska, a działa ze zapalonemi lontami stały gotowe do strzału.

X.

Ela Sieczkowska, przeniesiona do szpitala, dostała silnej gorączki, jaka wywiązała się nie tylko wskutek odniesionej rany, ale i z powodu strasznych wrażeń dnia minionego.

Rana zaś rozjątrzyła się i zaogniła tak bardzo, że trzeba było pierś odjąć celem zapobieżenia gangrenie.

Ela przetrzymała operację, lecz czynność serca słabła z każdą chwilą, puls ustawał.

Doktorzy zwątpili o możliwości utrzymania dziewczyny przy życiu i odeszli do innych chorych, potrzebujących na gwałt ratunku.

Przy łóżku Eli pozostała matka, trzeźwiąc konającą kamforowemi kroplami, jakie doktor tylko dla jej uspokojenia pozostawił.

Ciężko dysząc, leżała ranna na poduszkach tak białych, jak jej twarz pobladła.

Śmierć, która się do niej już tam w pobliżu Placu Zamkowego skradała, nie myślała o porzuceniu swej ofiary. Wytrwała, cierpliwa krążyła bezprzestannie naokół łoża ciężko dyszącej dziewczyny, zaglądając co chwila w jej gasnące oczy, czy już ofiara gotowa była do ostatecznego cięcia? — Ale iskra życia tliła jeszcze tłukącem niespokojnie sercu Eli, której przed zgonem całkowita świadomość wróciła. Myśl dziewczyny krążyła, jak ptak, nad głową ukochanego. Padając na placu Zamkowym na ziemię, dojrzała Ela jeszcze, jak przez mgłę, że i jej Janek osunął się na bruk, krwią brocząc. Nie wiedziała jednak, czy poległ, czy też jest tylko ranny i gdzie się znajduje?

Nikt jej tego nie mógł objaśnić; a dowiedzieć się czegoskolwiek w mieście, po którem uganiał tabun wojska na rozpędzonych koniach, było istnem niepodobieństwem. Ciężko jej było umierać, nie wiedząc, jaki los spotkał jej narzeczonego.

Lecz anioł snu ulitował się nad nią i zanim śmierć na zawsze oczy jej zawarła, skleił poprzednio jej powieki. — Zasnęła snem błogim, a ostatnim, jaki śnić miała na ziemi.

I w śnie tym ujrzała postać umiłowanego, postać przejrzystą, nieuchwytną, do mary zwiewnej podobną, nieziemskim blaskiem otoczoną. Pochylił się nad nią i poczuła muśnięcie tak lekkie, jakby skrzydła motyle dotknęły jej czoła, a cichy, do szelestu wiatru podobny głos brzmiał w jej uszach:

Pójdź, czekam na ciebie!

Zbudziła się z uśmiechem promiennym na ustach. Z serca jej znikł niepokój o los ukochanego. Wiedziała teraz napewno, że narzeczony wyprzedził już ją do lepszego świata, do którego i ona niebawem podąży.

Śmierć stała już u jej wezgłowia, lecz ona uśmiechała się do niej, jak do rajskiego widzenia, bo ta śmierć połączyć ją miała na wieki z ukochanym. Ani chwili bowiem nie wątpiła Ela w prawdziwość tej sennej wizji przedśmiertnej. — Żal jej tylko było matki. Ostatnim wysiłkiem pochwyciła jej szorstką, spracowaną rękę stygnącemi ustami przylgnęła do niej.

Matuś, nie żałuj mnie, tam mi dobrze będzie, szeptała gasnącym głosem.

Ale stara Sieczkowska nie patrzała na konającą córkę; ona oczy swe utkwiła w wizerunku Ukrzyżowanego Zbawiciela, wiszącego na środku ściany w sali szpitalnej.

Wierzę, wierzę, — szeptała drżącemi usty, — że Ty, Chryste, możesz ją ocalić.

A w tym przytłumionym szepcie było i błaganie i rozpacz i jakby ukryta groźba, że ona matka przestanie wierzyć, jeśli Ten Ukrzyżowany córki jej nie ocali.

Ale Chrystus na krzyżu rozpięty milczał, skłaniając nisko na piersi Swą umęczoną głowę.

Dziewczyna wydawała właśnie z siebie ostatnie tchnienie.

Prócz niej w tej samej sali skonało jeszcze kilka kobiet; a w innych salach umarło tej nocy wiele osób obu płci.

W prostych, naprędce zbijanych trumnach składano trupy. Sieczkowska stała jakby bez czucia nad trumną, do której złożono Elę. Zdało jej się, że to wszystko, ta rzeź krwawa i śmierć Michasia

i córki to tylko straszna, ciężka zmora senna, która rozwieje się gdzieś za przebudzeniem; że to nie może być rzeczywistość.

Wtem rozległ się głuchy stuk młotka, którym przybijano wieko trumny. Wstrząsnęła się. Błysk bolesnej świadomości zapalił się w jej oczach. Ręce jej drgały kurczowo, jak skrzydła zranionego ptaka, lecz twarz kamieniała w jakimś martwym, tępym bólu. Bez łzy patrzała, jak wraz z innemi trumnami wyniesiono i tę ze zwłokami Eli.

Przed szpitalem stały już wozy, na które wstawiano trumny.

Jeden wóz za drugim ruszał kolejno w stronę cmentarza.

Sieczkowska szła, jak nieprzytomna, za tym żałobnym, w mrokach nocy zdążającym pochodem.

Wierzę, wierzę, — szeptała ciągle do siebie, pomna na to, że Ten, który Łazarza i córkę Jaira wskrzesił, jeśli zechce, może i dla niej cud uczynić.

Wierzę, wierzę, — mówiła, — a ten jednostajny wciąż powtarzany szept zawierał w sobie więcej bólu macierzyńskiego niż najboleśniejsza, głośna skarga. Nie płakała, lecz te łzy niewypłakane, niby krople roztopionego ołowiu, padały w głąb jej serca, sprawiając ból niewymowny.

Żałobny pochód wszedł na mrokiem zalany, nagle błyskiem niesionych latarek oświecony cmentarz. Wśród tych migotliwych, niedostatecznie mrok rozjaśniających świateł wił się pochód po gankach cmentarza, to niknąc, to wyłaniając się z cieniów, aż wreszcie stanął nad szeregiem wykopanych mogił, do których kolejno spuszczano trumny.

Rozległy się uderzenia łopat, zasypujących ziemię.

Potem zabrzmiało krótkie „Requiescat in pace".

Cmentarz opustoszał i znów zaludnił się po pewnym czasie.

Przez ten cały czas w mroku blada, jak płótno, twarz starej Sieczkowskiej majaczyła nad świeżo usypaną mogiłą, kryjącą zwłoki jej córki.

Ludzie odchodzili i przychodzili na cmentarz, a ona stała wciąż nieporuszona.

Słońce weszło już na niebo. Godziny poranne mijały, a ona stała, jakby w posąg obrócona.

Naraz drgnęła, poczuwszy na ramieniu swem ciężką rękę.

Przy niej stał kapłan, który w szpitalu przed operacją udzielił Eleonorze ostatnich sakramentów świętych i który ją potem wraz z innymi zmarłymi na miejsce wiecznego spoczynku odprowadził. I teraz znów przybył na cmentarz Powązkowski, by dopełnić obrządku pogrzebowego nad świeżo przywiezionymi nieboszczykami. Kapłan ów znał osobiście rodzinę Sieczkowskich.

Nie zapamiętuj się tak, kobieto, w swym bólu, — rzekł do niej. — Pomnij na Boga i na to, że masz jeszcze dzieci w domu. (Nie wiedział, że Michaś już nie żył). Inni wszystkich swych drogich wczoraj potracili, a poddali się woli Bożej. Grzechem jest taka rozpacz bezmierna.

Słowa księdza oprzytomniły Sieczkowską, przypominając jej, że tam w domu czeka na nią chora Marychna i wygląda pewnie z niepokojem powrotu matki. Tam w domu leżą też martwe zwłoki Michasia, które na śmiertelnej pościółce w trumnie matce złożyć się należy.

Westchnęła ciężko i opuściła cmentarz.

Wracając do domu, przechodziła przez krwią zbryzgane ulice, na których wszystkie sklepy i biura, jakby w jakie święto, pozamykane były; a wojsko

biwakowało na wyznaczonych stanowiskach przy działach.

Rychło ci patrzeć, jak ze spiżowych, ogniem ziejących, krwawego żeru żądnych gardzieli armatnich wyjdzie ryk zniszczenia, a gruzy zasypią nieszczęsne miasto.

Patrole co chwilę przebiegały ulice; lecz pozostawiały w spokoju publiczność, która krążyła po Krakowskiem Przedmieściu, Placu Zamkowym, ulicy Senatorskiej i Podwalu.

Skupiano się w małe gromadki, wzdychano ciężko, popłakiwano, wskazywano na zasychające kałuże krwi, na zryte kulami, krwią zbryzgane mury domów, z których niektóre na wylot kulami podziurawione były, jak rzeszota.

Policjanci kręcili się, świeżym tynkiem obrzucali krwią poplamione mury, zmywali krew z bruku, a większe kałuże zasypywali piaskiem i popiołem.

Mimo okrutnego bólu nad stratą własnych dzieci nie mogła Sieczkowska pozostać obojętna na widok łez i boleści ziomków na straszne, krwawe ślady wczorajszego pogromu bezbronnych.

Dlaczegóż się to wszystko stało? Dlaczego? Dręczyło ją znów pytanie, wżerające się w jej zwoje mózgowe tak, jak w chwili zgonu Michasia.

„To za ojczyznę“, — posłyszała szept wśród krążącej publiczności, jakby w odpowiedzi na dręczące ją wewnętrznie pytanie.

„Za ojczyznę“, — przywtórzyła z cicha.

I te dwa słowa działały jak haszysz, miały w sobie moc talizmanu, potęgę nakazu wszechwładnego.

I nim doszła do swego mieszkania, boleść jej osobista zmalała w jej oczach wobec boleści, w jakiej pogrążony był cały naród, którego ona

pojedyńczą, nieznaczną tylko w ogniwie całości cząstką była.

XI.

W mrocznym, wilgotnym lochu cytadeli leżał wśród trupów i rannych krwią oblany Jan Borzęcki na gołej ziemi — Leżał tam już wiele godzin Krew upływała mu z nieopatrzonej rany w boku, mdlał ustawicznie i byłby dawno ducha wyzionął, gdyby nie niespożyte siły bujnej młodości. Nietrzeźwiony przez nikogo przychodził do przytomności i wskutek upływu krwi mdlał znowu i znów przytomność odzyskiwał.

W tej chwili właśnie świadomy był swego położenia.

Zaduch panujący w przepełnionym lochu przyprawiał go o mdłości. Pragnienie bardzo mu dokuczało; język miał zeschnięty, wargi spieczone, popękane. Rana w boku bolała go dotkliwie. Moralnie trawił go niepokój o Elę. I tak ciałem i duchem cierpiał strasznie, nieludzko.

Naokół siebie słyszał raz po raz przytłumione jęki, dobywające się z pod stosu trupów, bo żywych i umarłych snać rzucano razem jednych na drugich.

Poza tem cisza panowała w lochu, straszna cisza, przerywana tylko temi przytłumionemi jękami oraz krokami szyldwachu chodzącego wzdłuż po korytarzu więziennym.

Naraz poprzez grube mury doszedł go turkot kół i skrzyp nawracanych wozów. Snać wozy jakieś nadjeżdżały. Potem rozległy się jakieś głosy przyciszone i jakby liczne stąpania. Naraz zabrzękły rygle u drzwi.

Na progu lochu w świetle latarni zamajaczyły jakieś postacie, których rozeznać nie mógł Borzęcki,

bo wskutek osłabienia mgła gęsta oczy mu przesłaniała. Otucha jednak wstąpiła do jego serca. Sądził, że wreszcie ktoś przybywa, aby się zająć rannymi. Toć niepodobno, aby ich tu dłużej razem z trupami trzymać mieli. Dadzą im chyba choć wody do picia i rany im opatrzą. Chciał się odezwać, by zwrócić na siebie uwagę. Otworzył już usta, poruszył się, lecz przy poruszeniu doznał tak silnego bólu w rannym boku, że znowu omdlał.

Gdy znowu do przytomności powrócił, ciemno znów było w celi. I znów słyszał tylko naokół siebie przytłumione jęki towarzyszy niedoli. Po chwili z korytarza doszły go jakieś przyciszone szepty, a potem spieszne bieganie; ale nie wiedział, co to ma znaczyć.

Naraz w zewnętrzną ścianę lochu uderzono czemś twardem raz, drugi, trzeci. Uderzenia powtarzały się ustawicznie w miarowych odstępach.

Począł pilnie nadsłuchiwać.

Cóż to? Oskardami uderzają w ścianę, niedługo rozwalą ją, bo już szeroki na rękę otwór widny jest w murze. Przez ten otwór do mrocznej celi wpada smuga światła od płonącej latarki.

Teraz rozumiem, co ta bieganina znaczyła, — pomyślał w swej zbolałej głowie, — widać udało się komuś ze ziomków przedostać do cytadeli, by w ten sposób oswobodzić uwięzionych rannych. Niedługo będę wolny, łudził się nieborak, — bo inaczej pocóżby rozwalano ścianę.

Za tą nikłą smugą światła, wpadającego przez wyrąbany w murze otwór, wylatywała myśl jego w dal na wolną przestrzeń hen do umiłowanej dziewczyny. Czy aby Ela żyje jeszcze? A jeśli żyje, czy bardzo dolega jej rana, którą odebrała, zastawiając mnie sobą? Kto jest tam przy niej? Czy jest przytomna i czy myśli także o mnie?

Tymczasem otwór w ścianie powiększał się z każdą chwilą, był już tak szeroki, że kilku ludzi przezeń wejść mogło.

Jakieś postacie wsunęły się do lochu i podnosząc rannych i trupy, znów wysuwały się z niemi.

Janek nie mógł doczekać się, aż przyjdzie na niego kolej. Wreszcie i jego pochwycono, a choć doznał przytem strasznego bólu w zranionym boku, ucieszył się, że wnet się znajdzie na wolności.

Wyniesiono go na świeże powietrze, które go całkiem otrzeźwiło.

Przy blasku latarek spostrzegł, że niosą go sołdaci. To go zastanowiło; ale wnet wyrozumował sobie, że to zapewne rodacy w takiem przebraniu lub też przekupione przez rodaków straże.

Tymczasem sołdaci niewielką tylko przestrzeń przebyli.

Uszu niesionego przez nich Jana Borzęckiego doszedł szum fal wiślanych, potem posłyszał jęk jakiś straszny, jakby gwałtem zduszony i jednocześnie prawie z jękiem rozległ się plusk, jakby coś ciężkiego do wody wpadło. Potem na parę sekund zaległa głucha cisza. I znów jęk i znów plusk.

Teraz pojął, co się dzieje. Jak lampa przed zgaśnięciem na chwilę zamigoce światłem, tak umysł człowieka przed jego zgaśnięciem często szybciej wszystko rozumie, niż w pełni sił i życia.

W okamgnieniu zrozumiał Jan Borzęcki, że to nie rodacy ratowali rannych z więzienia, ale Moskale topili ich we Wiśle, by ukryć przed światem rozmiary rzezi ośmego kwietnia. A ścianę dlatego rozwalili, by się prędzej załatwić z wynoszeniem ofiar.

Instynkt samozachowawczy ozwał się w nim z wielką mocą. Począł szamotać się i wyrywać z rąk trzymających go sołdatów, choć za każdem

szarpnięciem rana w boku niewymowny ból mu sprawiała.

Ale dwóch jeszcze sołdatów pospieszyło siepaczom jego na pomoc i choć rozpacz siły jego podwajała, wnet go przemogli. Zdarli z niego tak, jak i z innych ofiar, ubranie i skrępowali mu ręce i nogi.

Wiedział już teraz, że nic go uratować nie może, więc myśl jego nad krawędzią bytu ziemskiego poleciała raz jeszcze do ukochanej, a potem wzniosła się do źródła wiecznej miłości, do Boga.

Poczuł, że sołdaci podnoszą go w górę. W tej chwili wraca do domu na Solec stolarz Borzęcki, stryj nieszczęsnego Jana. I on był na placu Zamkowym w czasie salw karabinowych, ale kule go omijały, nawet zraniony nie został. Miotany niepokojem o bratanka, szukał go wszędzie i w tłumie i po szpitalach choć nadaremnie. Potem przeczekać musiał u znajomych, gdy wojsko, jak huragan, rozbiegło się po krwią ociekłem mieście. Teraz wreszcie wracając na Solec, posłyszał te przyduszone jęki i plusk fal. Przystanął ukryty w cieniu rosnącego w tem miejscu drzewa i patrzał.

Sołdaci brali po jednym lub po kilku razem związanych zarówno rannych, jak i trupy i rzucali ich we wodę.

Światło miesiąca oświetliło w tej chwili bladą twarz Jana, bratanka jego, którego właśnie wrzucali do Wisły.

Dojrzał go stryj i poznał. Chciał mu się rzucić na ratunek, ale przerażenie odjęło mu władzę w członkach. Język mu zesztywniał, nogi jakby wrosły w ziemię. Ni wołać ni ruszyć się nie mógł. Zresztą cóż byłby mógł działać sam wobec oddziału wojska?

A na Wiśle w tem miejscu, gdzie bratanka jego rzucono, z pośród bryzgów piany wysunęło się rąk dwoje kurczowo zaciśniętych i twarz posiniała, potem te ręce i ta twarz z przed ócz mu zniknęły w ciemnej toni.

Działo się to chwilkę przedtem, zanim Eleonora Sieczkowska w szpitalu ów dziwny sen przedśmiertny śniła.

Tymczasem nad brzegiem Wisły straszny plusk co chwila się powtarzał. Tu i owdzie wysunęła się z fal twarz z wyszłemi na wierzch w przerażeniu oczyma lub pierś wzdęta w śmiertelnym wysiłku i nikła, jakby tylko przywidzeniem była. To znów rozległ się jęk przyduszony nowej jakiej ofiary lub klątwa z ust którego ze sołdatów.

Wreszcie wszystko ucichło.

Fale Wisły wygładziły się i sennie, spokojnie biły o brzegi, szumiąc z cicha smętną kołysankę do snu wiecznego tym, którzy na ich dnie wilgotny grób znaleźli.

Rybacy i właściciele berlinek znajdujących się podówczas na Wiśle, widzieli także to wszystko zdala na własne oczy.

Jakiś ranny rzeźnik z prowincji, który w chwili wrzucania go do wody był w omdleniu, w chłodnej toni odzyskał przytomność. Umiał dobrze pływać i na szczęście nie był skrępowany, zdołał więc dopłynąć do miejsca, gdzie stały berlinki i skąd odwieziono go czółnem na Pragę i tak zdołał się ocalić.

W czas pewien potem w Młocinach pod Bielanami, w Zakroczymiu i Płocku fale wiślane wyrzucały na brzegi strasznie pokaleczone, obdarte do naga trupy.

Zwłoki Jana Borzęckiego wyrzuciła Wisła pod Zakroczymiem. Ciało uległo już rozkładowi i rysy

twarzy nie były do rozpoznania. Stryj poznał go jednak po złotym pierścionku z turkusikiem z datą zaręczyn nieboszczyka z Elą Sieczkowską. — Snać sołdaci, obdzierający rannych i trupy przed wrzuceniem ich do wody, w pospiechu nie dostrzegli na palcu ofiary tego pierścionka, który teraz posłużył do rozpoznania zwłok.

Stryj kazał pochować bratanka opodal grobu Eli.

XII.

Na dzwonienie Sieczkowskiej otworzyła jej drzwi mieszkania pięcioletnia wnuczka sparaliżowanej na nogi sąsiadki, która przy śpiącej Marychnie czuwała.

W pierwszym zaraz pokoiku leżał na tapczanie, okrytym białem prześcieradłem, Michaś obmyty już i odświętnie do trumny przybrany. Rączyny drobne miał na piersiach złożone i oczęta przymknięte. Na ustach zastygł mu uśmiech ekstatyczny. Wyglądał jakby spał i jakby przez sen się uśmiechał.

W kącie stała już gotowa trumienka.

Szeptem, by śpiącej Marychny nie budzić, opowiadała sąsiadka, że jej synowa, która poprzednio już z placu Zamkowego cało wróciła, zajęła się umyciem i ubraniem przyniesionych zwłok Michasia, a mieszkający w pobliżu stolarz bezpłatnie trumienki dostarczył.

Marychna nic nie wie, że Michaś nie żyje, mówiła. — Gdy go przyniesiono, otworzyła drzwi moja wnuczka, a choć to dopiero drobne dziecię, na tyle jednak roztropne, że przy chorej powiedziała tylko, że ktoś przyszedł i ma do mnie interes. Przesunęła mnie z fotelem do drugiego pokoju i dopiero drzwi przymknąwszy, wszystko mi powiedziała. Nie mogąc sama podnieść się z fotelu,

posłałam wnuczkę po moją synową i ta wszystko załatwiła. Z włożeniem dziecka do trumny umyślnie kazałam zaczekać, bo sądziłam, że wam się to, kumo, należy. Wyście układali synka do snu w kolebce i w łóżeczku, więc też i wy własnemi rękami ułożyć go powinniście w domowince do snu wiecznego.

A Marychna jak się czuje? — pytała Sieczkowska.

Marychna leży rozpalona w gorączce; bardzo też kaszlała i nie spała przez całą noc. Wciąż dopytywała się o matusię, o Elę i Michasia. Nie wiedziałam, jak ją uspokoić. Na szczęście nad ranem zasnęła i śpi jeszcze dotychczas.

Sieczkowska słuchała tego przyciszonego opowiadania, gdy wtem rozległo się gwałtowne dzwonienie i dobijanie do drzwi. Pobiegła otworzyć i struchlała, ujrzawszy sień pełną sołdatów.

Wpadli do pierwszego pokoiku; porwali trupka Michasia.

Padła im do nóg.

Na miłość boską, zostawcież mi zwłoki mego synka, — błagała.

Won, skatina, — odparł oficer, dowodzący sołdatom i zmierzający w tej chwili do drugiego pokoiku.

Powlokła się za nim na klęczkach.

Panie, tam ciężko chora córeczka moja śpi, nie budźcież jej.

Silnem kopnięciem, odsunął ją brutalnie od drzwi, które sobą zastawiała i wpadł do pokoiku.

Marychna, zbudzona se snu gwałtownem dzwonieniem i hałasem, ujrzawszy przed sobą dzikie, krwią obryzgane postacie sołdatów, a w ich rękach martwego Michasia, zerwała się z głuchym krzykiem z posłania.

Lecz w tej chwili chwycił ją gwałtowny atak kaszlu. Szkarłatna wstęga krwi wypłynęła z jej ust na pościel i na ręce matki, która się do łóżka dziecięcia rzuciła.

Wśród brzęku tłuczonych szyb i łoskotu rozbijanych przez sołdatów sprzętów brzmiało chrapliwe rzężenie konającej dzieweczki.

W parę chwil potem, gdy sołdaci zabrawszy z sobą trupka Michasia, opuścili mieszkanie Sieczkowskiej, ostatnia jej dziecina, Marychna, ducha wyzionęła.

Ale osierocona matka nie oddawała się już rozpaczy. Ból macierzyński po stracie wszystkich dzieci i ból Polki nad krwawą dolą narodu wzniósł tę prostą, z rzemieślniczych sfer pochodzącą kobietę na najszczytniejsze wyżyny ducha. To, co w niej było jeszcze słabem i małostkowem, stało się silne i szczytne.

Dzień ósmego kwietnia postarzył ją fizycznie o jakie dwadzieścia lat, czuła się słabą, zgrzybiałą, niezdatną już do pracy, ale duchowo wzniosła się już na szczyt ludzkiej Golgoty, gdzie dusza udręczona z Bogiem obcuje.

Klękła przed łóżkiem, na którem spoczywała martwa Marychna, i modliła się z głębi duszy, mówiąc:

Wierzę, Panie, wierzę, żeś jest wszechmocny i miłosierny; ale snać wolą Twoją było, bym ja na starość na łup sieroctwa, osamotnienia i nędzy wydana została, bo oto ani dziatek, ani nikogo z moich bliskich już nie mam; a siły sterane całkiem mnie opuściły. Ale dziej się święta wola Twoja. Przyjm, Panie, okrutną śmierć dziatek moich i sierocą, pełną nędzy, dolę moją na ofiarę za nieszczęsną Ojczyznę; bo ja wierzę, Panie, wierzę żeś Ty jest mocen wszystko człowiekowi wrócić,

co utracił. Ja wierzę, Panie, wierzę, bo w Tobie żywot wieczny i zmartwychwstanie.

Epilog.

Urzędowy pogrzeb ofiar rzezi ósmego kwietnia odbył się dnia dziesiątego kwietnia o godzinie dziewiątej wieczorem, przy świetle latarń. — W cytadeli koło bramy Michajłowskiej pochowano w jednym wielkim wspólnym grobie dziewięciu mężczyzn i jedną kobietę „na miejscu poświęconem“, jak się o tem raport urzędowy wyrażał.

Obrządku pogrzebowego dopełnił kapelan wojskowy, ksiądz Kaczanowski.

W raporcie przesłanym carowi o wypadkach ósmego kwietnia Gorczakow podał także liczbę poległych w dniu tym na dziesięć ofiar.

Ile w rzeczywistości osób poległo dnia ósmego kwietnia r. 1861-go, niepodobna było sprawdzić.

Z jednej strony rząd rosyjski starał się światu oczy zamydlić i ukryć, o ile możności, rozmiary rzezi.

Z drugiej strony ci, którzy drogich sobie i bliskich w dniu tym stracili lub rannych w domu swym mieli, ukrywali się z tem starannie dla łatwo zrozumiałej przyczyny, by się nie narazić na przymusowe zabranie rannych i martwych swych bliskich przez władze rządowe.

Gdy więc zarówno prześladującej, jak i prześladowanej stronie, na ukryciu rozmiarów rzezi zależało, niemożliwem jest wprost podać dokładnej liczby ofiar dnia tego.

Ówczesne relacje są też pod tym względem ze sobą niezgodne.

Za najprawdopodobniejszą przyjąć można liczbę, jaką podał lwowski „Ruch Literacki“, to jest przeszło

dwieście osób na miejscu zabitych a czterysta ciężko rannych, którzy po większej części niebawem życiem ciężkie swe rany przypłacili, nie licząc tych, którzy przez sołdatów potopieni zostali we Wiśle.

Były to ofiary na razie bezowocne. Krew ich przelana dnia ósmego kwietnia na ulicach Warszawy nie przyniosła wtedy żadnej korzyści krajowi.

Ten mord masowy bezbronnych wywołał ogromne oburzenie w całym cywilizowanym świecie.

Jeden z najpoważniejszych organów angielskich „Daily News“ pisał, że „obowiązkiem każdego oświeconego narodu w Europie, każdego rządu liberalnego będzie przeszkadzać okrutnym zamiarom cara, a Rosja może być przekonana, że mocarstwa zachodnie nie ścierpią, aby zbrodnie podobne, na Polakach dokonywane, się powtarzały.“

Zagraniczny organ zrewolucjonizowanych Rosjan „Kołokoł“ wydrukował artykuł p. t. „Mater Dolorosa“ (Matka Bolesna) którem to mianem Polskę oznaczał.

„Co za wzniosłość, co za poezja“, — pisze autor owego artykułu w Kołokole, — „te kobiety w żałobie, ten pocztyljon grający „Jeszcze Polska nie zginęła“, ten widok tłumów klęczących u stóp Madonny wobec dzikich, rozkiełznanych sołdatów“. — „Czytaliście to, Aleksandrze Mikołajewiczu?‘, zwraca się do cara. „Takich okropności nie znajdziesz nawet w balladach Żukowskiego. Jeżeli to wszystko stało się mimo twej woli, to wykryj winnych, ukarz złoczyńców, oddaj ich pod pręgierz, — albo zdejm koronę i idź do monastyru na pokutę.“

A dalej Kołokoł pisał:

„Kiedy Gorczakow, jak słowik — kochanek róży — nucił czule i zawodził tryle o łaskawościach cara i jego miłości dla narodu polskiego, to car uśmiechając się i przyklaskując dobrodusznie naro-

dowi, w tym samym czasie skrycie wyprawiał Chrulewa."

Po koszarach rozrzucano drukowane w języku rosyjskim odezwy, by żołnierze na przyszłość nie strzelali do Polaków, choćby na wyraźny rozkaz najwyższej władzy.

Wiele Rosjanek, nawet w głębi Rosji, przywdziało żałobę po ofiarach poległych na ulicach Warszawy dnia ósmego kwietnia.

Gorczakow choć sam starał się zmniejszyć do minimum w urzędowych raportach ilość ofiar, w głębi duszy przerażony był olbrzymiemi rozmiarami katastrofy. Pod naciskiem okoliczności dał milczące zezwolenie na strzelanie do bezbronnego ludu, choć w głębi duszy przychylny był Polakom.

Na rozkaz najwyższy zmuszony był także wydać odezwę do wojska, że „Najjaśniejszy Pan raczył objawić najwyższą swą wdzięczność generał-porucznikowi Chrulewowi i będącym d. 8-go kwietnia (czyli podług Kalendarza rosyjskiego 27-go marca) pod jego dowództwem wojskom za uśmierzenie nieporządków wywołanych przez tłumy wzburzonego ludu na placu Zamkowym w Warszawie."

Odezwa taka wobec rozmiarów klęski była jakoby szyderskiem naigrawaniem się nad tymi, którzy na krwawym bruku Warszawy w d. 8-go kwietnia ciosy śmiertelne w bezbronne piersi otrzymali. Odezwa taka była także moralnym policzkiem i lekceważeniem bólu tych, którzy najdroższych swych dnia tego utracili. — Odezwa taka musiała rozgoryczyć naród cały, którego oburzenie zwróciło się przedewszystkiem przeciw ślepemu wykonawcy najwyższych rozkazów, księciu Gorczakowowi.

A on nie mógł znieść wspomnienia dnia tego. — Wypadki ósmego kwietnia wstrząsnęły nim do głębi i powaliły go na łoże ciężkiej niemocy.

W gorączkowych wizjach widywał wokoł siebie ubrane w żałobie kobiety polskie, wyrzucające mu śmierć swych ojców, mężów, synów i braci. — Wszędzie, gdzie spojrzał, widział strugi krwi.

Wizje te tak go dręczyły, że śmierć była mu prawdziwą wybawicielką.

Umarł d. 30-go maja r. 1861-go, nieżałowany przez nikogo, ani przez swoich rodaków, którzy patrzeli niechętnem okiem na jego sympatje dla Polaków, ani przez Polaków, którzy mu owego milczącego przyzwolenia na strzelanie do bezbronnego tłumu darować nie mogli.

Zwłoki jego wywieziono podług jego ostatniej woli do Sewastopola.

Rozgłośny grzmot dział armatnich i żałobne dźwięki dzwonów, bijących na pożegnanie zwłok księcia Gorczakowa zwiastowały zarazem narodowi polskiemu, że teraz jeszcze stokroć gorsze nadejdą czasy.

Czad krwi przelanej dnia ósmego kwietnia zdawał się unosić w powietrzu nietylko nad Warszawą, ale i nad całym krajem i zapalać umysły do krwawego odwetu.

Prąd rewolucyjny, objawiający się nazewnątrz śpiewanemi po kościołach i ulicach hymnami i manifestacjami narodowemi, stłumiony siłą, kryć się musiał i nurtował wewnątrz. Królestwo Polskie było jakby podminowane i jak wybuchu dymiącego wulkanu żadna moc ludzka powstrzymać nie zdoła, tak też nie było w ludzkiej mocy powstrzymać rwącego prądu krwawych wypadków dziejowych.

Wewnętrzne reformy, przeprowadzone w kraju przez Wielopolskiego, nie mogły już uspokoić drżącego w swych posadach kraju. Wszelkie po temu czynione usiłowania Wielopolskiego były jak owa wiecznie rwąca się przędza Penelopy.

Epilogiem rzezi kwietniowej było w dwa lata później wybuchłe powstanie styczniowe, które po bohaterskich wysiłkach upadło, bo wskutek nieprzyjaznych okoliczności upaść musiało.

I wtedy to naród zgnębiony i zrozpaczony postawił organizatorów powstania pod moralnym pręgierzem. Zwalono na nich winę za wszelkie klęski, jakie wynikły z pogromu, za strugi krwi bezowocnie przelanej.

Ale dziś, gdy świt wolności rozpalił się nad naszą Ojczyzną, schylamy kornie czoła zarówno przed heroizmem ginących na ulicach Warszawy d. 8-go kwietnia r. 1861-go jak i na polach bitew w bohaterskich zapasach r. 1863-go.

Z cieniów przeszłości wynurzają się ich postacie, okryte blaskiem niezgasłej chwały. Ich męczeństwo, na razie bezowocne, wydało jednak plon obfity. Oni to bowiem przez swój zgon krwawy przekazali następnym pokoleniom nieprzedawnione prawa i pragnienie niepodległości, a krwią swą pisali wśród huku dział i salw karabinowych nieśmiertelną epopeję czynu.

Koniec.

Soteris.

Opowiadanie historyczne

z czasów

panowania cesarza Maksymina.

Mikołów. Woj. Śl.
Drukiem Karola Miarki, Sp. Wyd. z ogr. por.
1924.

Zaloty.

Na wschodnich stokach Janiculum, skąd roztacza się piękny widok na Tyber, Rzym i daleko ciągnącą się równinę Kampanii, długi łańcuch gór albańskich, sabińskich, Soraktui Apeninów, stała wspaniała willa (letni pałac), która niegdyś należała do jednego z cesarzów, teraz zaś znajdowała się w posiadaniu senatorskiej rodziny. Wiązała się z tym pałacem historya 300 lat dziejów bogatych w krwawe sceny prześladowań chrześcijan, tego krwawego chrztu młodego Kościoła Chrystusowego. Na pochyłości ku Tybrowi leżały bogate winnice, pomiędzy niemi ochronione szpalerem bukszpanu i wawrzynu kwitły wspaniałe i rzadkie kwiaty, nawet w zimie barwę i woń zachowując, co kilka kroków biła fontanna, tu i owdzie sztuczna grota z pomieszczonemi wewnątrz ławkami zapraszała do spoczynku w chłodzie. Za czasów Cezara ogrody te były jeszcze staranniej utrzymywane, dziś rosła tu i owdzie po

ścieżkach trawa, posągi były potłuczone i bluszczem zarosłe; można było jednak i z tego, co się teraz widziało, wnosić o dawnym przepychu tego mieszkania.

Było to w ostatnich dniach stycznia roku 304, po południu. Właścicielka tej willi siedzi na jednej z ławeczek głęboko zamyślona, u nóg jej leży wielki pies, od czasu do czasu spoglądając w oczy siedzącej, a ta wyrwana z zamyślenia głaszcze go i pyta:

— Mollos, gdzie jest Agnieszka? gdzie jest twoja pani?

Słysząc to imię: „Agnieszka", pies kręci ogonem, spogląda pani w oczy i żałośnie skowycząc, do niej się tuli.

Właścicielka tej willi, Soteris, była najszczerszą przyjaciółką męczenniczki Agnieszki. Przed paru dniami zwłoki jej pochowano na cmentarzu za bramą nomentańską, po pogrzebie poszedł Mollos za Soteris, a ta z litości przyjęła do siebie psa swojej przyjaciółki.

(Śmierć świętej Agnieszki przypada na dzień 21 stycznia; jako rok śmierci podaje Ruinart i inni rok 304. W parę dni potem, 6 lutego umarła święta Soteris).

Soteris była o 5 lat starszą od Agnieszki, młodo straciła swych rodziców, obaj jej bracia zginęli na polu chwały przed rokiem podczas wyprawy na Germanów. Miała znaczny

majątek, była przytem piękną, przy tych zaletach czułby się niejeden ze szlachty rzymskiej szczęśliwym, gdyby pozyskał jej serce i rękę, ale Soteris ślubowała już dawno dziewictwo swemu Panu i Bogu.

Żyła już dawno, bo od śmierci rodziców w odosobnieniu, teraz znowu nastręczała jej śmierć braci sposobność do prowadzenia dalej tego trybu życia, żałoba usprawiedliwiała ją, że nie brała wcale udziału w uroczystościach publicznych.

(W starożytności suknia żałobna była koloru czarnego (toga pulla). Później, gdy u kobiet weszło w modę noszenie sukien kolorowych, poczęto nosić suknię białą, jako oznakę żałoby).

Do willi miał wstęp jeden tylko z synów szlachty rzymskiej, Aureliusz Ambrozyusz, były towarzysz broni jej braci w czasie wyprawy nad Ren, który przed niedawnym czasem ukończywszy służbę wojskową, powrócił do Rzymu. Obie rodziny łączyło dalekie pokrewieństwo. Ambroży, chłopcem będąc, bawił się nieraz z Soteris i z jej braćmi. Podczas wyprawy jeden z jej braci walczył przy jego boku, on go sam ciężko rannego uniósł z placu boju, i ten na jego rękach umarł.

Soteris zaraz po pierwszych odwiedzinach przyjęła Aureliusza zupełnie chłodno, pomimo to kilka chwil rozmowy z dawną towa-

rzyszką zabaw wystarczyły dla młodzieńca, że zakochał się w niej na zabój.

Ambroży pochodził ze starego, szlacheckiego rodu, był jedynym spadkobiercą senatora Aureliusza Semproniusza, był przystojny, odważny, już bowiem był trybunem,[1]) powimo, że był tak młodym, miał wszystko, co mu dawało prawo ubiegać się o rękę Soteris. Był też pewnym siebie i sądził, że skoro tylko żałoba się skończy, a on rozpocznie starania, natychmiast przyjętym zostanie.

(Święty Ambroży, biskup Medyolanu, był synem Aureliusza Ambrozyusza, który jako namiestnik Gallii mieszkał w Trewirze, gdzie prawdopodobnie około 340 roku urodził się św. Ambroży. Aureliusz umarł w 354 roku, to jest 50 lat po śmierci św. Soteris. Marcellina, siostra św. Ambrożego, była o 10 lat starsza od biskupa, między nimi był brat Satyr. Św. Ambroży został konsekrowany na biskupa 7 grudnia 374 roku).

Żałoba się skończyła, minęło już parę tygodni po jej upływie, willa była zamknięta, a Soteris wychodząc na przechadzkę, była zawsze czarno ubrana.

---

[1]) Trybun był to urzędnik rzymski, mający obowiązek bronić lud rzymski przeciw nadużyciom konsulów, to jest namiestników cesarzy. Osoba trybuna była uświęcona i nietykalna, a prawa bardzo wielkie im przysługiwały. Trybun był wielce szanowany.

Niecierpliwość młodego oficera rosła coraz bardziej, chciał jak najprędzej skończyć tę sprawę. Prosił więc ojca, aby on, jako stary przyjaciel domu, któremu przyjęcia odmówić przecie trudno było, udał się do Soteris i z nią pomówił. Aureliusz Sempronius pochwalił wybór syna i zaraz po południu tegoż samego dnia udał się do willi i zażądał rozmowy z Soteris.

Nie zwłócząc, przystąpił od razu do rzeczy:

— Jako dzieci łączyła was przyjaźń, teraz możecie się poważniejszymi węzłami złączyć. Aureliusz to zacny młodzieniec, równy ci jest urodzeniem, jedynakiem będąc, odziedziczy cały mój majątek. Jesteś w latach, kiedy dziewica wybiera sobie towarzysza życia, a że żałoba po braciach dawno już minęła, nie stoi więc nic w drodze, żebyś nie uczyniła zadość gorącym pragnieniom syna i moim.

— Dziękuję ci, szlachetny Semproniuszu — odrzekła Soteris — za dobre mniemanie o mnie, rzeczywiście uważałabym sobie za szczęście oddać rękę twemu synowi, gdybym nie postanowiła już dawno i nieodwołalnie nigdy zamąż nie wychodzić.

— Nigdy zamąż nie wychodzić? Ależ to żarty, Soteris! Młoda, piękna, obdarzona ta-

kimi przymiotami, bogata, jakto? tybyś te skarby tylko dla siebie zatrzymać chciała?

— A więc wiedz o tem — rzekła Soteris, zapalając się — że moje serce i wszystko to, co skarbami mymi zowiesz, należy już do kogo innego i On to wszystko dostanie!

— A więc za późno tu przyszedłem! Nie wątpię, że wybór zrobiłaś godny. Czy nie moglibyśmy przynajmniej wiedzieć, jak się zowie ten szczęśliwy, który pozyskał twe serce?

— O, gdybyś Go znał! Pojąłbyś wtedy, że dla miłości Jego gotowam poświęcić piękność, stan, bogactwo, cześć, życie, jednem słowem wszystko!

Senator zdziwił się, słysząc taką mowę z ust dziewczęcia. A więc takie rzeczy istnieją, to nie jest-li tylko mrzonka poetów? Kto to jednak ten szczęśliwy? Znał całą młodzież rzymską, obcował wiele z nimi przy dworze i w domach innych patrycyuszów, ale w gronie ich nie mógł znaleźć żadnego, któryby wart był takiego zajęcia się nim ze strony Soteris. Zresztą, ktokolwiek on był, wobec tak namiętnej miłości nie było już żadnej nadziei dla jego syna. Krótko i zimno pożegnawszy się z dziewicą, wyszedł senator niezadowolony ze skutku swej rozmowy.

Soteris zostawszy samą, wzniosła ręce i oczy w niebo i zawołała:

— Tak, mój Jezu! Ty tylko mnie posiadać będziesz, Ty, co mnie odkupiłeś Swoją Krwią najświętszą, Ty, którego miłość nigdy nie ostyga!

Poczem udała się do odległego pokoiku, który przyozdobiony był w malowidła zupełnie różne od tych, jakie się widywało w pałacach szlachty rzymskiej.

(Przy odkopywaniu kościoła św. Jana i Pawła, męczenników, za czasów cesarza Juliana, natrafiono na dom chrześcijański, w którym ściany przyozdobione były w podobne obrazy, jak katakomby. Chrześcijanie usuwali ze swych domów wszystko, co im bałwochwalstwo przypomnieć mogło, a w miejscach niedostępnych dla obcych zdobili jawnie ściany obrazami religijnymi i symbolami swej wiary. Tak więc kościoły i kaplice domowe w pierwszych wiekach przyozdobione były w takie same malowidła, jakie widzimy po ścianach w katakombach, z tą tylko różnicą, że w tych budowlach nad ziemią obrazy wypaść musiały zawsze lepiej i staranniej, niż w katakombach, gdzie ciemność była przeszkodą niemałą w starannem ich wykonaniu).

W kąciku tego pokoju stał stół przykryty kosztowną tkaniną, a na nim szafeczka z cyprysowego drzewa, zdobną kością słoniową i drogimi kamieniami. Na ścianie ponad szafką namalowany był pasterz dobry, który pasie trzodę swą na kwiecistem błoniu i poi ją z czystych źródeł. Po bokach tego obrazu

było namalowane z jednej strony wskrzeszenie Łazarza, z drugiej cudowne rozmnożenie chleba.

(Bardzo często i w katakombach i na sarkofagach spotykamy zestawione te dwa cudy).

Soteris wyjęła złoty kluczyk, przyklękła przed tą szafeczką i otworzyła ją. Na purpurowem suknie, zdobne bogatym złotym haftem, stało naczynie w kształcie wierzyczki, całe ze złota, wysadzane drogimi kamieniami i perłami.

W naczyńku tem był Przenajświętszy Sakrament.

(W czasach prześladowania, kiedy nie można było regularnie odprawiać nabożeństwa, pozwalał Kościół wiernym przechowywać Najśw. Sakrament po domach. Chrześcijanie z miłości ku Zbawicielowi i ze czci winnej Sakramentowi zdobili miejsce, gdzie był Najświętszy o ile możności najwspanialej. Za czasów prześladowania Dyoklecyana zwrócono się szczególniej przeciw kapłanom i dyakonom, aby trzodę pozostawić bez pasterza, wtedy musieli nawet ludzie świeccy nosić Najświętszy Sakrament wiernym pozostającym w więzieniu. Wybierano wtedy do tego zwykle chłopców; jak np. znanym był z tego Tarsycyusz, którego zabiło pospólstwo za to, „że nie chciał psom oddawać świętości.“ Wysyłano też Bogu poświęcone dziewice).

Dziewica klęczała długo, modląc się cicho i gorąco przed Oblubieńcem swoim, a gdyby

kto był spojrzał wtedy na jej oblicze, sądziłby, że nie człowieka, ale anioła ma przed sobą.

Wracając do domu, suszył sobie senator głowę, kto to mógł pozyskać serce tej dziewicy, że jednak nie mógł nikogo znaleźć, sądził, że tak pierwsza jej odpowiedź, że nigdy za mąż nie pójdzie, jak wprost przeciwna temu druga, że już jest zaręczoną, są tylko wybiegiem, aby nie pójść za jego syna.

Jeszcze bardziej niż ojciec, zdziwił się Ambroży wynikiem swatów. Wszystkie panny stolicy odszczególniały go zawsze, ubiegały się za jego towarzystwem, a tu doznał odmowy! Co za powód może mieć Soteris, że odrzuca jego rękę?

W tem musi być jakaś tajemnica; Ambroży postanowił nie spocząć, póki jej nie odkryje.

Przekonał się naprzód dość rychło, że do willi mają wstęp przecież ludzie. Co rano w pewnych dniach wchodzili do willi rozmaici ludzie, przeważnie biedota; z twarzy ich, gdy wychodzili, widać była można, że ich tam hojnie obdarzono.

Soteris wychodziła rzadko, uczęszczała jedynie do jednego starego nawpół rozwalonego pałacu na Eskwilinie, który niegdyś należał do senatora Pudensa. Dom ten odwiedzały także te osoby, a rano przychodziły do

jej willi. Kto był właścicielem tego pałacu, nie mógł się tego Ambroży dowiedzieć.

W dzień stracenia św. Agnieszki przechodził młody trybun koło bazyliki juliańskiej przez Fórum i był świadkiem przesłuchania i męczeństwa. Zwłoki niosły dwie kobiety; poznał je obie, jedną z nich była Fabiola, drugą Soteris. Poznał ją natychmiast, mimo tego, że przebrała się i owinęła chustką. A więc była chrześcijanką!

Tym sposobem dałby się wytłómaczyć cały jej sposób życia, to odosobnienie się i szczególniejsza skłonność do pospólstwa. Ale Ambroży postanowił sobie i tego współzawodnika, tę zakazaną sektę zwalczyć.

(Już od dwóch wieków zapuściła religia chrześcijańska korzenie w Rzymie, światłość w ciemności błyszczała już od 200 lat przeszło, a ciemność nie mogła jej jeszcze pojąć. Przesądy przechodziły od pokolenia do pokolenia i tak samo, jak za czasów Nerona, chrześcijanin był uważanym za wroga państwa i porządku społecznego).

— Gdybym tylko mógł raz się dostać na ich tajemne zebranie, poznać te czary, jakimi tak rozsądną istotę, jak Soteris, oczarowano! Opowiadają, że na tych zebraniach dopuszczają się ohydnych zbrodni, nie wierzę w to, boby Soteris tam nie należała, gdyby to prawdą było, ale kapłani chrześcijańscy muszą roz-

porządzać jakimiś tajemnymi środkami, że zdołają zapanować nad umysłem i rozumem.

Myśli te nie dawały mu spoczynku. Nareszcie sądził, że wpadł na dobrą drogę. Przejrzał akta męczeńskie chrześcijan i wynalazł tam kilka osób, które wobec męczarni wyparły się Chrystusa. Pomiędzy tymi zaprzańcami był niejaki Corinthius, który wskutek wyrzutów sumienia oddał się grze i pijaństwu, człowiek zdolny wszystko zrobić za pieniądze. Tego przyjął do siebie na służbę.

— Wiem dobrze, że Soteris jest chrześcijanką — odrzekł Corinthius na zapytanie Ambrożego — widywałem ją na zebraniach w towarzystwie braci i rodziców.

— A więc i rodzice i bracia należeli do tej sekty! Nigdym nie spostrzegł w nich nic takiego, coby mnie na podobny domysł naprowadzało. Zresztą choćby byli chrześcijanami, byli to wcale spokojni i rozsądni ludzie, dzielni żołnierze, dobrzy i przyjemni towarzysze; jakżeż potrafili ci kapłani zawrócić temu dziewczęciu głowę, że zrzeka się wszelkich uciech życia rodzinnego, chce uschnąć, jak to drzewo samotne na puszczy?

Corinthius wspomniał mu nieco o tajemniczej potrawie, którą gdy chrześcijanie spożyją, zdolni są do wszelkich ofiar i poświęceń i to podrażniło jeszcze bardziej ciekawość

trybuna. Postanowił koniecznie pójść na ich zebranie.

— Kiedy ci nie brak odwagi — rzekł Corinthius — możeby się to i dało zrobić.

— Jestem żołnierzem — odrzekł Ambroży, podrażniony tą uwagą — jak trzeba, to i przeciw dwunastu stawię czoło.

— Mieczem nie potrzebujesz tam nic robić. Musisz mieć tylko tyle odwagi, żebyś mógł zejść do miasta umarłych chrześcijan.

— Pah! strachów się też nie lękam. Żeby się to dało tylko zrobić?

— W krótkim czasie będą chrześcijanie obchodzić pamiątkę męczennika Eutychiusza na cmentarzu przy drodze apijskiej.

— Dobrze, to tam pójdę.

Corinthius uśmiechnął się mimo woli.

— Wobec prześladowania, które się tak sroży, są jednak chrześcijanie bardzo ostrożni. Wiesz, że boski Dyoklecyan skonfiskował wszystkie dobra i posiadłości, kościoły i cmentarze chrześcijańskie; teraz są do ich cmentarzy tylko tajemne zejścia, przez jakieś arenarium,[1]) a i tam trzymają straż, aby nie wszedł kto niepowołany.

— Musisz mnie pouczyć znaków i zwyczajów używanych przez chrześcijan.

---

[1]) Doły, gdzie wybierają piasek.

— Hm! chyba, żebyś się przebrał za niewolnika i powiedział, że należysz do któregoś z chrześcijan, naprzykład do Soteris...

Ambroży począł się naprzód śmiać z podanej propozycyi, w kilka dni jednak przywołał do siebie odstępcę i rzekł:

— Im bardziej awanturniczą mi się ta wyprawa przedstawia, tem więcej mnie nęci. Dowiedz się, kiedy, o której godzinie zgromadzą się chrześcijanie, ja się tymczasem przygotuję.

II.

W katakombach.

Cmentarz, będący około i pod kościołem św. Sebastyana, ciągnący się blizko pół mili przed apijską bramą, nosił dawniej nazwę cmentarza apostolskiego, gdyż tam przez jakiś czas były złożone relikwie św. Apostołów Piotra i Pawła.

(Począwszy od X wieku zapomniano o innych katakombach, cmentarz św. Sebastyana przecież był zawsze odwiedzany od pielgrzymów, ale też pozbył się wszelkich ozdób w chodnikach jeszcze nie zasypanych, tak, że dziś są tam tylko gołe ściany i puste loculi (framugi). W nowszych czasach poczęto rozkopywać zasypane dotąd chodniki

i odkryto nie tylko malowidła, ale i zamknięte dotąd groby. Najstarszy obraz z tej katakomby przedstawia w środku „dobrego pasterza", obok niego na górze owca; z lewej strony atleta, z prawej o r a n s, tj. dziewica na modlitwie. Znaczenie jasne: chrześcijanin powinien wśród walk tego żywota przez modlitwę wysłużyć sobie przyjęcie do trzody Chrystusowej. Drugi obraz przedstawia narodzenie Zbawiciela w sposób oryginalny; ale ten jest już znacznie późniejszy. Początek tego cmentarza sięga III wieku. Spodziewać się należy daleko starszych pomników w tak zwanej P l a t o n i a, to jest komorze grobowej, gdzie się jakiś czas znajdowały relikwie obu książąt apostolskich).

Około roku 300 pochowano tu męczennika św. Eutychiusza, napis na grobie wierszem przez papieża Damazego ułożony opowiada, jak straszne męczarnie zniósł ten Święty, zanim przeszedł do innego żywota, choć zrazu nie okazywał takiego męstwa. Jednym z najsławniejszych męczenników, którzy na tym cmentarzu spoczywali, był św. Sebastyan. Na rozkaz cesarski zasypano schody wiodące do tej katakomby, musieli przeto f o s s o r z y, czyli grabarze w poblizkim arenaryum otworzyć do katakomby tajemne wejście.

(Dyoklecyan skonfiskował grunt a r e a, pod którym znajdowały się katakomby, schody do katakomb zamknięto, chrześcijanie musieli przeto szukać sobie innego tajnego wejścia do swych cmentarzy. Cała okolica Rzymu otoczona była a r e n a r y a m i, to jest dołami, skąd murarze brali piasek

do budowy. W tych porobiono krużganki prowadzące do katakomb).

Ambroży nie lekceważył wcale niebezpieczeństwa, z jakiem połączona była jego wyprawa. Dodawała mu odwagi nadzieja, że ujrzy Soteris i pozna czary, które mu odebrały serce dziewicy. Jeżeli Orfeusz zeszedł do podziemia, aby odebrać swoją Eurydykę, to i jemu nie powinno przyjść to trudno zejść do podziemnego cmentarza i wydrzeć ukochaną ze sideł, w których ją uwikłano.

(Eurydyka po grecku Euridyke czyli Oryada, żona Orfeusza, pogańskiego bożka Greków, opiekującego się śpiewem i muzyką).

Postanowił przekonać się osobiście, że Soteris jest chrześcijanką, przypatrzyć się na własne oczy temu tajnemu zebraniu i temu co na niem czynią, aby potem obmyśleć środki zniweczenia ich wpływu na Soteris.

— Czyż mam, jak tchórz schować do pochwy miecz, że forteca od razu mi się nie poddała? Owszem ten upór jest bodźcem dla mnie, na wszystko się poświęcę, aby ją zdobyć, bo ona jest szczęściem mego życia.

Przebrany za wieśniaka, wybrał się czwartego lutego drogą ku apijskiej bramie. Corinthius pouczył go, jak się ma zachować, żeby go nie poznano. Wziął także na wypadek ze sobą krzesiwo i świecę. Ranek był

chłodny; otulony płaszczem zeszytym ze skór owczych szedł drogą, przy której po obu stronach wznosiły się pomniki i groby pogańskie.

Niedaleko od bramy spotkał jakiegoś kalekę. Musiał to być także chrześcijanin, szedł pewnie na zebranie!

Ambroży pozdrowił go, mówiąc: „Pokój z tobą, bracie!“ i zaraz go zapytał, czy idzie do Coeneterium apostolskiego, na nabożeństwo w rocznicę śmierci męczennika Eutychiusza. Aby wzbudzić jeszcze więcej zaufania w swoim towarzyszu, przedstawił się jako wyzwoleniec szlachetnej dziewicy Soteris, że jest na jej posiadłości wiejskiej w Autium i dopiero wczoraj przybył do Rzymu.

Kaleka, z którym Ambroży wszczął rozmowę, był to Kryspin, którego chrześcijanie zamówili jako strażnika przy wejściu do katakomb, aby się kto podejrzany nie dostał na zebranie.

Kryspin odpowiedział na zapytanie, ale uderzyło go, że mniemany wieśniak mówi zbyt wykwintnie, nie takim zepsutym językiem, jakim lud mówił. Gdy jeszcze do tego Ambroży zapytał się o coś niezręcznie i na pytanie Kryspina wcale nie umiał odpowiedzieć, był tenże przekonanym, że to jakiś szpieg.

— Łotr! A cóż mu chrześcijanie zrobili złego, że nie bał się nawet takiej niebezpiecznej wyprawy, aby znowu katom nowych ofiar dostarczyć? Zapewne robi to z łakomstwa, aby dostać nagrodę, wyznaczoną dla szpiegów. Niedoczekanie jego!

Ambrożemu nie podobało się to bardzo, gdy się dowiedział, że zebranie już o godzinę wcześniej niż zwykle zaczęło się w dniu dzisiejszym, że przybywa z towarzyszem swoim już jako ostatni. Do tego towarzysz jego szedł tak powoli, iż z pewnością przyjdą, jak się już wszystko skończy.

Przybyli wreszcie do celu; od bramy apijskiej zwrócił się kulawy w prawą stronę, przez gęste zarośle pełzał kawałek, aż wreszcie stanęli obaj przed jaskinią zakrytą dla niepoznaki krzakami i drzewami.

Na straży stał tu fossor (grabarz), ten spojrzał na Kryspina, pytając się go wzrokiem, kto to był jego towarzysz, ale kulawy uśmiechnąwszy się znacząco, odpowiedział:

— Bądź spokojny, to dobry przyjaciel, polecam go nawet szczególniejszej twej opiece.

Chrześcijanie między sobą zwali się braćmi, „dobry przyjaciel“ zaś było umówionym znakiem i miało wprost przeciwne znaczenie. Kryspin ciągnął dalej:

— Jestem znużony, poprowadź go ty przeto najkrótszą drogą po drabinie, idźcie razem na zebranie, ja tu tymczasem zostanę za ciebie na straży.

Grabarz zapalił pochodnię, a Ambroży przyjrzał się tymczasem obu tym ludziom. Coś było w rysach ich, co go zaniepokoiło, ale nim sobie zdołał zdać z tego sprawę, już fossor wszedł do arenaryum i chcąc nie chcąc musiał za nim spieszyć.

Gdyby się był przypatrzył teraz kulawemu, jak się złośliwie uśmiechnął, widząc, że Ambroży wchodzi do jaskini, z pewnością byłby się odrzekł swojej wycieczki.

— A więc Soteris, tego anioła, chcesz zgubić? — rzekł Kryspin do siebie. — Ostrzegę ją, aby się miała na baczności! Właściwie powinienem iść za nimi i przy pomocy fossora sprawić temu szpiegowi łaźnię taką, żeby ze czternaście dni się nie mógł ruszać!

Ale widział, że to nie uchodzi i pocieszył się myślą, że szpieg będzie z godzinę przynajmniej błądził, zanim znajdzie wyjście. Przez ten czas chrześcijanie wrócą już do miasta i tym sposobem zniweczy się plan szpiega.

Ambroży idąc za swym przewodnikiem, przeszedł przez kilka kurytarzy, poczem poczęli obaj schodzić po wąskiej drabinie w głąb ziemi. Drabina była wąska i chwiała się, gdy

po niej zstępowali i wtedy wyrwało się Ambrożemu nieostrożne słowo:

— Na Jowisza, co za ohydne zejście!

Chrześcijanin, który na bogów pogańskich przysięgał! Grabarz nie wątpił teraz z kim ma do czynienia.

Ambroży zapalił świecę od pochodni swego przewodnika i dalej szli obaj wązkim i nizkim chodnikiem. Po obu stronach widać było groby dorosłych i dzieci, jedne ponad drugimi; także i po framugach były groby ozdobone malowidłami. Kurytarze rozchodziły się to w prawo, to w lewo, istny labirynt!

Grabarz szedł coraz prędzej, a Ambroży postępując za nim, jakby jakiemś tajemnem przeczuciem tknięty spoglądał po grobach i starał się wbić sobie w głowę niektóre napisy i robił tu i owdzie na skręcie znaki.

Wreszcie zdawało mu się, że słyszy w oddali śpiew jakiś, a więc zbliżali się do celu.

Naraz grabarz uderzył pochodnią tak, że się iskry posypały, i w tejże chwili rzucił ją w przepaść, a sam gdzieś zniknął.

Przez chwilę nie mógł Ambroży przyjść do siebie, potem zaklnąwszy na przewodnika, co tak sobie zadrwił z niego, zabrał się do odwrotu.

Z tej studni jednak, do której przewodnik rzucił pochodnię, dobiegł znowu jego uszu

śpiew prosty, poważny, porywający. Spojrzał w dół i przy blasku palącej się na dole pochodni ujrzał niższe piętro cmentarza, pokryte tak samo grobami, jak i wyższe. Przyłożył ucho do ziemi i nadsłuchując, wyraźnie zrozumiał te słowa:

„Adstiterunt reges terrae et principes convenerunt in unum, adversus Dominum et adversus Christum eius“, tj. Powstali królowie ziemi i książęta związali się naprzeciw Pana i Pomazańca Jego... „Qui habitat in coelis, irridebit eos et Dominus subsannabit eos“, Ten co mieszka w niebiesiech, wyśmieje ich i Pan zadrwi z nich... „Dabo tibi gentes haereditatem tuam et possessionem terminos terrae.“ Oddam ci w dziedzictwo ludy i na własność granice ziemi.

Był to psalm drugi Dawida. W głębi ziemi, w pośród grobów nucili go ścigani prawem, na śmierć przeznaczeni chrześcijanie; śpiew ten miał w sobie coś porywającego i wzruszającego.

Były to w kilku zdaniach ujęte dzieje Kościoła pierwotnego, czasy niewzruszonej wiary i nadziei, że po czasach ucisku nadejdzie chwila tryumfu, kiedy nie tylko państwo

rzymskie, ale i świat cały upadnie do nóg Ukrzyżowanego.

Naraz śpiew ustał.

Fossor bocznemi drogami przybył na zgromadzenie i ostrzegł przed szpiegiem.

Wkrótce ujrzał Ambroży, jak mężczyźni i kobiety poczęły wychodzić, wytężył wzrok, aby rozpoznać osoby. Otwór był jednak zbyt wąski, nie mógł więc mężczyzn nawet rozeznać, tem bardziej zaś kobiet noszących zasłonę.

Prawie ostatnie wychodziły dwie niewiasty, zdaje się, z lepszych stanów, prowadziły one z sobą rozmowę:

— Proszę cię — rzekła młodsza, stanąwszy prawie tuż pod otworem i ujęła swą towarzyszkę za rękę — pamiętaj o mnie, droga Lucyno, w modlitwach. Przeczucie mi mówi, że ostatnia to uroczystość, w której uczestniczyłam.

Głos ten znajomy był trybunowi.

— Co też ty mówisz, drogie dziecię — odrzekła starsza. — Wprawdzie w tych czasach każdy chrześcijanin powinien być przygotowanym na męczeństwo, wiem także, że nie dasz się ugiąć, ale ty w odosobnieniu żyjesz, twój pałac z drugiej strony Tybru ujdzie oczu szpiegów.

— Och, jakżebym dziękowała memu Oblubieńcowi, gdyby mnie wprowadził na Swe gody, zdobną w wieniec z czerwonych róż i w rubiny męczeńskie.

Dalszych słów nie mógł Ambroży zrozumieć, bo się obie niewiasty oddaliły, tyle tylko zrozumiał, że Soteris jest chrześcijanką.

Trybun pozostał teraz sam w katakombach, naokół była cisza grobowa, po prawej i po lewej stronie same groby, zrobiło mu się jakoś nieprzyjemnie. Był jednak żołnierzem, zebrał więc całą przytomność umysłu, aby zachować krew zimną i rozpoczął dalej odwrót.

(Dość spojrzeć na plan jednej z katakomb, np. małego kawałka Coemeterium Ostrianum, przy drodze nomentańskiej, a można mieć wyobrażenie, jak trudno znaleźć było drogę w takim labiryncie uliczek).

Fossor na ostatku szedł jednak tak prędko, że Ambroży nie był w stanie ani znaku sobie zrobić, ani coś zauważyć; przy najbliższym skręcie stanął też bezradny.

Na chybił trafił poszedł jedną ulicą, ale już za chwilę przekonał się, że chybił, gdyż wyjście było zasypane, musiał przeto wracać.

Potarł czoło, wrócił znowu, znacząc ulicę, aby na nowo tu wchodzić nie potrzebował i obrał nową drogę.

Na szczęście zobaczył napis, który go

przedtem w oczy uderzył, szedł więc dobrą drogą.

Tymczasem świeca dopalała się, przerażony zastanowił się nad tem, co będzie, gdy pozostanie zupełnie w ciemności.

Przyszły mu na myśl opowiadania jego mamki o sztukach czarnoksięskich chrześcijan, cisza panująca naokoło i miejsce, gdzie się znajdował, podziałały także: zimny pot wystąpił mu na czoło, kolana drżeć pod nim poczęły, musiał się oprzeć o ścianę.

— Ha! — wyjęknął — czyż tu mam jak pies zginąć?

Mimo woli wzrok jego padł na napis: „Coeli tibi patent, vives in pace". Niebo ci stoi otworem, będziesz żył w pokoju.

Tuż obok na grobie jakiegoś dziecka był napis: „Wictor dulcis anima imucens vivas inter sanctos et iustos et in orationibus tuis petas pro nobis". Wiktorze, droga, niewinna duszo, żyj wpośród świętych i sprawiedliwych, w modlitwach twoich wstawiaj się za nami.

Co za przeciwieństwo! pokój tych zmarłych, a niepokój, co nim miotał, on żywy wpośród tych zmarłych, odcięty od żywych.

Gdy tak wzrok jego błądził, dostrzegł w jednej z pomiędzy framug glinianą lampkę na szczęście napół napełnioną jeszcze oliwą.

Zapalił ją od gasnącej już świecy i ostrożnie osłaniając ją od przeciągu, rozpoczął z nią dalszą wędrówkę.

Po drodze spotykał coraz więcej grobów, które już przedtem widział, a więc zbliżał się już ku wyjściu. Wchodząc do katakomb, widział już przecież tę postać kobiecą, u stóp której dwoje jagniąt stało, zastanawiał się wówczas, co ten obraz miałby znaczyć: a i ten grobowiec z napisem S a b b a t i a, na którym były dwa gołębie obok winnego grona, widział już także i podziękował bogom za wyprowadzenie go z tego podziemia, bo oto ten starzec z ułaskawionym ptakiem to właśnie pierwszy obraz, który tu ujrzał przy wejściu.

— Co to za szczęście — zawołał — że ten łotr nie zabrał mi jeszcze drabiny.

Odetchnął, gdy ujrzał światło dzienne.

Wyszedłszy z katakomby, nie spotkał żywej duszy, naokół panowała cisza grobowa. Słońce już weszło z poza gór albańskich i oświecało swym blaskiem piękny zimowy krajobraz.

Drogą apijską puścił się trybun ku miastu. Na wzgórzu naprzeciw położonym siedział pasterz, poznał w nim przewodnika, który go tak zwiódł. Jakżeż chętnie podszedłby ku niemu, aby się mu wypłacić za to, że tak

zadrwił z niego, ale obok pasterza leżały dwa wielkie psy, które od tego zamiaru go powstrzymały.

Wracając do miasta, przemyśliwał Ambroży nad tem, co ma teraz czynić. Dowiedział się tylko napewne, że Soteris jest chrześcijanką, zresztą nic więcej. To, co mówiła ze swą przyjaciółką, było dla niego niezrozumiałe zupełnie, zresztą podsłuchał tylko część rozmowy.

Wpadło mu na myśl, że Soteris dlatego tylko odrzuca jego rękę, że on jest poganinem, a ona chrześcijanką. Jeżeli jej przyrzeknie, że w niczem przeszkadzać jej nie będzie, że może nadal pozostać przy swojej religii, z pewnością okaże się dla niego przychylniejszą.

Uchwycił się tej myśli całą siłą, jeszcze dziś postanowił z nią pomówić w tej sprawie. Marzenia przerwał mu turkot przejeżdżającego obok niego chłopskiego wozu. Ustąpił jadącym i mimo woli spojrzał kto jedzie. Powoził nim właśnie kulawy.

— He, panie Phylax, czy jak się tam zowiesz! — zawołał woźnica, wywijając nad nim swoją kulą — poproś twoją panią, aby ci dała nieco większą owczą skórę, żebyś się lepiej mógł nią odziać.

Ambroży ugryzł się w usta i udał, że nie słyszy, zabolały go jednak te słowa.

Tuż około bramy apijskiej czekał na niego zamówiony powóz; trybun zajął w nim miejsce i za chwilę przybył do domu.

III.
Drugie odwiedziny.

Ojciec i syn naradzali się długo wspólnie, poczem po południu udali się obaj do willi za Tybrem, aby się widzieć z Soteris.

— Daruj, droga Soteris — rozpoczął senator — że przychodzę znowu i to w towarzystwie syna tym razem nie bez nadziei, że będziesz łaskawszą.

— Jest to zbyt śmiałem z mojej strony — ciągnął dalej młody trybun — że osobiście tu przychodzę, szlachetna Soteris, prosić cię o twoją rękę. Wiem jednak, o co ci chodzi, oświadczam ci przeto uroczyście, że pozostawię ci zupełną swobodę co do twych religijnych zapatrywań i praktyk. Amor jest bogiem, co panuje nad wszystkiemi bóstwami, jest jedna religja, co wszystkie religje w jednę stapia.

— Nazwij to jak chcesz, filozofją lub religją — odrzekła Soteris wymijająco — ja

przekładam wolność nad więzy, które mi są wstrętne.

— Mówiłaś, szlachetna Soteris, mojemu ojcu o kimś innym, co posiadł twe serce. Wiem, że jesteś chrześcijanką, wiem o tem z pewnością; jako chrześcijanka masz pewnie swoje ideały, co zajmują twego ducha i serce. Ale przecież i inne chrześcijańskie dziewice mają podobne ideały, a przecież nie wyrzekają się więzów miłości! Owszem, im wznioślejszy i piękniejszy jest przedmiot czci twojej tem łatwiej będzie ci i męża, któremu się oddasz, pozyskać dla twoich zasad.

— Oblubieniec, którego wybrałam, posiędzie nie tylko moją duszę, ale i mnie całą. Ani tchnienie ziemskiej miłości nie powstanie w mojem sercu, gdzie Jego obraz jest wyrytym. On Sam ma mieszkać w domu, który Jemu oddałam do rozporządzania.

Na to odrzekł Semproniusz w groźnym tonie:

— Muszę ci przypomnieć, szlachetna Soteris, że boski Dyoklecyan wydał rozporządzenia, które i ciebie dotyczą. Daję ci obronę, w domu mego syna, jako żona trybuna Aureliusza Ambrożego możesz być bezpieczną.

— Ależ to byłoby zdradą przeciw wybranemu przeze mnie, gdybym nie u Niego, ale u ciebie i u twoich bogów szukała opieki

i obrony! Niech się związą razem władcy ziemi naprzeciw Panu i Pomazańcowi Jego, Ten, co mieszka na wysokościach, wyśmieje się z nich i zawstydzi je!

Były to te same słowa, które Aureliusz słyszał w katakombach, powtórzyła je teraz dziewica pewna zwycięstwa i to go wprawiło w zdumienie.

— Ale czyż wy chrześcijanie nie znacie edyktów cesarskich? Czyż nie widzicie tego, jak codziennie z pośród was ginie wielu z rąk kata? Czyż uszy wasze głuche są na jęki nieszczęśliwych, co napół oślepieni z podciętemi ścięgnami u nóg idą do robót publicznych? Wasze świątynie w gruzach, albo oddane na codzienny użytek, nawet wasi umarli nie mają spokoju, bo nawet i cmentarze wasze już skonfiskowano. Wobec tego prześladowania i zniszczenia, jakżeż możecie się łudzić nierozsądni! że ten ukrzyżowany Żyd, którego czcicie jako waszego Boga, zatryumfuje kiedyś i rozciągnie granice Swego panowania aż na krańce ziemi?

— Krew chrześcijan jest nasieniem chrześcijan — odrzekła Soteris w natchnieniu. — Tak jest, i z tego prześladowania wyjdziemy zwycięsko! Ty sam ujrzysz jeszcze nasz tryumf. Jeżeli krew i życie moje może przyspieszyć zejście jutrzenki dnia tego, o jakżeż

chętnie pójdę na śmierć i na męki! Wiem, w kogo uwierzyłam i cieszyć się będę, jeśli wybrany mi udzieli tej łaski, że cierpieć i umrzeć będę mogła dla Niego. Biedne, słabe dziewczę, cóż mogę zrobić dla chwały Jego Imienia, jak wywdzięczyć się Temu, co mnie ukochał i za mnie umarł, tylko składając się Jemu w ofierze jak baranek ofiarny? Nie zadrżę wobec toporu! Jeżeli żołnierz idzie bez obawy oddać swe życie za cesarza, aby mu tym sposobem okazać swoją wierność, dlaczegoż nie miałabym i ja oddać za Boga mego, który mi wiekuistą nagrodę przyrzeka, ostatniej kropli krwi mojej?

— Są to mrzonki — zauważył sucho Semproniusz — na to niema odpowiedzi i szkoda czasu, aby o tem mówić z tobą. Żałuję Soteris, że i te drugie odwiedziny są bez skutku, nie zrzekam się przecież nadziei, a to dla twego własnego dobra, ze względu na przyjaźń, która nasze rodziny z sobą łączyła. Zapukam jeszcze trzeci raz do twoich drzwi, spodziewam się, że wtedy będziesz powolniejszą. Nie moją winą będzie, jeśli pukanie to zbyt gwałtowne będzie.

To mówiąc, powstał i wraz z synem willę opuścił.

Soteris zrozumiała dobrze, co oznaczać miała groźba senatora; przeczucie, które miała

rano, poczynało się sprawdzać. Nie chciała senatorowi i jego synowi przypisywać jakiegoś nieszlachetnego postępku, ale głos wewnętrzny mówił jej, aby się przygotowała do walki. Skądże wiedział Ambroży i senator, że jest chrześcijanką? Mógł się dowiedzieć tego chyba od urzędnika cesarskiego, szpieg dzisiejszy w katakombach musiał ją przeto zdradzić i dostać już obiecaną nagrodę.

— O mój Boże! — zawołała — tortury i cierpienia mocniej mnie tylko przywiążą do Ciebie. O jak Ci dziękować będę za to, że pozwolisz mi przed sędzią złożyć świadectwo Tobie i Twemu jednorodzonemu Synowi! Wzywa mnie mój kochanek, abym szła za nim drogą na Golgotę wiodącą, a oblubienica chętnie pospieszy za głosem Jego. Miłość za miłość, krew za krew, życie za życie! Kładąc zasłonę na mą głowę, wybrałeś mnie oblubienicą Swoją, dołóżże teraz do zasłony i wieniec męczeństwa i wprowadź do przybytków wiecznego wesela.

Ofiarowawszy się tak Bogu, kazała zawołać prokuratora, czyli zarządcę swego.

Gdy się ten zjawił, poczęła mu wydawać polecenia, jakby się w jakąś długą podróż wybierała.

— Tak nagle chcesz odjeżdżać, szlachetna pani? — rzekł zdziwiony i zafrasowany

zarazem stary sługa — wybacz mojej ciekawości, czy cię przypadkiem senator nie ostrzegł przed jakiem niebezpieczeństwem? Wprawdzie w twojej willi nad jeziorem Ticino nie będzie zbyt dobrze, ale tam możesz być bezpieczną. Albo możebyś lepiej wyjechała do wuja pod Neapol? Tam jest klimat łagodniejszy!

— Poczciwy stary! — odrzekła Soteris, uśmiechając się przyjaźnie — senator oświadczył mi, żebym się miała na baczności przed gniewem cesarza, ale zdaje mi się, że już wyszukał miejsce dla mnie, gdzie wkrótce przebywać będę, a o resztę postara się ktoś inny. Uwolnisz przeto zaraz wszystkich moich niewolników; gotówkę, zboże, rozdaj co najprędzej pomiędzy ubogich, spraw się z tem szybko i gruntownie, bardzo cię proszę. A poleć biednym, aby się za mnie gorąco modlili, słyszysz? Kosztowności zanieś dziś w nocy do archidyakona Sylwestra, on je najlepiej przechowa.

— Ależ droga pani — odrzekł stary prokurator zmieszany — to wszystko wygląda na coś więcej, niż podróż! Czyżby twemu życiu coś zagrażać miało? O proszę cię, schroń się, zostań z nami dla dobra ubogich, dla Kościoła uciśnionego.

Starzec upadł na kolana przed Soteris, łzy puściły mu się z oczu, gdy jej rękę do ust przycisnął.

I Soteris się rozpłakała, wnet jednak odzyskała spokój i usiłowała pocieszyć starego sługę, zapewniając go, że się wkrótce znowu ujrzą. Wręczyła mu też upominki dla Lucyny i innych przyjaciółek.

Załatwiwszy w ten sposób sprawy doczesne, wyszła do ogrodu.

Było to po południu w zimie, dzień był bardzo piękny, jak to dotąd w Rzymie często spotykamy. Zachodzące słońce oświecało różowym blaskiem wille, wsie i miasteczka położone naokół na stokach gór albańskich; nieco bliżej widać było Rzym z jego siedmiu pagórkami, ten „złoty“ Rzym ze wspaniałemi świątyniami, wieżami i pałacami. Tuż około willi płynął Tyber, pokryty mnóstwem okrętów, to zawijających do przystani, to wyjeżdżających dopiero. I sama willa ze swym ogrodem przedstawiała czarujący widok.

Soteris spoglądała na wszystko żałosnem okiem, przebiegała lata swego życia od dziecięctwa, aż do tej chwili. Nie była przywiązaną wcale do bogactw, chętnie zrzekła się przecież wszystkiego dla Boga, zawsze jednak odezwała się i w niej natura ludzka i łza

zabłysła w jej oku. Wzniosła wzrok w niebo i zawołała:

— O Boże! jakżeż pięknie musi być tam w raju w cieniu palm niebios, w gajach rozkosznych, u źródła żywota, kiedy ten świat znikomy się tak już pięknie przedstawia!

Tam oczekują ją rodzice i bracia. Ojca już nie pamiętała, matkę straciła, mając lat dwanaście; obraz jej stał jeszcze żywo przed jej oczyma, w uszach jej brzmiały jeszcze upomnienia, które jej dawała i w rozrzewnieniu dziękowała jej jeszcze raz gorąco za wszystko, czem dla niej była.

— Droga moja matko, niezadługo podziękuję ci tam w niebie. Czeka mnie jednak wielka walka, przyjdź mi z pomocą, szczególniej... — dodała roniąc łzy — okryj mnie płaszczem twej opieki jeżeli na torturze miałabym się wstydzić przed ludźmi.

Pomiędzy torturami, które okrucieństwo pogańskie wymyśliło, była szczególniej jedna, przed którą drżały chrześcijańskie dziewice bardziej, niż przed kleszczami i ogniem; ale uspokój się Soteris! modły twej matki wyjednają u Boga, że nie zaznasz tej boleści!

Przechadzając się tak z myślami swojemi po ogrodzie, nie zauważyła nawet, że wierny Mollosus za nią chodzi. Poczciwe zwierzę czekało, czy pani nie odezwie się do niego;

teraz, gdy usiadła, zbliżył się do niej i począł się łasić u jej nóg i patrzeć jej w oczy.

Soteris schyliła się, pogłaskała psa po głowie i rzekła:

— Nie długo będziesz miał tę swoją nową panią, idzie ona do Agnieszki, która jej oczekuje.

Słysząc to imię, począł pies kręcić ogonem, polizał ją po ręce i ułożył się znowu przy jej nogach.

Senator wyszedł w złym humorze z pałacu Soteris, gniewał go ten opór dziewicy, która z otwartemi oczyma biegła w przepaść na zgubę. Na Ambrożym zaś dziwne wrażenie wywarła cała ta rozmowa. Począł Soteris uważać jako nadziemską istotę, miłość ku niej rozgorzała w nim jeszcze bardziej i całą siłą uchwycił się nadziei, że przecież złamie jej upór i nazwie ją swoją.

W powrocie do domu przyszli do mostu na Tybrze. Przy brzegu stało mnóstwo ludzi. Zaciekawieni, zbliżyli się do tłumu i zapytali o przyczynę zbiegowiska. Rybacy wyłowili właśnie zwłoki człowieka, na którego ciele były ślady kilku pchnięć sztyletem.

Ambroży rzucił wzrokiem na utopionego i poznał go natychmiast, był to Corinthius.

Otrzymawszy pieniądze za swoją zdradę, udał się wieczorem do jakiejś szynkowni i tu przy grze w kości posprzeczał się z dru-

gimi. Wszczęła się bójka, w której go zamordowano.

Ambroży nie dał poznać ojcu, że zna zmarjego, w duszy pomyślał przecież sobie:

— To był chrześcijanin, który się zaparł swojej wiary i zdradził swych braci! A ja jestem pośrednio przyczyną jego śmierci!

IV.

Podarek ślubny.

Ambroży zakochał się namiętnie w Soteris i pragnął ją poślubić, sprzeciwiał się jednak ojcu, gdy mu tenże w domu oświadczył, że swą groźbę spełnić pragnie.

— A jeśli mimo to nie ulegnie? — rzekł Ambroży — wiesz co za skutki mogą wyniknąć? Czy chcesz czyste nasze imię splamić krwią niewinną? Plamy takiej żadne łzy nie zmyją!

— Tyś jeszcze za młody — odrzekł senator — i nie znasz serca kobiecego. Jak się czepią jakiejś fantazyi, to dotąd w niej trwają, póki ktoś silny nie wyrwie ich choć gwałtem z tego obłędu.

— Może to być prawdą w tysiącu wypadkach, ale nieprawdą z chrześcijanami,

a szczególniej z Soteris. Przypomnij sobie Agnieszkę; i Soteris nie mniej chętnie na śmierć pójdzie!

— Ani ich nie porównywaj! Agnieszka to głupie dziecko, zbałamucone przez kapłanów chrześcijańskich nawet nie wiedziało, co robi. Będąc sędzią, nie skazywałbym jej na śmierć wcale. Ale Soteris, rozsądna, spokojna, nie jest zdolną do takiego religijnego fanatyzmu!

Ambroży sprzeciwiał się jeszcze długo, ale ojciec się uparł przy swem zdaniu i twierdził, że Soteris wobec sędziego z obawy tortur od swego uporu ustąpić musi.

Prefektem miasta, w którego ręku była najwyższa władza karna był około 304 roku Herakliusz Rufin. Aureliusz Semproniusz znał się z nim od dzieciństwa i żył z nim w przyjaźni, spodziewał się przeto, że mu prefekt pomoże w tej sprawie. Jakżeż się zdziwił, gdy mu prefekt oświadczył, że już od kilku tygodni mu donoszono, że Soteris jest chrześcijanką, nie robi tylko z wiadomości tej na razie użytku z obawy przed opinją publiczną, skazał bowiem dopiero co na śmierć Agnieszkę, należącą do znakomitej rodziny, skazując zaraz Soteris, oburzyłby bardzo szlachtę na siebie; wkońcu jednak musi swój obowiązek spełnić.

— Ależ ona się musi wyrzec tych swoich głupstw, przekonany jestem, że zaraz wobec

pierwszej pogróżki ustąpi, a lekka kara nauczy ją już rozsądku — rzekł senator.

Prefekt był już nieraz świadkiem stałości chrześcijan, nie dzielił też zapatrywań senatora. Przyrzekł jednak wobec projektowanego małżeństwa zrobić wszystko, aby Soteris się wyrzekła wiary chrześcijańskiej.

— Ależ ona z pewnością ustąpi — powtarzał Semproniusz. — Biedne dziecko straciło przedwcześnie ojca, wychowaniem nie zajął się nikt poważny i roztropny i tak wpadła w ręce marzycieli i fanatycznych kapłanów. Ale jak tylko się ktoś energicznie do niej weźmie, to się pozbędzie tych głupstw. Ojciec był taki spokojny i rozsądny, niepodobna, żeby się córka odrodziła od niego. Na Jowisza, przecież ja tylko jej dobra chcę i pragnę. Są ludzie, którym trzeba gwałtem szczęście wpychać, nie wątpię, że jej ojciec, a mój kuzyn, stary mój towarzysz broni, podziękowałby mi za to, gdyby żył, że tu trochę siły, przemocy użyję.

Na drugi dzień po południu zjawił się w willi Soteris pretor (sędzia) i zażądał widzenia się z panią domu. Prefekt kazał mu zachować wszystkie względy należne kobiecie z wyższego rodu, a nadto senator obiecał mu sowitą nagrodę, jeżeli groźbą wymoże na Soteris, iż złoży bogom ofiarę.

— Pozwól mi, szlachetna pani — rozpoczął tak rozmowę — że ci zadam jedno pytanie. Wszak prawda, że każdy rzymski obywatel powinien być posłuszny prawom państwa?

— Z pewnością, o ile się one nie sprzeciwiają prawom Bożym. Wiem, do czego zmierzasz, oto powiem ci śmiało i otwarcie: jestem chrześcijanką!

— Pamiętaj o edyktach, wydanych przez boskich cezarów i oświadcz mi, że chcesz być posłuszną prawom państwa.

— Nigdy nie złożę ofiary bogom, co nie są żadnymi bogami.

— Któżby tam w naszych czasach wierzył w te bajki o mieszkańcach Olimpu? — wykrzyknął pretor. — Jowisz, Junona, Apolin, to tylko imiona przekazane tradycyą wieków, służą one na oznaczenie jednego najwyższego bóstwa, którego widomem przedstawicielem jest cesarz. Takich zaś geniuszy boskich imperatorów winien czcić każdy obywatel rzymski, na niego ma przysięgać, jemu ofiarować, a ty, szlachetna Soteris, jako potomek tak starożytnego i znakomitego rodu, nie możesz się usuwać od tego obowiązku.

— Jest tylko jeden Bóg — odrzekła Soteris — co stworzył niebo i ziemię, cesarza i najdrobniejszego robaczka. Bogiem tym jest

nasz Bóg chrześcijański. Wasze prawa przeciwstawiają Mu innego boga, słuchając waszych praw, musiałabym się zaprzeć jedynego, prawdziwego Boga.

— Zastanów się nad tem, co mówisz. Byłoby mi to bardzo przykro, ale musiałbym spełnić zlecenie i uwięzić cię, jeżelibyś nie odstąpiła od tego, co twierdzisz.

— Spodziewam się, że nie zmienię zdania i na torturach nawet. Zaczekaj tylko chwilkę, a gotowam iść z tobą przed trybunał sędziego. Żeby służby nie alarmować, każ im zebrać się w peristilum (odległe podwórze pałacu), pomówię tylko słów kilka z prokuratorem.

— Masz dwie godziny czasu do namysłu. Zastanów się i rozważ wszystko. Mnie wystarczy twoje zapewnienie, że chcesz być posłuszną prawom i rozporządzeniu cesarza.

To powiedziawszy oddalił się urzędnik. Soteris udała się tymczasem w głąb pałacu, wdziała na siebie białą dalmatice (długa, aż do stóp suknia z dwoma purpurowymi pasami na plecach, jako oznaka senatorskiego rodu), głowę przykryła bogatym, złotem przetykanym welonem, na szyi zawiesiła na złotym łańcuszku bullę (ozdobę w kształcie serca). Tak przybrana, jak do ślubu, weszła do kapliczki domowej. Tu uklękła przed Naj-

świętszym Sakramentem i wyjęła naczynie z szafeczki.

— O Boski mój Oblubieńcze! — zawołała ze wzrokiem na Hostyę zwróconym — wzywasz mnie, abym Ci świadectwo złożyła, a jako jagnię posłuszne pasterzowi, spieszę za Twym głosem. Ale chodź, chodź mój niebieski Panie, zstąp do mego serca, aby ciało nie okazało się słabem w czasie próby. Jak Ty będziesz przy mnie, nie lękam się ani męczarni, ani śmierci. Zachowaj nieskażoną Twoją oblubienicę, Twoją w życiu, Twoją w śmierci, zawsze, wiecznie, wiecznie Twoją!

Kornie schylona, przyjęła Najśw. Ciało po raz ostatni, za niedługo miała się ze swym Bogiem w całym Jego majestacie połączyć na wieki w niebie.

Herakliusz Rufin spodziewał się takiej odpowiedzi, nie zrzekł się jednak jeszcze nadziei. Przecież senator Aureliusz Semproniusz, stary przyjaciel rodziny, musiał znać dobrze usposobienie dziewicy, a tak go zapewniał, że Soteris wreszcie ulegnie. Może noc jedna w więzieniu już wystarczy, cele więzienne nie są wcale ponętne!

Stosownie do tego wydał Rufin polecenie pretorowi. Zresztą był to z natury urzędnik surowy, jeżeliby obstawała przy swojem, musiał spełniać literę prawa.

Gdy pretor przyszedł do willi, Soteris otulona płaszczem czekała już na niego, gotowa do drogi. Raz jeszcze starał się pretor skłonić ją, że będzie edyktom cesarza posłuszną, widząc jednak, że słowa jego są daremne, zawołał siepaczy.

Soteris wysłała całą służbę do ogrodu i w głąb pałacu, aby uniknąć przykrej sceny pożegnania, tylko prokurator miał być obecnym przy jej aresztowaniu.

Sędziwy prokurator stał w atrium, upadł jej do nóg i całując jej ręce, mówił łkając:

— A więc to jest ta podróż, o której moja droga pani mi wczoraj mówiłaś? O, że ja stary tego dożyć musiałem! Czemuż nie mogę oddać mego życia, które już jest bez wartości, wzamian za twoje?

W krótkich słowach wydała Soteris staremu słudze rozporządzenie co do pogrzebu.

— Kup pojedynczą marmurową trumnę i każ ją jeszcze dziś, najdalej jutro zanieść na cmentarz przy apijskiej drodze. Tam czekają rodzice na córkę. Chętnie chciałabym obok położone wielkie cubiculum (komorę) wymalować, mogłaby się tam Msza święta odprawiać, ale niech już tak zostanie, jak jest teraz! Zresztą — dodała w natchnieniu — niedaleko jest już dzień, kiedy Krzyż z try-

umfem wyjdzie z pod ziemi, ziarno posiewu zejdzie!

Po tych słowach wyrwała się Soteris płaczącemu starcowi i opuściła pałac w towarzystwie sług sądowych.

Już sam widok pretora i sług sądowych zwrócił uwagę mieszkańców dzielnicy poza Tybrem; cóż dopiero, gdy zobaczono, że aresztują tak znakomitą damę. Z wszystkich stron zbiegli się młodzi i starzy, powstało zbiegowisko, tak, że z trudnością się przecisnąć można było. Chrześcijanie płakali, a nawet poganie nienawidzący chrześcijan, przejęci byli współczuciem.

Przez most emiliański, przez Forum przybył pochód do więzienia mamertyńskiego u stóp Kapitolu położonego.

Trzeba czytać akta męczeńskie, aby mieć wyobrażenie, jak to wyglądało więzienie w starym Rzymie. Prefekt wydał nadto rozkaz, aby Soteris zamknięto w najstraszniejszej części podziemia, w tak zwanem Orcus i aby ją okuto w kajdany.

Soteris nawiedzała już nieraz wyznawców w więzieniu, to też okropność więzienia nie była dla niej nowością. Nawiedzając wyznawców, widziała ich skatowanych, z członkami poszarpanymi na torturze, często tak strasznie, że się ruszyć nie mogli, wielu z nich

zakutych było w dyby przez tygodnie całe! Tak ich widziała, podziwiała ich bohaterską wytrwałość, zazdrościła im korony, która już i na nią czekała. Nie! ta noc w więzieniu nie zdoła jej ugiąć, doprowadzić ją do zaparcia Zbawiciela. Przecież wojownik nabiera jeszcze więcej odwagi, gdy się oko w oko spotka z wrogiem!

(Jest to jeden z najpiękniejszych rysów w dziejach miłości chrześcijańskiej, jak wierni wszelkimi sposobami i pieniędzmi i podarunkami starali się wyjednać sobie przystęp do uwięzionych Confessores, aby ich pocieszyć słowem, umocnić i pokrzepić i prosić ich o wstawiennictwo w modłach do Boga. Przedewszystkiem pod tym względem świecili przykładem duchowni, spiesząc do więźniów z Przenajśw. Sakramentem. Kto nie był w stanie sam nawiedzać więźniów, składał do skarbony arca ecclesiae datek na wsparcie confessores. Więzienia były wilgotne, zaduch w nich i zgniliznę czuć można było, okupywano też więźniom pozwolenie, że od czasu do czasu na godzinę mogli opuścić swój ciemny loch i zaczerpnąć świeżego powietrza).

Na drugi dzień przyszedł pretor do więzienia, a Soteris oświadczyła jeszcze z większą radością niż wczoraj, że pragnie umrzeć za swego Pana i Boga.

Trzeba więc było się jąć ostrzejszych środków. Z więzienia poprowadzono Soteris do Basilica Julia, gdzie się odbywały są-

dy. Czekał tu już prefekt w gronie sędziów, do których się i Aureliusz Semproniusz przyłączył. Poza siedzeniem sędziów było miejsce zasłonięte, tu usuwali się sędziowie, aby się naradzić, jaki wyrok wydać mają, poczem go woźny ogłaszał ludowi. Poza marmurową ballustradą stał stół do ofiary o trzech nogach, na nim były żarzące się węgle; obok stołu leżały rozmaite przyrządy do tortury i stali katowie gotowi spełnić natychmiast rozkazy sędziego. Najwstrętniejszym pomiędzy nimi był Murzyn, nizki, krępy, nadzwyczaj silny, człowiek nie znający żadnej litości, ani uczuć szlachetniejszych, prawdziwie wcielony szatan. W sali sądowej zebrało się mnóstwo ciekawych.

Soteris pomodliła się gorąco i teraz szła pewnym i śmiałym krokiem przed trybunał. Twarz zasłoniła welonem.

Poganie, pełni ciekawości, spoglądali na oskarżoną, wyczekując, jak się bronić będzie.

Chrześcijanie spoglądali na nią z szacunkiem i zasyłali cichą modlitwę przed tron Boga za młodocianą wyznawczynię.

Rozpoczęło się przesłuchanie.

— Jak się zowiesz? — zapytał ją prefekt Rufin.

Zrobiwszy na czole znak Krzyża świętego, odpowiedziała dziewica:

— Nazywam się Soteris.

— Z jakiej rodziny jesteś?

— Jestem chrześcijanką, jeżeli jednak rozchodzi się o moje cielesne pochodzenie, to należę do senatorskiej rodziny Floriuszów.

— Znasz rozporządzenie boskich władców, a więc przystąp i ofiaruj kadzidło bogom.

— Jest tylko jeden Bóg, którego od dzieciętwa czcić się nauczyłam. Bogów, o których ty mówisz, nie znam; to są wymysły tylko ludzkie!

— Strzeż się bluźnić na bogów państwa rzymskiego.

— Czyż bluźnię, gdy mówię prawdę?

— Uważaj, że młodość, piękność, szlachectwo, bogactwo, wszystko poświęcasz, aby dogodzić swemu nierozumnemu uporowi!

— Wiem, co mi jest pożyteczne i wiem, kto mi to na wieki zachowa, co posiadam. Nie mogę zmienić mego zdania.

— Patrz! — rzekł prefekt do Semproniusza — patrz, jaka uparta! Ale kiedy nie pomogą dobre słowa, pomoże co innego! Murzynie! włóż-no rękawiczkę!

Z szatańską radością nadbiegł Murzyn i pokazał rękę, na której miał szeroki kawał grubej skóry, pokryty łuskowatą blachą.

— Zedrzyj jej zasłonę!

Nim kat rozkaz wypełnić zdołał, Soteris

odsłoniła sama twarz, i szmer podziwienia rozszedł się po całem zebraniu na widok jej urody. Myśl, że wobec wszystkich odkryła twarz i jest powodem podziwu w tłumie, zarumieniły jej lica, podnosząc wdzięk jeszcze bardziej. Bujny, czarny włos, jakby naturalna zasłona, spadał jej na suknię zdobną w purpurowe pasy.

— Raz jeszcze upominam cię — rzekł sędzia — pamiętaj o twem pochodzeniu i młodości i ofiaruj bogom.

— Jestem chrześcijanką i znam jednego Boga, który stworzył niebo i ziemię.

Na znak dany przez sędziego Murzyn podniósł rękę i wyciął jej policzek, tak, że krew natychmiast popłynęła.

Soteris wzniosła wzrok pełen dziękczynienia i miłości w niebo i nic nie mówiąc, nadstawiła drugi policzek.

(Cała ta scena jest opowiedziana według opisu św. Ambrożego).

Nowe uderzenie i krew popłynęła znowu.

— Dziękuję Ci, Panie, Jezu Chryste — rzekła głośno — że uczyniłeś mnie godną z Tobą dla Ciebie też samą hańbę cierpieć.

Zgromadzeni z zapartym oddechem stali, podziwiając taką stałość w dziewczęciu, tylko Murzyn, którego serce nie zaznało nigdy iskry uczucia, ponowił znowu policzek z jednej

i z drugiej strony, a Soteris i tą razą tak samo twarz nadstawiła.

Krew płynęła, brocząc szyję i białą suknię; Soteris wyglądała, jakby zdobna rubinami. Naraz, gdy Murzyn znowu rękę podnosił, odezwał się głos z tłumu:

— Czy to się godzi w podobny sposób, jak z niewolnikiem postępować z damą senatorskiego pochodzenia?

Lud zaczął także głośno szemrać i wtedy senator Aureliusz Semproniusz, poznawszy głos syna, zwrócił się do prefekta i szepnął mu coś na ucho. Rufin przerwał posiedzenie i kazał Soteris odprowadzić do więzienia.

Soteris zakryła czem prędzej twarz welonem i za sługą sądowym pospieszyła do więzienia. Przy wejściu do więzienia zgromadzili się chrześcijanie, aby wyznawczyni ucałować ręce i polecić się jej modlitwom; Lucyna zaś obmyła jej twarz ze krwi przygotowaną do tego chustą.

— Czemuż to — rzekła Soteris — chcesz mnie pozbawić ozdób, które mi mój Oblubieniec jako podarek ślubny złożył. Przecież spodziewam się, że się Mu tak zdobna spodobam.

— Moje drogie dziecię — rzekła Lucyna — jutro staniesz znowu może przed sądem,

krew na obliczu mogłaby obudzić litość w ludzie.

Zbliżający się dozorca więzienia odtrącił Lucynę, Soteris odprowadzono do jej celi. Wśród tłumu, który skazaną odprowadził pod bramę więzienną, był i Ambroży, blady jak śmierć. Dawno już zamknęła się brama więzienia, rozszedł się lud, a on stał i stał oparty o słup, ze wzrokiem wlepiony w bramę.

V.

W więzieniu.

Senator Aureliusz Semproniusz przekonał się, że się pomylił co do Soteris, ani groźby, ani dotkliwa kara nie wywarły na niej żadnego wpływu. Podziwiał jej stałość i odwagę, ale z przerażeniem myślał o możliwości, ba o prawdopodobieństwie, że Soteris wytrwa w swym fanatyzmie. Nie! nie! Do tego nie powinno dojść, Semproniusz był gotów wszystkiego popróbować, aby tylko do tego nie dopuścić. Już zaraz po przesłuchaniu sądowem miał dłuższą rozmowę z prefektem i zrobił to, że jeżeli tylko Soteris zezwoli na małżeństwo z jego synem, odstąpi się zaraz od procesu.

w nadziei, że mąż, wierny czciciel bogów, z czasem ją przerobi.

Przesłuchanie wywarło nie mniej głębokie wrażenie i na trybunie. Odwiedziny katakomb, rozmowa z Soteris już nieco go inaczej usposobiły dla chrześcijan; odwaga i zapał, z jakim Soteris złożyła wyznanie wiary, a potwierdziła krwią swoją, zachwyciły go i porwały. Każdy policzek jej wymierzony odczuł sam, mimo woli wyrwał mu się ów okrzyk z piersi. Co za ogień dziwny błyszczał jej w oku, gdy jej ta dama w przedsionku więzienia krew z twarzy obmywała, a Soteris zwróciła wzrok swój w niebo!

— Czyż zabobon i błąd są w stanie dodać takiej siły słabej dziewczynie? Byłżebym ja zdolny ponieść podobną ofiarę dla moich bogów?

I znowu przypomniały mu się słowa, które słyszał w katakombach i które mu Soteris powtórzyła; — skąd taka ufność u chrześcijan, pomimo iż tak strasznie ich prześladują? Nie! to nie jest fanatyzm! To nie namiętność roznieciła ten płomień! zbyt on czysty na to!

Cały dzień zajmowały go te i tym podobne myśli, wieczorem postanowił odwiedzić Soteris i zapytać się jej w tej kwestyi.

U prefekta miasta uzyskał z łatwością pozwolenie.

Więzienie, w którym Soteris umieszczono, było w całem tego słowa znaczeniu okropne. Powietrze duszne, odrobina tylko światła tu dochodziła. Starzy Rzymianie nie odznaczali się wcale ludzkością pod tym względem; nawet w więzieniu śledczem trzeba było wiele, wiele cierpieć. Cela, w której siedziała Soteris, była to ta sama, w której król Jugurta śmiercią głodową został zamorzony, gdzie potem spiskowcy, biorący udział w sprzysiężeniu Katyliny uwięzieni byli, gdzie według podania kościelnego także święty Piotr był trzymany.

Kiedy Soteris weszła do więzienia i przykuto ją do żelaznego kółka, uklękła i wzniósłszy dłonie w niebo, zawołała:

— Dziękuję Ci, Panie mój, Jezu Chryste! że mogłam wyznać wobec tylu świadków Twe Imię święte. Patrz, jestem gotowa dla Ciebie wszystko cierpieć. Z radością umrę dla Ciebie! Zachowaj tylko Twoją gołębicę od szponów sępa piekielnego, zawołaj ją do Siebie, niech w Twych przybytkach spocznie!

Przyszli jej potem na myśl męczennicy, co przed nią jęczeli w tem więzieniu i poleciła się ich modłom, aby mogła wyznać Jezusa, pocieszała się tem, że się za nią modlą teraz. W połączeniu swych modłów z ich modłami i modlitwą wszystkich wyznawców

na ziemi czuła się i silną i niezwyciężoną. Cierpienia swe ofiarowała na intencyę Kościoła świętego, aby Bóg jak najrychlej użyczył Kościołowi tak pożądanego pokoju. Pomiędzy więźniami był także od kilku już tygodni papież Marceli w tem samem więzieniu, Soteris odwiedziła go nawet kilka razy; czy on też wie, że i ona się tu znajduje?

Tak minęły może ze trzy godziny, nagle skrzypnęły wrzeciądze i do więzienia wszedł senator Aureliusz Semproniusz z pochodnią w ręku.

Opuściwszy salę sądową, był senator bardzo niespokojny; krople krwi, które z twarzy Soteris spływały, paliły jego duszę; troska, co się z nią stanie, nie opuszczała go ani na chwilę; odpędzał nawet myśl od siebie, jak się to wszystko skończy. Przecież się Soteris wreszcie ugnie! Nad wieczorem poszedł do prefekta i prosił go o pozwolenie odwiedzenia uwięzionej.

— Wstyd mnie za ciebie — rozpoczął tak senator — że córkę senatorską, potomka tak znakomitego rodu, tu znajduję; przychodzę ci jednak ofiarować wolność. Oświadcz, że chcesz zostać małżonką mego syna, a zaraz opuścisz to więzienie i wolno ci będzie nawet pozostać przy twej wierze. Okazałaś się stałą, pochwała wszelka ci się należy, ale dość te-

go. Twój Bóg nie może i nie powinien więcej żądać od ciebie. Nie bądźże więc upartą i nie okrywaj hańbą sławnego imienia twej rodziny.

— Właśnie okryłabym hańbą imię przodków, gdybym została niewierną Temu, co się ze mną zaślubił na wieki. Dziś na mą szyję włożył On rubinowy naszyjnik, jako podarek ślubny i tym sposobem jeszcze silniej mnie przykuł do Siebie... Nie, nie! nie mogę Go opuścić!

— Nieszczęsna, więc trwasz wciąż w uporze?

— Bać się Boga, kochać i służyć Mu, to jest najwyższa mądrość, a nie upór, nie głupstwo.

— Więc przekładasz śmierć z ręki kata nad życie pełne szczęścia i przyjemności?

— Jestem zdecydowaną za każdą cenę, choćby za cenę życia kupić sobie życie wieczne pełne niezamąconej niczem radości.

— Soteris — rzekł senator, a głos drżał mu od wzruszenia — daj mi, proszę cię, inną odpowiedź. Niech nie odchodzę od ciebie z przeświadczeniem, żem winien twej śmierci. Na przyjaźń, która łączyła nasze rodziny, na świętą pamięć twoich rodziców zaklinam cię, nie powtarzaj wciąż tego samego, bo mnie najnieszczęśliwszym zrobisz na całe życie!

— Moi drodzy rodzice czekają mnie tam w górze — odrzekła Soteris z błogim uśmiechem — stoją już u bram raju, aby powitać swe dziecię, jako oblubienicę Zbawiciela i ja miałabym się gniewać na ciebie, tobie winę przypisywać. Ty mi świadczysz największe dobrodziejstwo, jakie tylko człowiek jest mi w stanie wyświadczyć. Czy wierzysz, że za żadne skarby świata nie oddałabym tej chwili, kiedy stałam przed trybunałem sędziego?

Nie mówiąc ani słowa, odwrócił się senator z westchnieniem i ze spuszczoną głową opuścił więzienie.

Nie wątpił ani chwili, że skoro tylko Soteris stanie znowu przed sądem, będzie obstawać przy swem wyznaniu, a wiadomo, co się z nią stać musi, stosownie do rozporządzeń cesarskich.

— Nie — mówił do siebie senator — tego zarzutu nie mogę na sobie przenieść, abym miał być winien śmierci Soteris. Choćbym do samego cesarza miał pójść, to uczynię to, a uwolnię ją z więzienia.

Że Soteris i bez niego mogła być przed prefekta wezwaną, gdyż już była oskarżoną, nie usprawiedliwiało go w jego oczach, sobie jedynie przypisywał całą winę.

W godzinę po odejściu senatora otwarła się znowu brama więzienia i wszedł Ambroży.

— Nie obawiaj się, szlachetna Soteris, że przychodzę znowu prosić cię o twoją rękę. Po tem, co słyszałem i widziałem, straciłem już zupełnie nadzieję. Co innego mnie tu dziś sprowadza. Chciałbym się coś więcej dowiedzieć o tej religii, którą dotąd pogardzałem, a patrząc na ciebie, podziwiam. Ty jedyna możesz mnie najlepiej o niej pouczyć.

— O jakże Ci dziękuję, o Boże! — zawołała Soteris, podnosząc kajdanami obciążone ręce w niebo — że paru kroplami krwi mogę Ci wykupić jednę duszę, i tej nocy w więzieniu spędzonej dla Ciebie ją pozyskać!

Poczem mu objaśniała główne prawdy wiary z dziecięcą prostotą, tak chwytającą za serce i przekonywającą zarazem. Tu i owdzie podnosił Ambroży zarzuty, umiała je jednak odeprzeć zwycięsko, tak, że słuchający nie wiedział, co ma bardziej podziwiać, czy dziwną harmonię nauki, czy jasny wykład dziewicy.

Wreszcie dał odźwierny znak, żeby się Ambroży oddalił i Soteris oświadczyła Ambrożemu, żeby co do dalszych wskazówek zgłosił się do dyakona Sewera, którego też znajdzie przy cmentarzu koło drogi apijskiej.

Chciała mu podać bliższe wskazówki, gdzie go ma szukać, ale przerwał jej Ambroży, mówiąc, że zna to miejsce doskonale i wyznał jej otwarcie, w jakim celu już raz zwie-

dzał katakomby. Było to pierwsze dobrowolne upokorzenie, które Ambroży zrobił, było w nim jednak coś niezwykłego, a pocieszającego go w tem wyznaniu.

Soteris odrzekła na to wszystko:

— Coraz cieńszy już ten mur, co ciebie od nas oddziela, a modlić się będę za tobą, żeby znikł wkrótce zupełnie.

Słowa te dziwne sprawiły wrażenie na młodzieńcu, w duszy poczuł po raz pierwszy tę świętą tęsknotę, którą w pierwszych czasach odczuwali katechumeni wobec zbliżającego się dnia chrztu, a dziś jeszcze dzieci odczuwają, wyczekując dnia pierwszej Komunii świętej.

Nade dniem odwiedził Soteris dyakon Seweryn, pocieszył ją i przyniósł jej posiłek, bo przez cały dzień wczorajszy nikt jej ani kropelki świeżej wody nie podał. Opowiedziała mu, co za zmiana zaszła w Ambrożym, a sługa Boży obiecał dołożyć wszelkich starań, aby tylko pozyskać dla Boga tę duszę.

Sempronius spędził noc okropną. Niespokojny rzucał się na swem łożu i przemyśliwał, jakby Soteris mógł ocalić, mimo że pozostanie chrześcijanką. Jeszcze bardziej inna myśl go dręczyła. Wieczorem rozmawiał z nim syn o odwadze i stałości krewnej, o tej tajemniczej sile, jaką mieć muszą w sobie

nauki chrześcijańskie, kiedy zdolne są ze słabej dziewczyny zrobić taką bohaterkę. Mówił o tem z takim zapałem, że Semproniusz przeraził się, przypuszczając, że Ambroży z miłości ku Soteris gotów jest dać się uwieść tym naukom. A nuż chrześcijaninem zostanie! Ta myśl i skutki, jakie za sobą pociągnąćby mogły, dręczyła go ogromnie; drżał na przypuszczenie, że swe nadzieje, uciechę, stracić może z ręki kata.

Nad ranem usnął, ale okropne sny go dręczyły. Zdawało mu się, że syn idzie jakimś podziemnym gankiem, w ręce ma już gasnącą świecę i kroczy tuż, tuż nad przepaścią. Naraz ukazała się Soteris w lśniącem ubraniu i poprowadziła Ambrożego do jeziora, w które po krótkim namyśle wszedł i brodząc w niem coraz głębiej, wreszcie przez falę zakryty został. Semproniusz z przerażenia krzyknął głośno i natychmiast się obudził.

VI.

Męczeństwo.

Młody trybun nie zmrużył całą noc oka; w duszy jego toczyła się straszna walka między ciemnością i światłem, światem i łaską.

Raz chrześcijaństwo stawało przed oczyma jego duszy, jako jasne słońce, to znowu budziły się w nim wrodzone przesądy i wątpliwości; chwytał się jak tonący bogów, w których od dziecięctwa wierzył, to znowu modlił się do Boga chrześcijan o ratunek. Czyż mógł zerwać z tem, co dotąd cenił i szanował? Jako żołnierz, czyż mógł wypowiedzieć posłuszeństwo rozkazom cesarza? Czyż miał poczucie swej godności, chwałę rodu swego zamienić z hańbą krzyża; zrzec się nadziei, snów młodości i świetnej karyery? I cóż miał mieć za to? Zostanie członkiem znienawidzonej i osławionej sekty, ściągnie na siebie gniew ojca, pogardę ze strony równych mu urodzeniem i stanowiskiem, a może nawet za kilka dni dostanie się w ręce kata! Wtem stanął znów przed nim obraz dziewicy tak wzniosły, tak święty, istnie niebiańskie zjawisko, a tak pełne dobroci, tak odważne wobec sędziego, ze wzrokiem pełnym zapału... widział, jak jej krew z twarzy spływała na białą suknię, a ona stoi odważnie... a to opowiadanie o nowej religii i z taką prostotą, jasnością, przekonaniem wewnętrznem o prawdzie. Tak! to musi być prawda, to jest światło niebieskie, wobec którego szatan błędu runąć musi w przepaść.

Przez cierpienia i krew męczenników musiał Pan Bóg dawać w owych czasach hojnie Swe łaski, że ludzie tacy, jak Ambroży, mieli na tyle siły, że dla Boga wyrzekali się wszystkiego, narażali się na najokropniejsze męki, aby zostać tylko wyznawcami tak pogardzonego Krzyża Chrystusowego.

Nad ranem ukończyła się i rozstrzygła ta walka wewnętrzna. Ambroży postanowił zostać chrześcijaninem i w tym celu wybrał się szukać dyakona Sewera.

Wobec coraz bardziej srożącego się prześladowania, zwłaszcza, że uganiano się szczególniej za pasterzami, trzymało się duchowieństwo w pobliżu katakomb, aby w razie niebezpieczeństwa znaleźć schronienie w podziemnym labiryncie. W pobliżu cmentarza Apostołów siedział znowu kulawy żebrak Kryspin. Trzeba sobie wyobrazić jego zdziwienie, gdy wczas rano znowu ujrzał tego samego, jak sądził szpiega.

— A przyjacielu! — rzekł do siebie samego, śmiejąc się szyderczo — nie poskutkowała ci lekcya przedwczorajsza, trzeba ci dać lepszą dzisiaj. Przygotuj się na dwa dni aresztu!

Ambroży ujrzawszy kalekę, zbliżył się doń natychmiast i zapytał:

— Chcę pomówić z dyakonem Sewerym, ma tu być koło cmentarza, zaprowadź mnie do niego.

— Panie! — odrzekł Kryspin płaczliwym głosem, udając, jakby Ambrożego nigdy nie widział — jakżeż mogę ja biedny kaleka cię zaprowadzić? Ty pewnie myślisz o Sewerze, co jest zarządcą wiejskiej posiadłości Kwintyliuszów, to musisz iść jeszcze pół godziny drogi i potem skręć w boczną ulicę, to go tam znajdziesz.

Na te słowa zgniewał się trochę Ambroży i odrzekł krótko:

— Na szczęście znam dostęp do katakomb i jeśli nie chcesz iść ze mną...

— To sobie sam w krużgankach drogę wynajdziesz — odrzekł spokojnie drwiącym nieco tonem Kryspin. — Dobrze, poprowadzę cię aż do drabiny. Przy niej zostanę, żeby... no, żeby nikt drabiny nie wziął. Potem możesz się pytać zmarłych, czy nie widzieli dyakona Sewera.

Ambroży widział, że musi otwarcie postępować.

— Ten, co z tobą dzisiaj mówi, jest zupełnie inny, niż ów, któremu kazałeś błądzić po cmentarzu. Trzeba ci wiedzieć, że chcę zostać chrześcijaninem.

Kulawy spojrzał badawczo na młodzieńca. W przeciągu dwóch dni taka zmiana? To niepodobna!

— Przedwczoraj grałeś rolę chrześcijanina, dziś grasz rolę katechumena! Wtenczas chciałeś pojmać Soteris, dziś dyakona.

Ambroży nic nie odpowiedział na to przykre słowo, czuł, że zasłużył na podobny wyrzut.

— Proszę cię — rzekł po chwili — zaprowadź mnie do Sewera. Posyła mnie do niego Soteris, którą odwiedziłem w więzieniu, dyakon ma mnie pouczyć w tem, co ona zaczęła.

— Co? — zawołał przerażony Kryspin — Soteris w więzieniu? I ją musimy utracić? Śmierć ścina najpiękniejsze kwiatki, a omija taki nędzny oset, jakim ja jestem. Ale powiedz mi, jakim sposobem dostała się do więzienia?

Boleśnie dotknęło to pytanie Ambrożego.

— Nie pytaj mnie teraz o to — odrzekł po chwili — zaprowadź mnie tylko do Sewera. Wierz mi, jestem zbłąkaną owieczką, która szuka swego pasterza, a nie znajdzie spokoju, póki się z nim nie spotka.

Powiedział to z takim zapałem, z serca, że Kryspin nie wątpił już więcej, ujął Ambrożego za rękę i rzekł:

— Bogu niech będą dzięki, że cię, szlachetny panie, powołał do poznania prawdy. Tak jest, poprowadzę cię do czcigodnego dyakona Sewera. Patrz! — mówił, ukazując winnicę tuż obok położoną — widzisz tego starca, który rozmawia z robotnikami obcinającemi winną latorośl? to on jest!

Rozmowa z dyakonem trwała kilka godzin. Ambroży ani się spodziewał, co tymczasem zaszło w Rzymie.

Semproniusz przemyśliwał nad środkami uratowania Soteris. Po długiem zastanowieniu zdawało mu się, że znalazł środek. Można było przypuścić, że wieść o śmierci dwóch braci podziałała tak przygnębiająco na dziewicę, że jest w stanie niepoczytalnym, wobec tego trzeba jej dodać opiekuna prawnego a proces ubić tymczasem.

Ale prefekt o tem ani słyszeć nie chciał. Dyoklecyan wybrał sobie dobre narzędzie do spełnienia swych zleceń w osobie Rufina.

— Jest to wolą boskiego Dyoklecyana — odparł — aby chrześcijaństwo wytępić o ile możności jak najprędzej. Jeżeli raz tylko przystanę na podobny wybieg, to zaraz całe setki do niego się uciekną, aby się tylko wymknąć z rąk prawa. Jeżeli uznałem 12-letnią Agnieszkę za osobę zdolną do odpowiedzialności, to tem bardziej muszę uznać i Soteris, bo jest

starszą. Zrobię jednak jeszcze jednę próbę, będzie ona nieco boleśniejszą, ale może poskutkuje.

— Możeby ją w więzieniu potrzymać dłuższy czas?

— W więzieniu jej trzymać nie mogę, i tak są już więzienia przepełnione chrześcijanami, których zamiast złamać upór, utwierdza się jeszcze przez to w swem szaleństwie. Zresztą, jeżeli trwać będzie w swoim uporze i sprzeciwiać się będzie rozkazom cesarzów, gardząc bogami, sprawiedliwość musi swoje zrobić.

— To choć na kilka dni odwlecz tę sprawę!

— I tego zrobić nie mogę. Im dłużej lekarz zwleka z operacyą, tem gorzej z raną. Dziś jeszcze wezmę ją przed sąd, ale dam ci przytem dowód przyjaźni. Zadowolę się tylko pozorem, że złożyła bogom ofiarę, a mam środek, że ją skłonię do tego pozoru.

— Możesz ją zmusić? — zawołał Semproniusz uradowany, że mu się nadzieja otwiera.

— O tyle, że jeśli się ten środek nie powiedzie, przekonasz się, że nic się już zrobić nie da.

— Pozwól mi przeto, abym ją odwiedził w więzieniu, może ją namówię!

— I to ci zrobię, lubo niechętnie. Wiedz jednak o tem, że jeśli nie złoży ofiary, to dzisiejszy dzień jest ostatnim jej życia!

Sempronius pobiegł czem prędzej do więzienia. Darmo się jednak trudził, namawiał, Soteris pozostała niewzruszoną.

— Ach! gdybym się to był tego spodziewał! — zawołał senator, całując ją po rękach. — Tylko dla pozoru, na oko rzuć choć ziarnko kadzidła, abyś mnie uwolniła od wyrzutów sumienia, które mnie dręczyć będą aż do grobu! Przecież zaraz na drugi dzień możesz być chrześcijanką i robić, co ci się podoba.

— Nie mogę nawet pozornie sprzeniewierzyć się memu Bogu, ale będę się modlić, aby do serca twego zawitał spokój, którego dotąd nie zaznałeś.

— Wiedzże zatem, że jeszcze dziś umrzesz!

— Dziękuję ci za tę wesołą nowinę — odparła dziewica uśmiechnięta. — Oblubieniec zastanie mnie gotową, a Jego łaska sił mi doda.

Około południa Soteris stanęła przed Rufinem.

— Miałaś dość czasu — przemówił tenże — abyś się namyśliła i zadość uczyniła roz-

kazom cesarza. Przystąp zatem i ofiaruj bogom.

— Nie złożę ofiary waszym fałszywym bogom — odparła Soteris — bo jest tylko jeden Bóg i Pan, Jezus Chrystus, za którego jestem gotową cierpieć i umrzeć.

Na dany znak sługa przyciągnął Soteris przed ołtarz ofiarny. Przytrzymano jej prawą rękę i wyciągnięto ją ponad żarzącymi się węglami. Podczas, gdy jeden na jej dłoń sypał kadzidło, drudzy spuszczali ramię jej zwolna niżej... coraz niżej, aż ręka wreszcie spoczęła na żarzących węglach.

Prefekt zrobił ostatnią tę próbę w nadziei, że skutkiem bólu drgnie Soteris i kadzidło tym sposobem padnie na węgle. Na podstawie tego uwolniłby Soteris od procesu.

Soteris jednak trzymała rękę, ani nie drgnąwszy. Chrześcijanie stojący tu i owdzie pomiędzy publicznością płakali, patrząc na nią, u niej — oko było suche, lubo ból musiał być okropnym, gdyż zbladła jak ściana, ustami tylko szeptała modlitwę i wzrok zwróciła w niebo. Z rany powstałej skutkiem oparzenia płynęła krew, ona była nieruchoma. Dla powiększenia bólu dmuchał jeszcze wstrętny murzyn na węgle i wyszczerzając zęby, uśmiechał się okrutnie.

Pomiędzy publicznością poczęto już szemrać na okrucieństwo, prefekt dał więc znak, aby przestano męczarni.

— Pytam cię ostatni raz, czy chcesz posłuchać rozkazów cesarza? — zapytał Rufin.

— Chcę być zupełną ofiarą dla mego Boga, nie mogę więc twoim fałszywym bogom składać ofiar.

Sędzia usunął się ze swym trybunałem na naradę i po chwili kazał ogłosić taki wyrok:

— Ponieważ Florencya Soteris wzbrania się uparcie usłuchać rozkazu boskich cesarzy i nie chce złożyć ofiary nieśmiertelnym bogom, skazujemy ją na karę śmierci przez ścięcie. Dla odstraszającego przykładu ma być ściętą przy drodze apijskiej, koło cmentarza chrześcijan.

— Dziękuję Ci z całego serca, mój słodki Jezu! — odrzekła na to Soteris a uśmiech zaigrał na jej obliczu i oczy zabłysły szczęściem i radością.

* * *

Ambroży pozostał aż do południa z dyakonem, słuchając jego nauk, potem zwiedził wraz z nim katakomby, gdzie mu starzec pokazywał groby znaczniejszych męczenników, aby utwierdzić go silniej w wierze. Wreszcie wyrwał się i pospieszył do Rzymu, pragnął

bowiem raz jeszcze odwiedzić Soteris w więzieniu i powiedzieć jej, że jest zupełnie przekonany o Boskości i prawdziwości religii chrześcijańskiej i że z niecierpliwością oczekuje chwili, kiedy go przyjmą w poczet katechumenów.

Jakżeż mu lekko i wesoło na sercu było, gdy teraz wracał apijską drogą ku Rzymowi. Od czasu do czasu przystawał, wznosił ręce i oczy w niebo, znaczył czoło znakiem Krzyża świętego i szeptał z zadowoleniem: jestem chrześcijaninem!

Droga apijska inaczej wtedy wyglądała. Po obu jej stronach wznosiły się wspaniałe grobowce, zdobne słupami i posągami z marmuru i śpiżu. Ruch na gościńcu był wielki, nigdzie wyraźniej obok siebie nie możnaby spotkać przeciwieństw śmierci i życia.

Ambroży nie zwracał uwagi na ludzi, cóż go mógł świat obchodzić, kiedy znalazł niebo.

Gdyby teraz, kiedy pozostał już chrześcijaninem, Soteris zechciała być jego słońcem na tem niebie! Cenił ją wprzód już dla jej przymiotów, o wieleż wyżej stawiał ją teraz!

Ale im dłużej się nad tem zastanawiał, tem większą przepaść widział między swoją osobą a dziewicą.

— Nie! — rzekł do siebie — to serce jest wyższe ponad wszelką miłość ziemską, Bóg

to serce wybrał dla Siebie, ziemski żebrak nie powinien żądać tej, którą Król niebieski obrał Sobie za oblubienicę. Ale będzie moją gwiazdą przewodnią, będzie mi wskazywać drogę, którą mam postępować. O, cóż to za doskonała religia, w której ogrodzie wykwitają tak wspaniałe kwiaty!

Ale jak się ten nieszczęsny proces skończy?

Pewnym był, że Soteris nie wyprze się Jezusa, nawet wśród najstraszniejszych męczarni. Ale wtedy... on jest winien jej śmierci! Ambroży westchnął głęboko.

— Ale będę ją prosił gorąco — dodał pocieszając się — aby mi przebaczyła. Jeszcze dziś to zrobię. Przecież dziękowała Bogu za to, że swoją męczarnią przed trybunałem wykupiła moją duszę.

Wśród takich myśli przybył Ambroży aż do bram miasta. Z miasta wychodziła właśnie garstka ludzi, oddział żołnierzy, wpośród nich kat i Soteris.

Ambroży zatoczył się jakby piorunem rażony. W tejże jednak chwili Soteris podniosła wzrok, a ujrzawszy go, dała mu z uśmiechem znak, aby przyłączył się do towarzystwa chrześcijan, którzy ją odprowadzali.

W pobliżu pomnika Korneliuszów, którego główna ściana, ocieniona wspaniałemi drze-

wami cyprysowemi do dziś się dochowała, zwrócił się pochód na prawo, wkrótce stanęli na miejscu stracenia.

Soteris całą drogę modliła się po cichu. Uważała za największe dobrodziejstwo i łaskę, że mogła umrzeć za wiarę i za Boga. Ustawicznie składała Bogu dzięki i ponawiała swą ofiarę. Szczególniej gdy orszak zbliżał się do cmentarza, coraz większa radość ją przejmowała; zdawało się, że wszyscy Święci, którzy tam spoczywają, spieszą naprzeciw niej, aby ją przyjąć w swoje szeregi. Soteris modliła się tyle razy przy ich grobach, prosiła ich, aby się za nią przyczyniali przed Bogiem! Teraz ukazali się jej przybrani w białe szaty i witali ją radośnie: święta Cecylia z chórem dziewic, święty Sykstus na czele gromady czcigodnych biskupów i kapłanów, liczny zastęp męczenników, tysiące błogosławionych, którzy od początku zaprowadzenia religii chrześcijańskiej w Rzymie spoczywali na tym cmentarzu.

Tam, gdzie są ruiny prastarej kaplicy poświęconej czci św. Soteris (dziś w części przebudowanej na użytek świecki), stanął kat, i tu miano stracić dziewicę. Było to właśnie w miejscu, które należało do posiadłości Soteris, gdzie poleciła się pochować przy pożegnaniu z prokuratorem.

Przed oczyma widza roztaczał się wspaniały widok Kampanii, która wówczas nie wyglądała tak dziko, ale przedstawiała się jakby jeden wspaniały ogród, wpośród którego rozsiane były wspaniałe wille.

Dzień, lubo w zimie, był bardzo piękny. Zachodzące słońce różowym blaskiem oświecało krajobraz, żaden wietrzyk się nie poruszał, z blizkich pagórków dolatywały do ucha melodye fletów pasterskich, dzwonienie trzód i bek owiec.

Kat robił przygotowanie, a Soteris te kilka chwil zużytkowała na pożegnanie się z wiernymi.

Lucyna płakała rzewnie, po raz ostatni ściskając swoją przyjaciółkę; jakżeż prędko ziściło się przeczucie, które miała w katakombach! Soteris uśmiechając się, rzekła:

— I ty płaczesz, droga Lucyno, w chwili, kiedy Aniołowie otwarli mi już bramy niebios i chcą mnie poprowadzić do mego Oblubieńca? Patrz! jak dobry jest Pan! Wybrałam sobie grób w mojej posiadłości w pobliżu cmentarza i tu też mam umrzeć. Czy ty wiesz, że Święci z tego miejsca spoczynku stoją tu niewidzialnie przy mnie, aby moją duszę poprowadzić do raju?

Ambroży nie mógł od płaczu ani słowa z siebie wydobyć. Ukląkł przed nią i całował wraz z innymi wiernymi ranę jej ręki.

— Miałem nadzieję — rzekł wreszcie do niej — że będziesz moją żoną, a ty zostałaś moją duchowną matką. Ale to kosztuje cię życie i to z mojej winy. O Soteris, daruj mi, daruj wszystko, co ci wyrządziłem wiedziony ślepą namiętnością!

— Nic ci nie mam do przebaczenia, mój bracie, i dziękować ci powinnam! Ty jesteś moim drużbą na gody z wierną miłością, a przez to, żeś uwierzył w Jezusa Chrystusa, dałeś mi zarazem wspaniały podarek ślubny dla mego Oblubieńca. Weź na pamiątkę tę b u l l ę (bulla, naczynie do zbierania krwi męczenników); znajduje się w niej gąbka z krwią drogiej mojej Agnieszki. Umocz ją i w mojej krwi, będzie to zakładem, że modlić się będę w niebie zawsze za ciebie i za twego ojca. A kiedyś powiedz twoim dzieciom, że i za nich się modlić będę i będę ich duchowną matką. O! — dodała w zachwycie — będą one ozdobą Kościoła i nieśmiertelną chwałą otoczą twoje imię Ambroży, pracując dla chwały Bożej.

Przygotowanie skończono. Murzyn stał obnażony aż pod biodra, z długim, katowskim mieczem w ręku.

Soteris zdjęła sama zasłonę; Lucyna rozpostarła na ziemi wielką, białą chustę. Męczennica uklękła na niej, odsłoniła z szyi bujne włosy, złożyła na krzyż ręce na piersiach i skłoniwszy głowę, zawołała: „Już spieszę, o mój Jezu!“ — Było to 6 lutego 304 roku.

Lucyna z kilku kobietami zawinęła zwłoki w chustę, podczas, gdy inni wierni maczali gąbki i chustki w krwi ściętej męczennicy. Dusza czysta i niepokalana dziewicy uleciała, jako gołąb na rajskie niwy.

VII.
W katakombach.

Senator Aureliusz Semproniusz opuściwszy więzienie Soteris, po nieudałej ostatniej próbie, wyglądał sam jak skazany. Dręczyło go przeświadczenie, że on jest winien nieuniknionej śmierci dziewicy, daremnie starając się zwalić winę na upór i przywiązanie do zakazanej religii ze strony Soteris. Rozmawiając z nią w więzieniu, patrząc na ten dziwny spokój delikatnej młodej dziewczyny, podziwiać ją musiał. Miała wszystko, co młode serce zadowolić i uszczęśliwić może: piękność, młodość, bogactwo, szlachectwo rodu i zrzekała

się tego wszystkiego bez jęku i żalu. A przecież życie nigdy nie jest przyjemniejszem, jak w tym wieku, a Soteris z uśmiechem poświęcała je, aby umrzeć jak zbrodniarz z ręki kata. Sempronius był człowiekiem szlachetnego serca, podziwiał też to wszystko. To nie było marzycielstwo, w tem było coś nadprzyrodzonego, wyższego, do takich ofiar zwykli ludzie nie byli zdolni, nie znaleźliby odwagi!

To podziwienie dodawało mu jednak tem bardziej bodźca, aby ją koniecznie wyratować. Jeszcze pozostawała mu jedna droga, słabą miał przecież nadzieję, czy się uda, no, spróbować nie zaszkodzi! Postanowił pójść do samego cesarza Maksymina prosić go, aby przynajmniej proces odwleczono. W ten sposób myślał, że zrzuci przynajmniej z siebie odpowiedzialność, choćby Soteris i potem jeszcze trwała w uporze.

Znał dobrze cesarza, jako człowieka pozbawionego wszelkich szlachetniejszych uczuć, nie było też dla niego cięższej drogi w życiu, jak ta, nakazywał mu ją jednak obowiązek i sumienie.

Sempronius musiał czekać długo, w przedpokoju, cesarz był bowiem przy śniadaniu (p r a u d y u m), a Maksymin nieraz całe godziny trawił przy tem zajęciu. Wreszcie zawołano go, a na szczęście cesarz był w do-

brem usposobieniu. Wspomniał naprzód senator o zasługach przodków i obu braci uwięzionej, którzy na polu sławy w wojnie polegli. Potem przytoczył, że Soteris jest ostatnim potomkiem tego znakomitego rodu, a więc nie zasługuje na tak smutny koniec. Względem dziewczęcia nie trzeba tak w całej surowości stosować edyktów przeciw chrześcijanom. Wreszcie prosił cesarza, aby kazał proces odroczyć na kilka miesięcy, tymczasem Soteris wypuścić z więzienia, a spodziewać się wtedy należy, że wyjdzie wnet za mąż za jego syna i tym sposobem zmieni swój sposób myślenia.

— Na Herkulesa! — zawołał cesarz śmiejąc się rubasznie — zadajesz sobie niemało trudu, żeby skarb nie korzystał z jej majątku. Ale twoje wstawiennictwo i śmierć bohaterska jej braci dają jej prawo do cesarskiej łaski. Zostawiam jej miesiąc czasu do namysłu. Jeżeli twój syn ma na tyle szczęścia do kobiet, jak męstwa w boju, to mu czas ten wystarczyć powinien do zdobycia tej małej twierdzy.

Cesarz przywołał pełniącego służbę cubicularius (kamerdynera), polecił mu iść z senatorem do więzienia i uwolnić Soteris. Semproniusz ucałował rękę władcy i szczęśliwy, że przynajmniej miesiąc zwłoki uzy-

skał, wybiegł z towarzyszącym mu kamerdynerem z pałacu cesarskiego.

W więzieniu powiedział im dozorca, że przed pół godziną poprowadzono Soteris na stracenie.

Senatorowi zdawało się, że się pod nim ziemia zapada. Chwycił się oburącz za głowę, z rozpaczy rwał włosy.

— Za późno!... za późno!... A gdzie ma być?...

— Słyszałem, że przy gościńcu apijskim, koło trzeciego słupa milowego, za grobowcem Korneliuszów; na dobrym koniu możnaby jeszcze na czas przybyć, bo przygotowania zajmą przecież dość dużo czasu.

Nie żegnając się z urzędnikiem cesarskim, pobiegł senator pędem; przy Circus Maximus stały wozy do najęcia, zamówił jeden wózek i obiecał woźnicy podwójną zapłatę, jeżeli na czas na miejsce przybędzie. Woźnica jechał co koń wyskoczy, mimo tego wydawało się senatorowi za powoli.

(Cisium, dwukołowy lekki wózek, którego szczególniej do podróży używano).

Po kwadransie jazdy droga poczynała iść pod górę i wtedy zobaczył senator zdala gromadę ludzi, w której cisiarius (woźnica) rozpoznał żołnierzy, a ci musieli to być pewnie eskortą skazanej.

Aż się rozpłakał z radości senator, widząc, że na czas przybywa, a więc Soteris uratowana!

Ale już za chwilę zrobił cisiarius uwagę, że ci żołnierze ku nim się zbliżają, idą ku miastu. Semproniusz zadrżał, miałże się przedwcześnie radować, a teraz doznać tak straszliwego rozczarowania?

Za małą chwilę przekonał się w istocie, że tak było, ratunek przychodził za późno. Z zimną obojętnością opowiedzieli mu żołnierze, że przed kwadransem ścięto Soteris. Murzyn szczerząc zęby, wskazywał na skrwawiony swój miecz katowski.

Cóż teraz miał robić Semproniusz?

Najlepiej wracać! Pogrzebem zajmą się chrześcijanie, widok trupa nie mógł mu przecież sprawić przyjemności. Kazał zawrócić do miasta. Podczas, gdy konie wolnym krokiem szły, Semproniusz podparty na ręku, pogrążył się w zadumie. Mimo woli coś go przecież ciągło na miejsce stracenia. Nie mógł się oprzeć temu wewnętrznemu głosowi i kazał znów nawrócić woźnicy. W pobliżu grobowca Korneliuszów siedział przy drodze żebrak. Senator zapytał go:

— Nie wiesz przypadkiem, czy już pogrzebano ściętą niedawno Soteris?

Kryspin, on to był bowiem, spojrzał nań badawczo i zapytał:

— Panie, czyś ty przypadkiem nie ojcem młodego trybuna Ambrożego?

— Tak jest, skąd znasz mego syna?

— Ach! gdyby szlachetna Soteris chciała tak zmienić sposób myślenia ojca, jak zmieniła syna!...

— Nie rozumiem cię, gdzież jest mój syn?

— Był obecny przy ścięciu, ostatnie słowa Soteris do niego zwróciła. O panie! jak go ona pocieszała. Powiedziała, że nie tylko przebacza, ale dziękuje mu i odpłaci mu się modlitwą. Jemu tylko podarowała pamiątkę bardzo kosztowną, złotą bullę, którą miała na szyi.

Semproniusz na razie zdawał się pocieszony tem opowiadaniem, z drugiej przecież strony zaniepokoiło go ono, wzbudzając na nowo obawy, które go w nocy dręczyły.

— A gdzie jest teraz mój syn?

— Czeka, aż kobiety oddadzą zwłokom ostatnią posługę, poczem ma wziąć udział w pogrzebie.

— A ja mogę także wziąć udział?

— Jeżeli jesteś chrześcijaninem, albo nim zostać pragniesz. Z daleka możesz się jednak przyjrzeć. Słyszysz, już zaczynają śpiewać. Teraz już wyrusza orszak pogrzebowy. Idź

tą ścieżką na prawo, a ujrzysz go w przechodzie.

Semproniusz zeszedł z wozu i poszedł wskazaną ścieżką, słuchając śpiewu, orszaku bowiem jeszcze dojrzeć nie mógł.

— Jeżeli jesteś chrześcijaninem, albo nim zostać pragniesz — powtarzał sobie w duchu. — Jakto, więc Ambroży?...

Senator nie śmiał wobec samego siebie dokończyć myśli. Kiedy jednak syn jego może brać udział w pogrzebie, musi albo już być chrześcijaninem, albo chce nim zostać.

— A więc — rzekł stanąwszy — miałbym wbrew mej woli wydać Soteris na śmierć, za to, że jest chrześcijanką, a ona miałaby mi wzamian mego syna oddać chrześcijaninem?... Kupiła go sobie ceną krwi swojej, a ja, na nieśmiertelne bogi przysięgam, że nie mam odwagi wydrzeć jej tej zdobyczy! Nie mógłbym nawet, choćby nie wiem co z tego wynikło. Znam go dobrze, jeżeli został chrześcijaninem, to chyba po długiej walce ze sobą. A wobec tego musi ustać i wola ojca, i ona go nie złamie! I on pójdzie na śmierć tak odważnie jak i Soteris. Jak to dziwnie składają się wypadki tych trzech dni! Dopiero starałem się o rękę jej dla mego syna; tu jej śmierć, której przeszkodzić nie zdołałem, tu znów syn

mój przyjmuje nową religię i znów mu przeszkodzić nie mogę.

Im bardziej zbliżał się senator ku orszakowi, tem wyraźniej słyszał każde słowo śpiewu. Śpiew nie był wcale żałosny, owszem, melodya radosna, śpiewano go na przemian, raz śpiewacy, drugi raz cały chór.

Pretiosa in conspectu Domini mors Sanctorum eius: Kosztowną jest w oczach Pańskich śmierć Świętych Jego. Convertere anima mea in requiem tuam, quia Dominus benefecit tibi: idź, duszo moja, do pokoju, bo Pan ci dobrze uczynił... Etsi ambulafero in medio umbrae mortis, non timebo mala, quoniam tu meum es: Nawet choćbym chodził w pośrodku cieniów śmierci, nie obawiam się złego, ponieważ Pan jest ze mną.

Były to miejsca z psalmów, które Kościół w starożytności, zwłaszcza przy pogrzebie męczenników śpiewał.

Co za pewność siebie, nadzieja, spokój, tryumf, że tak powiem, w obliczu śmierci samej i grobu. W starożytności śmierć, jeżeli ją łagodniej przedstawić chciano, malowano w kształcie geniusza, gaszącego pochodnię życia u bram grobu; nadziei tam żadnej nie widzi w nim, bo nawet i oblicze odwrócił.

Orszak wysunął się z poza muru ogrodowego i stanął tuż przed Semproniuszem obok wejścia do katakomb. Przodem szła garstka niewiast z palącemi pochodniami, za niemi postępowali śpiewacy, potem niosło czterech mężów zwłoki na marach, za nimi szła reszta orszaku.

Fossores postawili mary na chwilę na ziemi. Soteris leżała ubrana w białą, złotem obszytą suknię, na piersiach miała dwie na krzyż złożone gałęzie palmowe, na skroni wieniec z ciemnoczerwonych róż; wyglądała jakoby spała, taki spokój i łagodność była rozlana na jej obliczu.

Nawet rany od ścięcia nie było widać, zakryto ją białą, szeroką chustą, która się gubiła pod zasłoną dziewiczą.

Widok zmarłej wstrząsnął głęboko Semproniuszem. Ze łzami w oczach przystąpił do zwłok, ukląkł i ucałował jej nogi.

W tejże chwili zbliżył znajdujący się w orszaku Ambroży, położył rękę na ramiona ojca i rzekł wzruszony:

— Ojcze, ona nam przebaczyła, to było jej ostatnie słowo. Gdybyś ją był widział, z jaką radością wyglądała śmierci!

— Będę się modlić za ciebie i za ojca twego — rzekła — i potem uklękła na rozciągniętej białej chuście... za chwilę, różę złamano.

— Nie, ojcze, nie! — zawołał Ambroży z rosnącym coraz więcej zapałem — to nie jest zabobon, ułuda, co uczy tak umierać, nie, to musi być prawda! Życiem, a jeszcze więcej śmiercią była mi Soteris nauczycielką, jej słowo i jej przykład zrobił syna chrześcijaninem, niechże jej modlitwa u tronu Boga przyprowadzi i ojca do poznania prawdy!

Semproniusz przez cały czas, gdy syn do niego mówił, miał wzrok utkwiony w obliczu Soteris, a im dłużej na nią spoglądał, tem silniej odczuwał jej wpływ na siebie. Pierwsza prośba oblubienicy Króla niebieskiego, gdy stanęła przed tronem Boga, była, żeby Bóg dał łaskę poznania prawdy temu, co był przyczyną jej śmierci.

Semproniusz nie stawiał uporu tej łasce.

— Tak! tak! Soteris! — zawołał. — Chcę i ja zostać chrześcijaninem. Byłoby to słowo największą twoją uciechą przed śmiercią, przyjmij je teraz, jako zmazanie mej winy! Ceną twego życia kupiłaś duszę syna i ojca.

Chrześcijanie z zaciekawieniem śledzili przebieg całej tej sprawy, gdy senator oświadczył głośno, że zostać pragnie chrześcijaninem, wzruszenie nie miało granic; jedni płakali, inni chwalili głośno Boga i Soteris.

Aureliusz poprowadził ojca do dyakona Sewera i rzekł:

— Czcigodny sługo Boży, Soteris posyła ci drugiego ucznia. Czyż może być lepszy dowód Boskości Chrystyanizmu nad nasze nawrócenie?

— Jakżeż często — odrzekł Sewer — zdarza się zrządzeniem łaski Bożej w duchowny sposób to, co stare trackie podanie opowiada o Orfeuszu, który potęgą głosu swego oswajał dzikie zwierzęta tak, że traciły wrodzoną im dzikość i podobnie jak jagnięta u stóp jego się kładły! I wy nie mogliście się oprzeć głosowi Boskiego Orfeusza Jezusa Chrystusa, boście byli tylko zbłąkanemi owcami.

Grabarze podnieśli mary i orszak ruszył do katakomb, gdzie miano tymczasem złożyć Soteris. Kazała ona za życia wykuć w skale obszerną komorę, w którejby się gromadzić mogli chrześcijanie na nabożeństwo w czasie prześladowań. Nie było tam jeszcze żadnych ozdób i malowideł, zawsze to jednak była najpiękniejsza komora pod względem budowy w całem cmentarzu. Sklepienie zrobione było w kształcie krzyża, a do tej komory dotykała druga, niższa, i wyższa z gzymsem u wierzchu, zamykająca jakby chór w półkole, kościół cały. Tu kazał prokurator ustawić s a r k o f a g, w którym miały być złożone zwłoki Świętej.

Lucyna i jej przyjaciółki złożyły święte zwłoki w sarkofagu, poczem wszyscy kolejno przychodzili ucałować rękę Soteris. Ostatnim był trybun z ojcem.

— Droga Soteris — rzekł senator — wiem, że się modlisz za mnie i za syna przed Bogiem. Bądź odtąd, proszę cię, patronką mego domu. Nie byłem godny kochać cię jako żonę mego syna! Bóg dał nam za to ciebie, jako matkę duchowną!

Sarkofagu nie zamknięto, dopóki kamieniarze nie wykończyli napisu na pokryciu; Ambroży obiecał się zająć sam wykonaniem i dozorowaniem tej roboty.

Dziesiątego lutego były urodziny Soteris, miałaby wtedy lat 17, na ten dzień wyznaczył dyakon Sewer nabożeństwo przy zwłokach. Sędziwy prokurator nie był nawet przy ścięciu swojej pani, dowiedział się o fakcie dopiero po jej śmierci. W boleści swej znalazł przynajmniej w tem ulgę, że sarkofag i cubiculum wspaniale ozdobił wieńcami i światłem. Pomagała mu reszta służby. Niejedna łza spadła przytem na kwiaty, które zamieniły podziemie w wonny ogród, istny obraz raju.

Rano 10 lutego przybył senator ze synem do katakomb, by zamknąć sarkofag płytą marmurową. Zwłoki leżały tak samo świe-

że i niezepsute, jak sześć dni temu, nawet róże na skroni były jeszcze zupełnie świeże, a miły zapach rozchodził się po grobowcu. Ojciec i syn pobierali już naukę od Sewera, wliczono ich w poczet katechumenów, na Wielkanoc mieli otrzymać Chrzest święty, to też wolno im już dzisiaj było aż do Ewangelii uczestniczyć we Mszy świętej.

Zwolna zebrali się wierni; w miejsce papieża Marcelina, który był jeszcze we więzieniu, sprawował bezkrwawą Ofiarę kapłan tytułu f a s c i o l a.

Rozpoczęto śpiewem psalmów, śpiew był tak samo wesoły, jak przy pogrzebie, potem odśpiewano Lekcyę i Ewangelię.

Lekcya była ta sama, co i teraz we Mszy żołobnej, wyjęta z I-go rozdziału listu świętego Pawła do Tessalończyków, wyrażona w niej nadzieja zmartwychwstania; Ewangelia zaś była z VI-go rozdziału św. Jana, w której Zbawiciel obiecuje dać Swe Ciało na pokarm wiernym: „Kto pożywa Moje Ciało i pije Krew Moją, ma żywot wieczny i Ja go wzbudzę w dniu ostatecznym.“

Po odśpiewaniu Ewangelii kotechumeni wyszli, oczekując w odległej komorze końca Ofiary.

— Czyż można się dziwić teraz męstwu męczenników — rzekł Ambroży — jeżeli się

rozważy słowa Apostoła, któreśmy teraz słyszeli?

— Jak te słowa jasne — odrzekł senator — tak znów nie rozumiem słów Ewangelii.

— I ja nadarmo myślałem nad ich znaczeniem. Jak można jeść Ciało Pana Jezusa i pić Krew Jego. A jednak jest konieczny warunek żywota wiecznego i zmartwychwstania.

Nie wiedzieli jeszcze, co za skarb miała Soteris w ozdobnej szafeczce w swem mieszkaniu; zrozumieliby wtedy słowa Ewangelii. Wnet jednak mieli być nakarmieni i oni sami tem Ciałem i Krwią na żywot wieczny. Po nabożeństwie zamknięto sarkofag, a Lucyna, jako ostatni dar złożyła na nim wieniec z róż czerwonych.

Jeszcze nie zwiędł wieniec ten, a Dyoklecyan uznał się za pokonanego stałością i męstwem chrześcijan. Pod koniec 304 roku odwołał prześladowanie, a w maju 305 roku złożył koronę.

Ambroży przyjął z ojcem na Wielkanoc Chrzest święty i od tego czasu przynajmniej raz w tydzień nawiedzali grób Świętej i napełniali oliwą lampkę przy nim będącą. Gdy prześladowanie ustało, rozpoczął senator na miejscu, gdzie ją ścięto, budować kaplicę,

która miała być zarazem jego rodzinnym grobem. W rocznicę męczeństwa poświęcono ją, a w rocznicę urodzin Świętej przeniesiono tu jej relikwie i złożono w bogatej, marmurowej trumnie, która była cała pokryta rzeźbą, przedstawiającą sceny biblijne.

VIII.

Po latach.

Upłynęło od tych wypadków lat 50 zaledwie, a jak się Rzym zmienił. Ołtarze pogańskie opuszczone, świątynie puste, kolegia kapłanów pogańskich powymierały prawie Nikt nie wierzył więcej w nieśmiertelnych bogów, mała garstka wiernych bałwochwalstwu lgnęła doń jeszcze dla zewnętrznej okazałości przy uroczystościach i dla hojnych darów, które wtedy rozdawano pomiędzy lud.

Rzym i państwo rzymskie przyjęło chrześcijaństwo. Na Watykanie i przy drodze ostyeńskiej wznosiły się ponad grobami książąt Apostołów wspaniałe bazyliki, w cesarskim pałacu na Lateranie mieszkał papież, następca tych, co męczeństwem swem wywalczyli zwycięstwo krzyżowi. Co rok powstawały nowe świątynie i kaplice ponad katakombami, a roz-

sypujące się w gruzy świątynie pogańskie dostarczały materyału do ich ozdób.

Było to 4 lutego 354 roku, w pięćdziesiątą rocznicę męczeństwa świętej Soteris. Niebo było znowu pogodne i czyste jak przed pół wiekiem, słońce oświecało obrosłe powojem pomniki przy drodze apijskiej i gromady pobożnych, którzy już to pojedynczo, już to grupami zmierzali ku katakombom, aby uczcić grobowiec męczenniczki i święcić tryumf krzyża nad jego prześladowcami. Obok osób z ludu można było widzieć i damy w lektykach, niesione przez niewolników w czerwonej liberyi, mężczyzn w togach zdobnych purpurą, szli górale z gór abissyńskich w swoich jaskrawych strojach, pielgrzymi z dali w sukniach dziwnego kroju, wszyscy pragnąc oddać w rozmaitej mowie cześć Świętej.

Wpośród tych gromad wielkich i małych, starszych i młodych, znakomitych i maluczkich, Rzymian i obcych zwraca uwagę gromadka złożona z 4 osób. Starzec, koło 80 lat zwolna kroczy wsparty na ramieniu młodego człowieka, zdaje się wnuka. Kobieta idąca po prawej stronie jest zakonnicą, jak to widać z jej ubioru. Obok niej idzie młody 14-letni może chłopiec, z którego rysów widać, że także musi być wnukiem starca.

Wczoraj przybył ten starzec z Medyolanu, aby uczestniczyć w uroczystości i pomimo podeszłego wieku idzie pieszo do jej kaplicy.

— Jakżeż się będzie cieszyć twoja ciotka w niebie — rzekł starzec do zakonnicy, przystanąwszy na chwilę — gdy cię dziś w tej świętej sukni ujrzy przy swoim grobie. A jak to mnie cieszy, że mi Bóg dał doczekać chwili, że cię jej w tym stroju przedstawię.

— Każdego roku, kiedy jej grób nawiedzaliśmy — odrzekła zakonnica — słyszałam w mem sercu wewnętrzny głos, coraz silniej się odzywający, abym nie zwłóczyła. Dawno już byłabym poszła za tym głosem, ale z powodu śmierci rodziców musiałam Ambrożemu zastępować miejsce matki. Teraz dopiero, kiedy złożył tunikę dziecięcą,[1]) wolną zostałam, natychmiast poszłam za powołaniem.

Milcząc szedł czas jakiś starzec w zamyśleniu.

— Dziwne to — rzekł po chwili — że nie mogę sobie zdać jasno sprawy, co z tego malca będzie. Rozumie się, że podobnie, jak ojciec, obierze sobie służbę rządową, a jednak jakiś głos wewnętrzny mi mówi, że inną pójdzie drogą.

---

[1]) To znaczy, gdy dobiegł 14-tego roku. Jest to sposób wyrażenia się u starożytnych Rzymian używany.

— Ambroży niech się tylko teraz pilnie uczy — odrzekł jego brat starszy, Satyr — ażeby zdolnym był sprawować każdy urząd, do którego go Bóg powoła.

— Ja chcę być mówcą! — zawołał chłopiec — niema nic piękniejszego, jak mówić do ludu na Forum z mównicy, z której sam Cycero przemawiał.

— Aha! — zauważył dziadek, śmiejąc się — dlatego i teraz włazisz na stołek i deklamujesz przed kolegami. Ale kiedyś miasto stołka czy mównica będzie... czy ambona?

Ambroży był ulubieńcem dziadka. Niepospolite zdolności, któremi był chłopiec obdarzony, kazały wróżyć o pięknej przyszłości, służba państwowa zaś należała do tradycyi rodzinnej. I usposobienie chłopca podsuwało tę samą myśl, a jednak dziadek miał przeczucie, że chłopiec inną drogę sobie wybierze.

Marcelina ucieszyła się niezmiernie na samą myśl podsuniętą przez dziadka, że brat jej kiedyś poświęci się stanowi kapłańskiemu. To też gładząc chłopca po twarzy, rzekła:

— To pytanie, co do twej przyszłości, mój kochany Ambroży, przedstawimy dziś patronce naszej rodziny. Niech ona prosi Boga o to, co dla ciebie najlepszem będzie.

Nasi wędrowcy przybyli teraz do grobowca Korneliuszów, od którego zwracała się dro-

ga do kaplicy świętej Soteris na prawo przez winnice. Cała droga była dziś wysypana wawrzynem, u wchodu do kaplicy wisiały bogate aleksandryjskiej roboty zasłony, wnętrze zdobiły bogate v e l a (zasłony), na których haftowane były sceny biblijne. S a r k o f a g męczenniczki, ponad którym wznosił się ołtarz, zdobny był świeżymi wieńcami i naokół świeciły się liczne lampy.

Gdy się nasi wędrowcy zbliżyli do kaplicy, poczęli im ludzie z wielkim szacunkiem robić przejście, ciekawi spoglądali na nich, jedni drugim coś na ucho opowiadali. Starca wszyscy tu prawie znali, wszyscy szanowali nie tylko dla wieku, dostojeństwa, ale jeszcze z innego powodu, zwłaszcza w dniu dzisiejszym.

Czytelnicy łatwo odgadną, kto to był tym starcem. Pół wieku minęło, jak Ambroży na tem miejscu pochował zwłoki świętej Soteris. Od tego czasu co rok tu przybywał; jego hojności zawdzięczała kaplica ozdoby i sprzęty kościelne, z jego polecenia utrzymywano też piękny ogród naokoło kaplicy i w zimie nawet.

Już przed wielu laty pogrzebał Ambroży w tej kaplicy ojca swego, senatora Aureliusza Semproniusza, tu przygotował grób i dla siebie, tu go wyprzedziła żona i syn ze swoją

żoną. Małżonka jego była krewną świętej Soteris, tym sposobem węzłami krwi ścieśnił więzy duchowe, łączące go z patronką rodziny.

Marcelina na Wielkanoc zeszłego roku w bazylice księcia Apostołów przyjęła zasłonę dziewiczą z rąk papieża Liberyusza, dziś w nią przybrana po raz pierwszy przyszła przedstawić się tej, co ją od dawna do tego powoływała. Z tego powodu bardziej uroczyste było dzisiejsze święto dla tej rodziny niż po inne lata. Ale i starzec był w dniu dzisiejszym dziwnie jakoś wzruszony.

U bram kaplicy przyjął Ambrożego sługa kościelny i wskazał jemu i jego rodzinie miejsce honorowe w pobliżu ołtarza; Ambroży jednak uklęknął tuż przy sarkofagu Świętej i począł się gorąco modlić. Z wzruszeniem świętem ucałował zimny marmur mieszczący w sobie jej relikwie, a usta poruszające się i oczy zwilżone łzą świadczyły o gorącej jego modlitwie.

Byłby tak klęczał Bóg wie jak długo, aż wreszcie Satyr zbliżył się do niego i wezwał go do powrotu. Ze łzami w oczach podniósł się starzec, we drzwiach kaplicy raz jeszcze stanął i wzrokiem jeszcze się żegnał, poczem rzekł wzruszonym głosem:

— Moje dzieci, ostatni raz modliłem się dziś

na grobie Świętej, wnet już zakończę ten żywot. Wiecie, jakie jest ostatnie moje życzenie, pochowajcie mię u jej stóp; wiem, że ona zezwoliłaby na tę łaskę. Ona przyjdzie też w ostatniej chwili do mnie i wprowadzi mię do przybytków niebieskich...

Więcej nie mógł od wzruszenia mówić i milcząc wrócił do miasta.

Aż nazbyt prędko sprawdziło się przeczucie starca. Tejże nocy dostał febry, a w dzień urodzin Świętej miał zakończyć życie.

Otoczony wnukami spoczywał starzec na łożu śmiertelnem, naraz rozjaśniło się jego oblicze, długo przymknięte powieki podniósł i zawołał: „Soteris, moja Pani!“ — i oddał Bogu ducha.

I znowu upłynęło lat dwadzieścia i pięć i nadszedł dzień poświęcony czci świętej Soteris. Z blizka i z daleka zeszło się wielu pielgrzymów do kaplicy. Jakiś biskup o poważnem obliczu odprawia Mszę świętą przed ołtarzem, po Mszy świętej poczyna się modlić przy grobie, na którym widnieje napis: „Aureliusz Ambrosius in pace“, poczem w towarzystwie starszej kobiety i młodego człowieka opuszcza kaplicę.

— Któż to jest ten biskup i ci co z nim poszli? — zapytał jeden z pielgrzymów kościelnego.

— To jest Ambroży, sławny biskup z Medyolanu, staruszka to jest Monika, a młody człowiek to jest jej syn Augustyn, sławny mówca, którego nawrócił Ambroży swemi kazaniami.

IX.

Kilka szczegółów historycznych o św. Soteris.

Akta męczeńskie świętej Soteris zaginęły. To, co o niej wiemy, znajduje się w pismach św. Ambrożego, gdzie ją przypadkowo wspomina; przed kilku laty, gdy katakomby rozkopywano, przybyło parę szczegółów do tego.

Święty Ambroży w piśmie swojem: Upomnieniem do dziewictwa (de cohortatione virginitatis Cp. 12) odzywa się do dziewic chrześcijańskich, by zarzuciły próżność, wskazując im w tym względzie przykład świętej Soteris.

Lubo zacnej urody oblicza i szlachetnego rodu, więcej sobie ceniła wiarę, niż sławę przodków, pomiędzy którymi było kilku konsulów i prefektów miasta. Kazano jej ofiarować bogom, a gdy odmówiła, kazał ją sędzia policzkować, by przyciśnięta bólem i wstydem ustąpiła. Usłyszawszy ten rozkaz,

odsłoniła sama oblicze, które tylko wtedy dla męczeństwa zostawało niezakrytem; nadstawiła sama oblicze, by ponieść cierpienia tam, gdzie skromność często tak wiele cierpi. Cieszyła się, że za cenę swojej urody ocali wstydliwość. Choć oblicze jej skrwawili i zranili, piękności jednak jej duszy naruszyć nie mogli.

W drugiem piśmie o dziewicach (de virginibus Lib. III, Cp. VI) zwraca się święty biskup do swojej siostry Marceliny, która w 353 lub 354 roku przyjęła zasłonę dziewiczą z rąk papieża Liberyusza temi słowy:

— Na co mam szukać przykładów dla ciebie, droga siostro, kiedyś wychowana do dziedzicznej skromności, mając w rodzinie naszej przykład męczenniczki Soteris. W czasach prześladowań zdobyła sobie palmę męczeńską przez takie obchodzenie się z nią, jakiego używano tylko względem niewolników. Zniosła to z odwagą i wytrwałością, że prędzej kaci znużyli się dręczeniem jej, niż ona cierpieniem. Nie usunęła głowy, nie odwróciła oblicza, z ust jej nie wymknęło się żadne westchnienie, żadna łza nie popłynęła z jej oka. Zwyciężywszy te i inne jeszcze tortury, została ściętą, jak tego gorąco pragnęła.

Martyrologium Rzymskie podaje jako dzień męczeństwa świętej Soteris szóstego lutego, ale oprócz tego święci się nadto jej pa-

mięć jeszcze 10 lutego. Dzień szósty lutego był dies passionis natalis, dzień męczeństwa, 10 lutego zaś dzień urodzin (humanitatis exordia). Pomiędzy męczennikami Kościoła rzymskiego tylko św. Agnieszka ma dwie podobne uroczystości, jest to więc znakiem, że św. Soteris doznawała wielkiej czci w Kościele. Podług źródeł kościelnych śmierć Świętej przypada na rok 304 za rządów cesarza Dyoklecyana i Maksymiana. W najstarszem martyrologium św. Hieronima znajdujemy wzmiankę, że ją obok katakomb ścięto. Romae Soterem virginem in coemeteris passam.

O katakombie przy drodze apijskiej, nazwanej katakombą świętej Soteris, pisał Rossi w II tomie Roma Sotteranea. Stanowi ona osobny oddział w sieci katakomby zwanej, dziś katakombami św. Kaliksta. Obok dawnego wchodu do katakomby wznosi się kaplica, tak zwana cela memoriae z trzema absydami. Zdaje się, że istniała już ona przed męczeństwem Świętej i służyła jako mauzoleum, czyli grób rodzinny. Odnowiono ją za czasów papieża, Stefana II, 752 roku. Z powodu natłoku zwiedzających katakomby, rozszerzono schody wiodące z kaplicy do katakomb. Naprzeciw tej kaplicy jest małe cubiculum, tak, że obie razem tworzą dość

obszerny podziemny kościół. W kaplicy niema żadnych ozdób, ani malowideł, ani marmurów, jest tylko zagłębienie w murze po prawej stronie, gdzie stała lampa. Tu złożono tymczasowo zwłoki świętej Soteris, potem dopiero za czasów Konstantyna, gdy się prześladowanie skończyło, przeniesiono je stąd, do kaplicy na górze, gdzie były aż do czasów papieża Sergiusza (844—846). Kościółek był już wtedy blizki zawalenia, papież przeniósł wtedy relikwie do bazyliki świętego Marcina, znajdujemy je bowiem w spisie relikwii tam się znajdujących. Naprzeciw tej podziemnej kaplicy jest komora okrągła: cubiculum Entychiorum, tu znajdują się kamienie grobowe członków rodziny Florii i Florentii, między nimi są zapewne i przodkowie świętej Soteris. (Por. de Rossi: Roma II, str. 40).

Święty Ambroży pochodził z rodziny Aureliuszów i podpisywał się pełnem imieniem, Aureliusz Ambrosiusz, rzecz to znana (por. w tym względzie de Rossi, Bulett 1865, str. 15); św. Soteris była jego cioteczną babką. Zwłoki św. Ambrożego, jego brata Satyra i siostry Marceliny spoczywają w Medyolanie, ale grób rodziny był w Rzymie, jak to widać z napisu na grobie Marceliny. Znaczną ilość grobowych kamieni członków tej rodziny odkrył de Rossi w pobliżu kaplicy świętej Soteris. Między ni-

mi jest kamień grobowy Aureliusza Satyra, inny położony przez siostrę Aurelię bratu Aureliuszowi Tycyanowi.

Jest jeszcze druga dziewica tegoż imienia Soteris, również męczennica, jej pamiątkę obchodzi Kościół święty 10 maja; trzecia tegoż imienia spoczywa wraz z innymi męczennikami przy Via Cabicana.

Przy kaplicy Świętej założono cmentarz, gdzie się chowali wierni, by się polecić modłom Świętej i modlitwom wiernych nawiedzających to miejsce. Około IX wieku, po przeniesieniu jej relikwii do bazyliki św. Marcina, stygnie nabożeństwo do świętej Soteris. Oby ta krótka historyczna wzmianka mogła rozbudzić na nowo nabożeństwo do niej, zwłaszcza wpośród chrześcijańskich dziewic.

Spis rzeczy.

Str.

Zaloty 3
W katakombach 15
Drugie odwiedziny 28
Podarek ślubny 37
W więzieniu 50
Męczeństwo 58
W katakombach 73
Po latach 87
Kilka szczegółów historycznych o św. Soteris . 94

Drukiem i nakładem K. Miarki
Sp. z ogr. por.
w Mikołowie na G. Śl.

Napad na chrześcijan w katakombach.

ŚWIAT
I
MĄDROSĆ PRZEDWIECZNA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE
Z CZASÓW PANOWANIA CESARZA MARKA AURELIUSZA.

Z 5 ILLUSTRACYAMI.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „DZIEŁ LUDOWYCH“ K. MIARKI
W MIKOŁOWIE (NICOLAI O.-S.)

I.

Uczta.

Zbliżała się 46 rocznica urodzin cesarza Marka Aureliusza.*) Od ośmiu dni nie mówiono w Rzymie o niczem innem, jak o przedstawieniu w teatrze Pompejusza, o wyścigach w Circus maximus i o walkach ze zwierzętami w Kolosseum. Wielkie karty z programem uroczystości porozlepiano po rogach ulic, w przedsionkach świątyni i na łukach tryumfalnych, młodzi i starzy, panowie i niewolnicy tłumami stojąc po ulicach, odczytywali je i o nich tylko rozprawiali. Nadeszły nowe przesyłki rozmiatych zwierząt z Azyi, z Afryki i z innych prowincyi państwa rzymskiego: lwy, tygrysy, niedźwiedzie, leopardy, słonie, żubry, łosie, nosorożce, żyrafy, wszystko przeznaczone do walk w Kolosseum. Z Ka-

*) Marek Aureliusz Antonin, panował od roku 161 do 180. Był adoptowanym synem poprzednika swego Antonina Piusa.

puy, gdzie była sławna szkoła gladyatorów**) przyjechali najsławniejsi gladyatorzy. Przechadzali się oni teraz gromadkami po ulicach Rzymu, a lud z upodobaniem spoglądał na nich i podziwiał herkulesowe ich kształty. Szczególniej dwaj gladyatorzy, Hipolit i Pertinax, byli na ustach wszystkich; porobiono ogromne zakłady, który z nich zwycięży, bo w Rzymie nie tylko lud prosty, ale i najznakomitsze panie przepadały za podobnego rodzaju widowiskami.

(Przedmiot tego opowiadania wzięto z drugiej apologii św. Justyna, filozofa i męczennika. Przełożono tylko miejsce męczeństwa św. Blandyny z Lyonu do Rzymu; autentyczne sprawozdanie dochowało się też w okólniku kościoła w Lyonie wysłanym do kościołów w Azyi. Wszystkie osoby są historyczne).

(Cesarz urodził się 26 kwietnia 121 roku).

Dwaj ci bohaterzy cyrkowi, Hipolit i Pertinax, byli także przedmiotem rozmowy w salonie Kornelii, która znaną była w Rzymie jako królowa piękności i przyzwoitości. Kornelia i mąż jej Aelius Octavius Caecilianus, liczyli w gronie przodków swoich mnóstwo konsulów, prefektów miasta i wodzów znakomitych; należeli oboje nie tylko do najznakomitszych rodem, ale i najbogatszych rodzin rzymskich. Pałac Cecyliana, położony na wiminalskim pagórku, urządzony był

**) Z pomiędzy rozmaitych publicznych zabaw najbardziej ulubione były w Rzymie zapaśnicze walki, igrzyska gladyatorskie. Były nawet liczne zakłady, gdzie do takich igrzysk wprawiano silnych niewolników. Najsłynniejsza szkoła taka była w Kapuy.

z niesłychanym przepychem. Pełno tam było popiersi i posągów z marmuru, alabastru i spiżu, wszędzie widać było mnóstwo kosztownych dywanów i pokryć purpurowych ze Wschodu, porozstawiane po pokojach wspaniałe puhary i naczynia ze złota i srebra, bursztynu i kości słoniowej, meble powykładane złotem i kością słoniową mogły śmiało zdobić salony cesarskie na Palatynie, a do tego przedmioty te wszystkie były w bogatych salonach poustawiane z takim gustem, że trudno było ocenić, co więcej podziwiać, czy delikatny zamysł gustu, czy bogactwo właściciela. Do towarzystwa, które się tu na pokojach zebrało, wprowadzić nam jeszcze wypada dwie osoby, które się właśnie na Forum (plac) Marsa spotkały i razem do pałacu Cecyliana zdążają.

Przybrani obaj byli w przepisany wizytowy strój, białą togę, która w bogatych fałdach spływa po spodniej sukni (tunice); pełno na ich palcach złotych pierścieni z kosztownymi kamieniami, znać jednak zaraz na pierwszy rzut oka, że całe to bogactwo zużyte i wypożyczone tylko z konieczności, aby im ostiarius (służący przy bramie) nie odmówił wejścia. Obaj mężowie mieli długie brody, w owych czasach oznakę filozofów.

Jeden z nich otyły, chłodząc się wachlarzem, spocił się bowiem z powodu swej olbrzymiej tuszy, lubo że to dopiero wiosna była, odezwał się do swego towarzysza:

— Na Jowisza! kochany Justynie! żebyś ty wiedział, jak się cieszę tem zaproszeniem na dzisiejszy wieczór. Przyznam ci otwarcie, że więcej się niem cieszę, niż temi cesarskiemi uroczystościami. Już to niema w całym Rzymie takiej doskonałej kuchni, jak u Cecyliana. I boski Lucius Verus wie przez wszystkie bogi, co jest dobre, ale takich wybornych rzeczy nie daje! A szczególniej — tu przystanął i położył olbrzymie ręce na potężnym brzuchu, przyczem mu oczy błyszczały zachwytem — a szczególniej cieszę się, że będą tam te paszteciki, których nikt lepiej robić nie umie w Rzymie, jak ten poczciwy Carpus. A murceny! a kapłony! a te gallijskie kiełbaski, ta jedyna moja uciecha. Aż mi ślina do ust cieknie, gdy pomyślę o tuczonych ostrygach w Cyrcei. A wina!

(Był to brat cesarza Marka Aureliusza i współwładzca, zupełnie do niego jednak niepodobny, skończony rozpustnik).

— Ty, mój kochany Krescensie, jesteś i będziesz zawsze wybornym typem Epikurejczyka! — odrzekł mu towarzysz, mężczyzna blizko lat 50, o wschodnim typie twarzy. — Co do mnie, gdyby jedzenie tylko być tam miało, nie ruszyłbym się wcale z domu, ale tam będzie Kornelia. Byłem w Antyochii, Aleksandryi, w Atenach, poznałem tam wiele mężów i kobiet, co umieli rozumnie rozprawiać o najważniejszych zadaniach

filozoficznych, ale gdy słyszę, jak Kornelia o tych kwestyach rozprawia, to mi się tamci wobec niej przedstawiają, jak nędzny strumyk wobec potężnej rzeki, jak księżyc wobec południowego słońca.

— To prawda, mój kochany Justynie, jedyna to kobieta! Nawet boski Marek Aureliusz, co filozofię na tron cesarski wyniósł, słucha jej z upodobaniem, gdy rozprawia o stoikach i perypatetykach. Mnie się ona jednak lepiej podoba, kiedy śpiewać zacznie i grać na cytrze. Na Bachusa, kiedy swym cudnym głosem zanuci piosnkę Aukreonta, to słowik wobec niej wydaje się być wróblem.

(Stoicy, uznający cnotę, perypatetycy, uznający zmysłowość).

— Kiedy ostatni raz miałem to szczęście być przez nią zaproszonym — ciągnął Justyn, nie zważając na słowa towarzysza — wdała się ze mną w rozprawę o pojęciu piękna i prawdy. Doprawdy, pragnąłem, aby za mną był wówczas niepostrzeżenie notarius (piszący szybko, po naszemu stenograf), aby każde jej słowo zapisać.

— A jaka to wspaniała postać — zawołał Krescens. — Gdy ostatnią razą przybyła do salonu, mając w swych gęstych a kruczych włosach dyadem brylantowy, na szyi potrójny sznur pereł, wysoka, smukła, wspaniała jak Junona, z uśmiechem na różanych ustach, słodka jak dojrzała brzoskwinia, to szlachetny Cecylian, jej małżonek,

wyglądał przy niej jak kaczor przy łabędziu. Ha! ha! wspaniałe porównanie, jak kaczor przy łabędziu! — Śmiejąc się ze swego własnego dowcipu, stanął Krescens i za brzuch się trzymał, raz po raz powtarzając te słowa.

— Pewnie tam będzie i Rusticus, dawny nauczyciel cesarza, najtęższa głowa, jaką mi się poznać zdarzyło. A nuż przybędzie i sam boski Marek Aureliusz, to o jedzeniu przy tych rozmowach zapomnę.

— Boski Marek — odrzekł opasły — przy całej swej s t o i c k i e j filozofii coś rzucił okiem na Kornelię. Rzeczywiście, ta okazała kobieta jest jakby stworzona na władczynię; sto razy lepiejby się nadawała Markowi na żonę, niż Faustyna, która mu tylko życie zatruwa.

Obaj filozofowie nadeszli wśród tej rozmowy pod pałac Cecyliana. Ukazawszy stojącemu przy wejściu o s t i a r i u s zaproszenie t e s s e r a (tabliczkę) i wręczywszy mu datek pieniężny, stosownie do przyjętego zwyczaju, udali się do a t r i u m (sieni). Tu stojący niewolnik poprowadził ich do salonu, gdzie się całe towarzystwo znajdowało.

W następnej sali t r i c l i n i u m (sali jadalnej) dostrzegł Krescens, jak s t r u c t o r e s (służba przeznaczona do obsługi przy stole) rozstawiała na stole puhary i misy, przygotowując wszystko do uczty, a a r c h i t r i c l i n u s (prze-

łożony tej służby) wydawał polecenia i rozstawiał służbę, wyznaczając każdemu właściwe miejsce.

Kornelia siedziała w gronie bliższych znajomych na fotelu, wyłożonym złotem i szyldkretem, zwracając uwagę na każdego z wchodzących, aby go stosownie do stanowiska, lub zażyłości z domem odpowiednio powitać.

To, co o niej Krescens i Justyn mówili, nie było wcale przesadzonem. Liczyła ona najwyżej 26 lub 27 lat, była wysoka, kształtów pełnych, o rysach klasycznych, oku pełnem inteligencyi i życia. Mnóstwo klejnotów i kosztowności, które miała na sobie, nie raziło wcale oka, przy tej wspaniałej postaci zdawały się one być konieczną nawet rzeczą. Była jakby słońcem w tej gromadzie ją otaczających, wszyscy, jakby gwiazdy koło słońca, ku niej się tylko zwracali, każdy szczęśliwy się czuł, gdy się choć słówkiem odezwała do niego i obdarzyła spojrzeniem, słowem pociągała wszystkich ku sobie.

Cesarz nie mógł przybyć, wymawiając się rozlicznemi zajęciami. Pierwsze miejsce obok pani domu zajmował prefekt Rzymu, Quintus Lollius Urbicus, dumny, surowych, prawie ponurych rysów twarzy człowiek, znienawidzony od ludu dla skępstwa i surowości. Naprzeciw niego zasiadł Junius Arulenus Rusticus, dawniej nauczyciel filozofii, poufny przyjaciel cesarza, który, zostawszy cesarzem, swego wychowawcę powołał na do-

radzcę i mianował senatorem. Tuż obok zajął miejsce pan domu, Cecylian. Człowiek to światowy, lubiący używać; znać to zaraz po nim na pierwszy rzut oka. Najwyższą jego przyjemnością był dobrze zastawiony stół, puhar dobrego wina, dwuznaczne dowcipy i nieodłączne od uczt w Rzymie tancerki. Niestety, ze względów na żonę musi sobie tej ostatniej przyjemności dziś odmówić, a nudzić się natomiast słuchaniem śpiewu, deklamacyi i uczonych rozpraw, tem ona bowiem lubi bawić swych gości, ale wynagrodzi on to sobie. Już przygotowany jest osobny gabinecik, tam przy grze w kości w gronie kilku przyjaciół, przy puharze wina spędzi on resztę nocy, póki go niewolnicy zupełnie pijanego nie zaniosą nad ranem do sypialni.

Wtem ukazał się architriclinus, dając znać, że na stole przygotowane wszystko. Całe towarzystwo przeniosło się do sali jadalnej, gdzie już był cały szereg stołów zastawiony. Przy każdym stoliku zajęło miejsce siedm osób, przy ostatnich zaś siedzieli przyjaciele domu i tu też Krescens i Justyn zajęli miejsce.

(Rzymianie jedli na poduszkach w półkole, w kształcie litery C ułożonych naokół stołu; kobiety i dzieci na krzesłach siedząco. Do każdego stołu siadało 5 do 9 osób, miejsca na rogu były honorowe. W katakombach często spotykamy malowidła przedstawiające ucztę, jest to symbolem uczty niebieskiej, na którą pospieszył zmarły, a zarazem symbolem Najśw. Sakramentu. Zastawa składa się

zwykle z chleba i tajemniczej ryby, będącej wyobrażeniem Chrystusa, którego w Eucharystyi pożywamy).

Marek Aureliusz zajmował się z upodobaniem studyami filozoficznemi i popierał je, to też za jego czasów Rzym roił się od profesorów filozofii rozmaitych zasad. Z Aten, Aleksandryi i Antyochii zwabieni wysoką pensyą rządową, poprzybywali do Rzymu najsławniejsi mistrze; filozofowanie było w modzie, to też słuchaczów im nie brakowało. Nieraz na ich wykładach zjawiał się i sam cesarz. Za jego przykładem panie i mężczyzni, wszystko czytało dzieła filozoficzne, przeto miały one za jego czasów popyt i pokup największy. Szkół było mnóstwo, były szkoły cyników, epikurejczyków, stoików, pytagorejczyków, perypatetyków, platończyków, dysputom i rozprawom w towarzystwie nie było miary ani końca. Cesarz przy swoim szlachetnym sposobie myślenia, prowadząc życie nienaganne, popierał, rozumie się, zasadę i szkołę, której sam był wyznawcą, ale zepsucie panujące podówczas w Rzymie było powodem, że i takie szkoły, jak epikurejczyków, u których najwyższym celem istnienia było używanie rozkoszy wszelakich doczesnych, miały wielu zwolenników.

Rozmowa w triclinium (sali jadalnej) toczyła się najprzód około uroczystości, wnet jednak zeszła na pole filozofii. U pierwszego stołu Rusticus bronił stoików, których najwyższem zada-

niem i szczęściem było przestawanie na małem i obojętność na wszystkie radości i przykrości życia. Cecylian znudzony rozprawami, przerywał mu co chwilę szyderczemi uwagami.

Podrażniony wreszcie przez przeciwnika odezwał się w te słowa: Zostawiam to boskiemu Markowi, boć on więcej bogiem, niż człowiekiem. Niech sobie tam praktykuje najwznioślejsze cnoty! Co do innych filozofów są oni tem samem, co woźni podczas wyścigów, dają znaki do ich rozpoczęcia, ale w wyścigach nie biorą wcale udziału. U mnie najlepszą filozofią jest doprowadzić do zupełnej, doskonałej zgody myśli i czyny, naukę i życie i odpowiedzieć pod każdym względem swemu przeznaczeniu.

— Bardzo słusznie — odrzekł Rusticus i inni biesiadnicy też potwierdzili.

— Ale ja tu jestem na świecie, abym żył — ciągnął dalej uśmiechając się szyderczo Cecylian — to też chcę żyć, póki tu jestem. Żyć zaś znaczy używać. Skoro płomień zużytkuje wszystką oliwę, która jest w lampie, ha! to niech lampa zgaśnie! To jest moja filozofia, a zdaje mi się rozumna i praktyczna.

Były to poglądy i zasady epikurejczyków, i właśnie chciał Rusticus odpowiedzieć, że podobnego rodzaju nauka stawia człowieka na równi ze zwierzęciem, gdy Kornelia głos zabrała.

— Mnie się życie wydaje ogrodem pełnym

kwiatów. Gąsienica, robak, te wstrętne zwierzęta, niszczą i gryzą kwiaty, pszczoła wysysa z nich to, co najsłodsze, najszlachetniejsze: miód. I pośród piękności wyszukiwać tego, co najpiękniejsze, znaleźć to i używać tego, póki geniusz śmierci nas z ogrodu nie wypędzi, oto moja filozofia.

Wszyscy współbiesiadnicy poklaskiem przyznali jej słuszność, a Rusticus ucieszył się szczególniej tem, że Cecyliana tak trafnie do szkaradnej gąsienicy przyrównała. Kornelia jednak chcąc zatrzeć wrażenie tego porównania, dodała zaraz: Ja się nie rzucam ślepo, jak mucha w płomień, w którym się spalić musi, ja krążę wesoło na okół światła i cieszę się jego widokiem.

Ściśle rzecz biorąc, filozofia Kornelii mało tylko od jej męża się różniła, pojmowała tylko w szlachetniejszy sposób używanie świata. Ale i dla niej poza tym ziemskim bytem nic nie było, nie spodziewała się, że nadejdzie dzień, kiedy dusza ludzka, owa mucha krążąca, tu koło brudnego światła ziemskiego, przeniesioną zostanie w górę, aby znaleźć szczęście wiekuiste, przy jasnem, ciepłem i wiecznem świetle życia.

Przy stole, przy którym nasi dwaj znajomi siedzieli, toczyła się też żwawa rozprawa w greckim języku. Nie brali w niej tylko udziału ani Krescens, ani Justyn. Krescens uprawiał swą praktyczną filozofię, gniewając się tylko, czemu przyroda obdarzyła ludzi dwojgiem oczu, a je-

dnym tylko żołądkiem; Justyn słuchał, chcąc z różnych sprzecznych zdań wysnuć prawdę. Zapytali wreszcie inni, co sądzi o tym, lub owym systemie filozoficznym, na co on odrzekł:

— Pierwszym moim nauczycielem filozofii był stoik. Lecz ten nie umiał mi nic więcej o Bogu powiedzieć, prócz tego, com już wiedział, a i tego za potrzebne nie uważałem, porzuciłem go przeto i poszedłem do perypatetyka, który jak przynajmniej sam o sobie sądził, był głębokim myślicielem. Ten jednak już w parę dni począł mi mówić o zapłacie, nie chciałem przeto więcej korzystać z nauk jego. Zwróciłem się do pytagorejczyka. Ten zapytał się mnie, czy już umiem muzykę, astronomię i geometryę, bo bez tego nie zrozumiem nic z tego, co jest warunkiem szczęścia na ziemi. Wstęp taki wydał mi się za długim i wtedy zwróciłem się do platończyka, którego dłuższy czas słuchałem. Pragnąłem poznać istotę duchową, rozważając i żyjąc w świecie idei, sądziłem, że wzniosę się do poznania Boga, co jest zadaniem platońskiej filozofii!

— Głupstwa i bzdurstwa! — przerwał mu Krescens — gdybyś się był od razu zwrócił do mego boskiego Epikura, tobyś był zrobił trafny wybór. Co tam pleciesz o ideach, o duchach? Takich istot niema, a cały świat twoich złudzeń nie wart jednej godziny przyjemnie spędzonej przy dobrym stole i kielichu.

— Nie, mój Krescensie! nie zostanę ja nigdy uczniem twego mistrza. Kto raz skosztował potraw boskiej mądrości, temu nie może smakować młóto.

— Wybornie! wybornie! — poczęli wołać biesiadnicy. Krescens nic nie odpowiedział, ale to słowo obraziło go bardzo, znać to było po spojrzeniu, jakie rzucił na Justyna.

— Przyznaję jednak — ciągnął dalej Justyn — że i w szkole Platona nie znalazłem tego, czego szukałem, tak więc zarzuciłem kotwicę mego okrętu i czekam, aż mi bogowie ześlą sternika, który ten okręt poprowadzi do poznania najwyższego piękna i dobra.

Tymczasem Kornelia, jako siedząca na pierwszem miejscu, r e g i n a, dała znak do powstania. Przechodząc koło stołu Justyna, zatrzymała się chwilę, przysłuchując się jego opowiadaniu, poczem rzekła, uśmiechając się doń przyjaźnie: Znajdziesz tego sternika, Justynie.

— Ze wszystkich mędrców — rzekła potem, zwracając się do otoczenia — najbardziej mi się podoba Justyn, bo on jedyny tylko przyznaje, że nic nie wie, a każdy inny myśli, że kamień filozoficzny odkrył. Ale mówię tu tylko o filozofach, co ze Wschodu przybyli — dodała z uśmiechem, zwracając się do Rusticusa.

Cecylian jeszcze przed ukończeniem uczty zniknął. Udał się do osobnego gabineciku, gdzie

go już oczekiwało kilku poufnych przyjaciół, kości i wino. Włożył sobie wieniec z liści winnej latorośli na głowę, a podniósłszy w górę puhar z winem, rozpoczął grę w kości zwykłym okrzykiem: Na cześć zwycięskiej Wenerze! *)

II.

Uroczystości.

Wspaniałe były uroczystości, które urządzano na cześć cesarza w dniu jego urodzin, ale niczego tak nie pragnął lud rzymski oglądać, jak walk gladyatorów i zwierząt w Kolosseum. Przedstawienie w teatrze Pompejusza, wyścigi w Circus maximus, były tylko zaostrzeniem apetytu do wielkiej uczty, której oczekiwano.

To też w oznaczonym dniu, zaledwie dnieć zaczęło, tłumy ludu poczęły spieszyć do Kolosseum; każdy zajmował miejsce przeznaczone dla stanu, do którego należał i niedługo przeszło 90,000 świątecznie przybranego ludu zapełniło olbrzymią budowę.

To, co dziś jeszcze pozostało z Kolosseum, to tylko ruina, nie wiemy nawet na co przeznaczone były poszczególne części tej budowli, a jednak z tego możemy wnosić, co to za wspaniały i olbrzymi był ten gmach, ruiny jego jedyne są, co do wspaniałości na świecie.

*) Wenus, bogini miłości u Rzymian.

Najwyższe siedzenia zajmowali majtkowie, rozpinali oni właśnie płótno żaglowe po nad gmachem, aby uchronić zebraną publiczność od promieni palącego słońca.

Powoli zaczynały się zapełniać siedzenia przeznaczone dla rycerstwa i senatorów, przybyły także wprowadzone z wielką okazałością Westalki, t. j. dziewice poświęcone służbie bogini Westy i zajęły przeznaczone dla nich honorowe miejsce, oczekiwano tylko cesarza. Oczy wszystkich zwracały się na bogato złoconą i kosztownymi dywanami przybraną lożę cesarską.

Wreszcie ukazał się Marek Aureliusz, w wawrzynowym wieńcu na skroni, z berłem w ręku, przybrany w togę białą, po której były gęsto rozsiane złote orły. Obok niego postępowała żona jego, Faustyna, za nim zaś liczny orszak dworzan. Powitano go głośnym okrzykiem radości, klaskaniem, a lubo cesarz uprzejmem skinieniem ręki chciał uspokoić lud, wrzawa i radość zdawały się nie mieć końca.

Z wizerunków widać, że Marek Aureliusz był szczupły, blady, nosił brodę krętą i kręte włosy. Będąc stoikiem, zachowywał mierność we wszystkiem, ale nietylko względy wyznania filozoficznego były tego powodem, zdaje się, że wielką rolę odgrywało tu także wątłe zdrowie, na obliczu jego bowiem malowała się dobroduszność, która pociągała ku niemu. To pewne, że na tronie impe-

ratorów Rzymu nie zasiadał człowiek szlachetniejszy od niego, lud go też uwielbiał i za nim przepadał.

Kiedy się wszystko uspokoiło, zbliżył się cesarz ku krawędzi swej loży i dał znak do rozpoczęcia widowiska.

Przy dźwiękach muzyki odbyli gladyatorzy mający się potykać pochód przez arenę, przed lożą cesarską zatrzymali się i pozdrowili cesarza zwykłym w tych razach okrzykiem „M o r i t u r i t e s a l u t a n t!“ (Idący na śmierć cię pozdrawiają!) Potem rozpoczęła się walka.

Zrazu potykali się mniej sławni i nie głośni zapaśnicy, wnet jednak począł lud wołać niecierpliwie: Pertinax! Hipolit! Pertinax! Hipolit!

Ukazali się wywołani, postacie herkulesowe, zbrojni tylko w tarcz i krótki miecz, a zgromadzeni powitali ich głośnym okrzykiem. Z początku bawili się tylko, drażniąc się wzajemnie, tak, że dla zajęcia publiczności musiało się potykać równocześnie kilku innych zapaśników, zwolna jednak zaczynała potyczka przybierać charakter poważniejszy i groźniejszy. Słychać było tylko szczęk broni, przyczem podziwiać należało zręczność, z jaką obadwaj wymijali wymierzone ciosy. Było to jednak póty, póki obaj z równie zimną krwią walczyli, lecz niedługo Hipolit rozpalił się i zadał przeciwnikowi swemu lekką ranę w ramię, poczem coraz gwałtowniej nacierać poczynał,

wreszcie skoczył w bok, aby z boku na Pertinaxa natrzeć, ten jednak odgadł zamiar jego i korzystając z odsłonięcia boku, wpakował mu miecz powyżej bioder.

Powstała ogromna wrzawa pomiędzy przyglądającą się dotąd z zapartym oddechem publicznością. Jedni cieszyli się, wygrywając zakład, drudzy lżyli, klęli i płakali nawet ze złości. Ranny gladyator, błagając o zachowanie mu życia, podniósł rękę ku przeciwnikowi swemu, lud jednak dziko wrzeszcząc, zginając zamkniętą rękę wielkim palcem ku dołowi, dawał przez to znak pozbawienia go życia.

Rozpoczęto potem walkę całymi oddziałami zapaśników. Arena pokryła się trupami i rannymi, roznamiętnienie ludu wzrastało coraz bardziej. Tylko cesarz nie brał w tych widowiskach udziału; usunąwszy się w głąb loży, przeglądał sprawozdania wodzów z nad Dunaju i brata swego Verusa ze Wschodu. Lecz tylko on był jedynym, co się tem nie zajmował, zresztą wszyscy: filozofowie i niefilozofowie, mężczyzni i kobiety, młodzi i starcy, nawet dziewice Westalki zapomniawszy o swej dostojności i łagodności właściwej płci swojej, z zajęciem śledziły przebieg walki.

Widowisko to krwawe zajmowało też i Kornelię, była przecież Rzymianką. Gdyby jej tak kto teraz przypomniał porównanie pszczoły i kwia-

tu!... I ona, ta piękna filozofka wyglądała w tej chwili jak brzydka gąsienica.

Krescens na uczcie wczorajszej w domu Kornelii, potrafił w mappa (tj. serwecie) ukryć pod fałdami swej obszernej togi jeszcze tyle, że mu to mogło, podług jego mniemania, na skromny posiłek dzisiaj wystarczyć. Gdy się wszyscy z zajęciem przyglądali zapasom, wydobył z pod togi swój węzełek i rozłożywszy serwetę na kolanach zabrał się do jedzenia. — Hm! hm! — pomrukiwał z upodobaniem, przypatrując się swym zapasom — to tak prawie wystarczy! — Rozpoczął od połowy kurczęcia, potem wziął kiełbasę, żałując, że nie jest jej sześć razy więcej, potem kawał pieczeni wieprzowej i tak jedno po drugiem wędrowało z węzełka do otchłani jego żołądka. Patrzył przytem ze spokojem i obojętnością na walkę toczącą się w arenie, aż kiedy Pertinax zadał ranę śmiertelną przeciwnikowi, zdobył się na jedno słowo: Habet (dostało mu się), poczem dalej grzebał w zapasach, aż póki nie zjadł wszystkiego do ostatniej okruszyny.

(Ten brzydki zwyczaj zabierania ze sobą potraw, łakoci i kradzież serwet był rozpowszechniony w Rzymie. Powszechnie nie zabierano jednak tyle, co Krescens zabrał z sobą).

Z tłumu odezwał się naraz straszny okrzyk: „Christianos ad leones!“ (Chrześcijan na łup lwom rzucić!) Okrzyk ten pojedyńczy zrazu podchwyciła cała masa ludu i cyrk cały aż trząsł się od tego wołania.

Marek Aureliusz był z natury łagodny i sprawiedliwy, uprzedzony jednak od dzieciństwa do chrześcijan i szanując głęboko religię narodową, a nadto uważając chrześcijan za buntowników, przestępców dopuszczających się najohydniejszych zbrodni, karał ich surowo i prześladował. Za jego też czasów liczba męczenników chrześcijańskich, tak w Rzymie, jak i po prowincyach dosięgła olbrzymiej cyfry.

Z pośród męczenników będących podówczas w więzieniu, było dziesięć przeznaczonych właśnie na pożarcie przez zwierzęta. Byli to ci, co wśród rozlicznych mąk im przedtem zadawanych największą stałość okazali. W liczbie ich był piętnasto-letni chłopiec Ponticus i niewolnica Blandyna, dziewczę słabej budowy ciała, ale wielkiego ducha, która nawet katów wprawiała w podziwienie swoją wytrwałością.

Gdy lud coraz głośniej wołać począł, dał cesarz znak do wprowadzenia chrześcijan na arenę. W otoczeniu straży wprowadzono męczenników do Kolosseum i oprowadzono po całej arenie. Przodem postępował liktor z tablicą, na której był napis: „Hi Christiani sunt“ (ci oto są chrześcijanami).

(Taki zwyczaj był przy traceniu skazanych na śmierć: napis na krzyżu Zbawiciela był też takim).

Szli ze spuszczoną głową wzdłuż areny, modląc się w duszy, poczem poprowadzono ich na

rusztowanie, wznoszące się w pośrodku „c a l a s t a“ (widowni), skąd lud mógł lepiej śmierć ich oglądać.

Widok wchodzących obudził całą nienawiść i wściekłość w zgromadzonym ludzie. Rzucano na nich resztkami potraw, kościami, łupinami z jaj, mężczyzni i kobiety pluli na nich i wyzywali ich obelżywemi wyrazami.

Zanim ich przywiązano do palów, rzucili się chrześcijanie jednomyślnie na kolana, wznosząc modlitwę do Boga i składając z siebie ofiarę na cześć Jego Imienia, poczem uściskali się wzajemnie i dali sobie pocałunek pokoju.

— Nie bój się, mój drogi chłopcze, pazurów i kłów zwierząt — rzekła Blandyna, tuląc do siebie Pontyka i głaszcząc go po licach. — Patrz! tam z nieba aniołowie przyglądają się twemu potykaniu się i już trzymają przygotowany dla ciebie wieniec zwycięstwa.

— Ależ droga siostro — odrzekł chłopiec i święty zapał zajaśniał na jego twarzy — przecież jestem chrześcijaninem! Nie lękam się, ani nie zadrżę, ani okiem nie zmrużę, gdy lew na mnie skoczy. Chwila tylko, a z pośród tego ludu, który naszej śmierci woła, przeniesiemy się w grono aniołów, aby żyć wiecznie.

Gdy chrześcijan przeprowadzono przez arenę, drgnęła Kornelia. Przecież to dziewczę, to jej znajoma! Przecież to Blandyna, poczciwa i po-

tulna służąca Cecylii! Lubiła ją zawsze, pociągało ją zawsze coś do niej; czy te oczy łagodne, marzące, czy co innego, dość, że jej była bardzo przychylną. A więc ona była chrześcijanką! No, w takim razie chyba nieprawda to, co mówią o chrześcijanach, ta czysta dusza nie była zdolną dopuścić się podobnych zbrodni, nawet nie można było podejrzywać jej o coś podobnego.

Gdy wyznawcy przechodzili przed miejscem, gdzie siedziała Kornelia, Blandyna podniosła głowę i rzuciła na Kornelię wzrok; a spojrzenie to było tak przejmujące, że go nigdy zapomnieć nie zdołała. Od tej chwili nie odrywała już od niej wzroku. Co za spokój w obliczu śmierci! Jaka błogość w jej rysach! Z jakąż braterską miłością zwracała się ku temu chłopcu! Pewnie i ten chłopiec też jest niewinny, jak ona!

Chrześcijan poprzywięzywano do palów, wyrwano i chłopca z objęć Blandyny, gdy jednak i z nią to samo uczynić chciano, broniła się i zażądała, aby jej nie wiązano. Ten dowód odwagi u słabego dziewczęcia podobał się nawet rozbestwionemu ludowi, poczęto klaskać, Blandynę musiano zostawić wolną. Kaci cofnęli się, a wśród tych kroci ludu zapanowała cisza grobowa. Naraz, tuż naprzeciw męczenników ukrytą maszynerya otwarła się ziemia i wysunęła sześć klatek z dwoma lwami, dwoma tygrysami i dwoma leopardami.

męczeństwo św. Blandyny.

Chwilę olśnione światłem dziennem stały zwierzęta bez ruchu, poczem czując wolność, lekkimi skokami poczęły przebiegać arenę. Zadowolnienie ich wzrosło, gdy ujrzały przygotowane dla siebie ofiary, obudziła się w nich wrodzona krwiożerczość.

Czając się po kociemu, zbliżały się zwolna ku męczennikom, oczy błyskały im światłem złowrogiem, potem skok . . . i za chwilę krew zbroczyła szerokim strumieniem ziemię, a lud wołając „b o n u m l o t u m, b o n u m l o t u m!“ (dobra kąpiel!) wył z radości i klaskał w ręce.

(„Bonum lotum“) tak wołało pospólstwo w Kartaginie, widząc płynącą krew męczenników. Porównaj akta męczeńskie św. Perpetuy i Felicitas).

Sześciu męczenników otrzymało palmę zwycięstwa. Dwa tygrysy bardziej krwi chciwe, niż inne zwierzęta, rzuciły się teraz na dwie najbliższe ofiary, lew utopił swe pazury w szyi chłopca? A Blandyna? Tylko ona stała nietknięta, a żadne zwierzę nie śmiało się na nią rzucić. Z wyciągniętemi w niebo rękoma, z obliczem rozjaśnionem błogim uśmiechem, stała tak, nie zważając na to, co się koło niej dzieje, nie widziała nawet, jak zwierzęta mrucząc koło niej skakały, aż wreszcie lwica, jak jagnię położyła się przy jej nogach. Modliła się w zachwyceniu, oderwana od ziemi, patrząc tylko na tego, który niewypowiedzianą słodyczą napełniał jej serce.

W niemem milczeniu patrzył lud na ten dziw, dziewica w pośród dzikich zwierząt, a żadne z nich nie odważyło się na nią rzucić. Uwiadomiono o tem cesarza, wychylił się z loży i ujrzawszy chrześcijankę z lwicą u jej stóp, polecił ją zaprowadzić do więzienia.

(O tem opowiadają nam akta męczeńskie św. Blandyny; podobne wypadki miały miejsce i z innymi męczennikami. Już w liście ucznia apostolskiego Ignacego pisanym do Rzymian jest o tem mowa. Prosi wiernych, aby modlitwami swemi nie przeszkadzali mu, żeby życia nie stracił pod kłami dzikich zwierząt. „Zaklinam was, nie okazujcie mi niewczesnej życzliwości! Pozwólcie, niech się stanę pastwą dzikich zwierząt, abym Boga osięgnął. Jestem ziarno Boże i muszę być zmielonym przez zęby zwierząt, abym był znaleziony, jako czysty chleb Chrystusów. Owszem, podbudzajcie dzikie zwierzęta, aby się stały grobem moim, aby nic nie zostawiły z mego ciała, żebym skoro zasnę, nie robił nikomu kłopotu... O! abym się dostał pomiędzy przeznaczone dla mnie zwierzęta, oby się prędko, jak tego pragnę, ze mną załatwiły; będę je drażnił, aby mię prędko rozszarpały i nie zrobiły ze mną, jak z innymi, że się ich dotknąć bały (non ut quosdam veritae non tetigerunt). Gdyby nie chciały i ociągały się, zmuszę je do tego. Darujcie mi, wiem, co dla mnie jest dobre“).

Po odpędzeniu zwierząt żołnierze odprowadzili Blandynę do więzienia, a niewolnicy cyrkowi zabrali się do uprzątnięcia trupów. Ofiary areny wywłóczono zwykle przez porta libitina (bramę śmierci) i składano w osobnej komorze, aby w nocy wrzucić je do wspólnego dołu na Eskwilinie. Chrześcijanie jednak porozumieli się

z przełożonym służby Kolosseum i za grubą opłatę pieniężną uzyskali od nich pozwolenie zabrania zwłok męczenników.

Po krótkiej tej pauzie nastąpiły walki z bykiem. Na arenę wpuszczono prześlicznego, dzikiego, umyślnie na dzisiejszą uroczystość sprowadzonego byka. Do walki stanęło kilku konnych i kilku pieszych szermierzy. Już kilku wziął na rogi, ale w ostatku zwyciężyła zręczność i zgrabność ludzka nad siłą zwierzęcia. Osłabiony upływem krwi z powodu licznych ran, zadanych mu lancą i z łuku, rycząc przeraźliwie z wściekłości i z bólu, runął wreszcie zwierz na ziemię.

Ale i ta tak na nerwy działająca walka nie zatarła wrażenia dziwnego, niewytłomaczonego wypadku z Blandyną. Lud nasycił już swe oczy, poczęto wychodzić z a m f i t e a t r u.

Nikt jednak nie był pod silniejszem wrażeniem tego dziwu, jak Kornelia. Przez cały czas ani na chwilę nie odwróciła oczu od niej, śledziła każde jej poruszenie, a widok lwicy kładącej się u jej stóp, aż do łez ją wzruszył. Nie! w tem było coś nadprzyrodzonego; tu nie było nawet i czarów, o które chrześcijan obwiniano. Obraz Blandyny nie chciał żadną miarą zniknąć z jej oczu, nawet, gdy do domu wracała. Wzrok jej przeniknął ją do głębi, a ta postać w zachwycie, z rękami wzniesionemi w niebo, w pośrodku zwierząt, stała jej wciąż przed oczyma.

III.

Nieznajomy.

Justyn nie poszedł wcale do Kolosseum. Przedstawienia w teatrze były dla niego za nieskromne, krwawe sceny w amfiteatrze przejmowały go wstrętem, podług jego zdania człowiek szukający prawdy, starający się zasłużyć na miano mędrca, nie powinien tam chodzić.

W ostatnich szczególniej tygodniach czuł w sercu swem dziwną próżnię, był jakoby bezradny wędrowiec wśród olbrzymiej puszczy, nie widząc celu, gdzieby się miał zwrócić. Lata całe poświęcił badaniom filozoficznym, próbował różnych szkół, rozmaitych nauk i nie znalazł uspokojenia dla swego serca. Nad każdemi drzwiami szkoły znajdował wypisaną złotemi literami obietnicę, że tu znajdzie to, czego od dawna szuka; każdy z mędrców, do którego się udał, obiecał mu odkryć najskrytsze tajemnice mądrości; wszedłszy jednak do budynku, przysłuchawszy się naukom profesora, poznał, że to wszystko malowane obrazy bez życia, że mądrość ich, to okruchy tylko, które nie są w stanie zaspokoić głodu jego duszy.

Raz przechadzał się drogą wiodącą od Watykanu ku Clivus Cinnae, na górę dziś Monte Mario zwaną. Była to samotna, opuszczona okolica, ruchu nie było tu żadnego, można tu

było błądzić ze swojemi myślami, nie doznając przeszkody od nikogo. Tembardziej zaś dziś, kiedy cały Rzym pospieszył do Kolosseum, był pewien, że tu nikogo nie spotka; wybrał się tu przeto na przechadzkę. Na szczycie góry, u stóp olbrzymiego drzewa obok posępnych ruin jakiejś starej budowli, była kamienna ławeczka, tu więc sobie usiadł. Duszę jego opanowało dziwne zniechęcenie, patrzył na miasto rozciągające się u stóp góry, myślał o półtora milionie jego mieszkańców porwanych szałem widowisk i zabaw. Wstręt go opanowywał na myśl o tem uganianiu się za rozkoszami życia, za używaniem!

Ale oni cieszyli się przecież życiem, wprawdzie w sposób podobny, jak ten robak u stóp jego nurzający się w gnoju, cieszyli się jednak, podczas gdy on pragnął, a nie mógł swego pragnienia uspokoić.

Był to śliczny wieczór październikowy. Zachodzące powoli słońce złociło ostatnim blaskiem góry Lacyum, ale i ten wspaniały obraz przyrody nie miał żadnego uroku w oczach Justyna. Podniósł się z ławki, zabierając się do powrotu, gdy wtem zjawił się przed nim starzec o poważnem, nakazującem szacunek obliczu. Wyraz jego twarzy zwrócił mimowoli uwagę Justyna.

— Znasz mnie? — zapytał nieznajomy.

Justyn zaprzeczył temu i dodał: Dziwi

mię to tylko, że cię tu spotykam teraz, kiedy nikogo spotkać się tu nie spodziewałem.

— Szukam tu moich. A ty co tu robisz w tem ustronnem miejscu?

— Lubię samotne przechadzki, mogę bowiem w samotności bez przeszkody oddać się myślom.

— Jesteś przeto więcej mężem myślenia, niż czynu?

— Czyż to nie najlepsza rzecz, patrząc na te błędne drogi i próżne usiłowania ludzkości, nie czyniącej nic rozumnego, nic, coby się Bogu podobać mogło, poświęcić się filozofii i w niej i przez nią szukać wewnętrznego spokoju?

— Prawda! częstokroć są ludzie, wybacz, że tu użyję słów jednego wielkiego mędrca, jako koń i muł, którzy żadnego rozumu nie mają. (Z psalmu 31). A ty spodziewasz się osiągnąć swój cel przez filozofię?

— Ona jest poznaniem tego, co jest, a spokój wewnętrzny jest nagrodą usiłowań.

Tym sposobem nawiązała się pomiędzy Justynem a nieznajomym rozmowa, w której nieznajomy starał się udowodnić, że filozofia nie jest w stanie dać odpowiedzi na najważniejsze pytania ludzkiego ducha. Justyn ze swej strony nabierając coraz więcej zaufania do towarzysza, opowiedział mu, jak już lata całe błądzi i szuka szkoły filozoficznej, któraby pragnienia jego duszy zaspokoić mogła.

— Czyż ty sądzisz — rzekł nieznajomy — że Bóg zaszczepił w twem sercu pragnienie, które nigdy nie ma być zaspokojone? Szukaj dalej, a znajdziesz nauczyciela, który powiedział: „Chodźcie do Mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a Ja was ochłodzę i znajdziecie spokój dla duszy waszej.“

— O gdybym mógł znaleźć tego nauczyciela! — westchnął Justyn.

Tak rozmawiając, doszli do miejsca, gdzie się zaczynała boczna droga; tu nieznajomy chciał się pożegnać z Justynem, ten jednak zatrzymał go jeszcze i rzekł: Powiedz mi, gdzie mieszkasz, bowiem chciałbym się częściej widzieć z tobą i porozmawiać.

— Tam na końcu tej ścieżki — odrzekł starzec. — Jeśli chcesz, pójdź do mnie, wypoczniesz trochę i zobaczysz moje dziatki.

Chociaż już się mroczyło, Justyn przyjął zaproszenie z ochotą i tak idąc razem, doszli do bramy willi, stojącej u końca ścieżki, w pośród zieleni cyprysów i drzew różnego rodzaju.. Na bramie jej widniał wielkiemi literami wykuty napis: Pax tibi (pokój tobie). Już ten napis wywarł przyjemne wrażenie na Justynie. Ale jakże się zdziwił, gdy zaraz naprzeciw nim wybiegła z domu gromadka licząca około dwudziestu dzieci, które wesoło skacząc i radując się, poczęły mu całować ręce i suknie.

około dwudziestu dzieci, które wesoło skacząc i radując się, poczęły mu całować ręce i suknie.

— Cóż to za dzieci? — zapytał Justyn. — Wątpię, aby to były twoje wnuki, gdyż nie są wcale do siebie podobne.

— To sieroty, którym zastępuję ojca i matkę. Jako prawdziwą i najlepszą filozofię uważam, nietylko siebie uszczęśliwić, ale też litość i miłość okazywać innym!

— Tym sposobem twoja filozofia różni się od wszystkich innych systemów — odrzekł Justyn, patrząc z upodobaniem na gromadkę dziatek. Znać było po ich wesołem spojrzeniu, zdrowych licach, że im tu dobrze było w tym domu.

— Ale już i ci mali zajmują się filozofią po trochu — odrzekł starzec, a zwracając się do najmłodszej dziewczynki, rzekł: Ireno, powiedz-no pierwszy artykuł wyznania wiary.

— Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi — odrzekło dziewczę.

— A jak się modlisz do Niego?

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi.

— Ale jeżeli Bóg jest w niebie, jakżeż może słyszeć Twoją modlitwę?

— Bóg jest duchem, który jest wszędzie obecnym, wszystko widzi i wszystko słyszy.

— Czemuż On stworzył ludzi i ciebie?

— Abym Mu na ziemi służyła, a potem do nieba do Niego przyszła.

Justyn był zdziwiony w najwyższym stopniu; to do czego dojść nie mógł z całą swą filozofią, a tylko przeczuwał niejako walcząc z mnóstwem wątpliwości, to mówiło mu małe dziecko, nie mające nawet pojęcia, co za wzniosłą naukę głosiło, dając w pojedyńczych, prostych słowach odpowiedź na najzawilsze, najtrudniejsze pytania filozofii.

— Przecież — ciągnął dalej starzec — powiedziałaś, że Ojca w niebiesiech widzieć nie można, jakżeś Go więc poznać mogła?

— Przez Jego jednorodzonego Syna, którego On na świat posłał, aby wszyscy, co w Niego uwierzą, nie zginęli, ale osiągnęli żywot wieczny.

Justynowi przypomniały się słowa Kornelii o sterniku, wyrzeczone w t r i c l i n i u m podczas uczty. Wszakżeż wielki Plato wyraża się w swych pismach, że tylko w ten sposób mogą być rozwiązane najważniejsze kwestye obchodzące ducha ludzkiego, jeśliby Bóg zechciał posłać Boga w celu pouczenia i oświecenia o tem ludzi. A tu to dziecko mówi, że to pragnienie jego mistrza już spełnił sam Syn Boży!

Opanowało go dziwne wzruszenie.

— Szlachetny starcze! — zawołał. — Powiedz mi, co to za nauki? Gdzie jest szkoła, żebym tej mądrości się nauczył? Czemże jest wie-

dza naszych mędrców, wobec tej mądrości, co z ust tego dziecka płynie?

Justyn urodził się w Samaryi i tam tak przesiąkł uprzedzeniem do żydów i chrześcijan, że raczejby szukał mądrości w księgach cyników i epikurejczyków, niż w ich pismach.

— Odpowiem ci na to dwoma ustępami z jednej świętej księgi: Z ust dzieci i niemowlątek przygotowałeś Sobie chwałę, o Boże! — to jest jedno, a drugie, to słowa tego jednorodzonego Syna Bożego, o którym ci właśnie Irena mówiła: Jeżeli się nie staniecie jako dzieci, nie wnijdziecie do królestwa niebieskiego. — Ale już noc zapada, a droga jest pusta i samotna. Może mię znów kiedy nawiedzisz — dodał uśmiechając się — to będziemy dalej filozofować.

— Będę to wszystko rozważał, com dziś widział i słyszał, przyjdę znów do ciebie, bo i ja też chcę na nowo zostać dzieckiem, chcę się uczyć od ciebie i poznać tę mądrość niebieską, którą mi odkryło to dziecko.

Starzec odprowadził Justyna aż do gościńca i długo jeszcze patrzył za odchodzącym; potem wzniósł w górę ręce i modlił się: „Przyjdź królestwo Twoje!“

Któż to był ten nieznajomy?

Był to kapłan Ptolomeusz. W oddaleniu od miasta najął tę willę i zebrał tu dzieci, sieroty

po męczennikach, wychowując je tu zdala od niebezpieczeństw stolicy, w bojaźni Bożej. Urodził się w Aleksandryi z rodziców chrześcijańskich, wykształcił się obcując z biskupami Aleksandryi, następcami św. Marka. Został kapłanem, zwiedził najsławniejsze kościoły apostolskie Małej Azyi, słuchał Ignacego i Polikarpa i potem przybył do Rzymu, aby ugruntować się lepiej w wierze, obcując z następcami świętego Piotra.

(Rzym uważano już w najstarszych czasach jako nauczyciela wiary; biskupi z najdalszych okolic nawiedzali następców Piotra i gminę rzymską, dowodem tego napis na grobie biskupa Abercyusza z Hierapolis (żył koło r. 200) po grecku przez niego samego ułożony. Uważa to jako osobliwsze zrządzenie Boże, że przybył do Rzymu, z świętym zapałem mówi o świętościach miasta i świątobliwych członkach Kościoła gminy chrześcijańskiej w Rzymie).

Całą drogę rozważał Justyn to wszystko, co dziś słyszał. Zdawało mu się, że po długiej nocy, wśród której dusza jego błądziła, ukazuje mu się jutrzenka dnia tak jasnego, aż mu serce drżało z radości. Co to była za szkoła, co to za system? Przecież on tyle szukał, jak to być może, że nic o niej nie słyszał dotąd? To są przecież nauki, które koniecznie cały świat dla siebie zdobyć muszą!

Przechodził właśnie koło cyrku Nerona. Mimowoli patrząc na ten samotny budynek, prawie ponury, z obeliskiem sterczącym w niebo, przyszły mu na myśl okrucieństwa i mordy popełniane

tu za czasów Nerona na chrześcijanach, podejrzanych o podpalenie Rzymu. Ale to przecież byli chrześcijanie i choćby nawet nie byli winni podpalenia, to zasłużyli sobie na te męki, dopuszczając się tylu różnych występków tajemnych, wyznając tak ohydną naukę.

Idąc dalej mostem Nerona spotkał orszak pogrzebowy. Ale to nie jedne zwłoki niesiono, to cały szereg mar nieśli parami idący grabarze. Na ulicy panowała cisza grobowa, tem wyraźniej słychać było przeto dziwny jakiś śpiew na przemian nucony przez orszak postępujący z pochodniami.

Takiego śpiewu nie słyszał jeszcze Justyn przy żadnym pogrzebie. Ani mu przez myśl nie przeszło, że to mogą być chrześcijanie, spieszący pogrzebać męczenników z Kolosseum na cmentarzu watykańskim; że ten śpiew, to psalmy używane przez Kościół przy pogrzebach już w najstarszych czasach.

(Cmentarz watykański od początku nie był katakombą, grunt bowiem piaszczysty nie dozwalał robić tam podziemnych ulic i komor. Był to cmentarz na powierzchni ziemi, na południowym stoku pagórka watykańskiego, przy gościńcu wiodącym ku cyrkowi Nerona. Grób św. Piotra, zrazu skromny, ozdobili następcy; mianowicie papież Anaklet, trzeci z rzędu po św. Piotrze biskup rzymski memoriam extruxit, t. j. wybudował podziemie, zwane hypogeum, gdzie był grób św. Piotra i jego następców i wystawił nad niem kaplicę zwaną cella memoriae, gdzie się zgromadzali wierni święcić pamiątkę męczeństwa księcia Apostołów. Do tego przytykał kawał gruntu, area, prawdopodobnie obwiedziony murem, gdzie grzebano wier-

nych. Już pod Konstantynem zniesiono ten cmentarz, w celu wybudowania tu wspaniałej bazyliki, dochowało się jednak i z tego cmentarza nieco napisów i sarkofagów sięgających II-go i III-go wieku. Zasługuje z nich na uwagę szczególniej sarkofag Liwii Primitywy z powodu figur symbolicznych na nim wyrzeźbionych. Rzeźba przedstawia dobrego pasterza w pośrodku owiec, po bokach kotwica i ryba. Są to najdawniejsze symbole chrześcijańskie. Nagrobek niejakiej Licinia Amias przedstawia dwie ryby płynące ku kotwicy, pod spodem napis grecki: „R y b a ż y j ą c y c h", u góry wieniec zwycięstwa. Ryba była symbolem Chrystusa, bo słowo greckie IXQYC składające się z pięciu liter jest anagramem Zbawiciela w greckim języku: Jezus Chrystus, Syn Boży, Zbawiciel. Oba napisy wyjaśniają się tym sposobem nawzajem. Nadzieja (kotwica) nasza na ziemi jest Jezus Chrystus, Syn Boży, Zbawca nasz, który nas po tych walkach ziemskich, jako dobry pasterz przyjmie do rajskiej Swej trzody i ozdobi wieńcem zwycięstwa. Oba te pomniki należą do najstarszych zabytków chrześcijańskich, mamy jednak także sarkofag z czasów Konstantyna, w którym rodzice Saturninusa i Musa, złożyli swego syna. Z jednej strony jest dobry pasterz, z drugiej postać modlącej się kobiety w pośród drzew, na których są ptaki. Jest to ogród nieba, do którego za łaską dobrego pasterza dostała się dusza. Gdy w roku 1626 kładziono fundament pod spiżowy baldachim unoszący się ponad wielkim ołtarzem (c o n f e s s i o) w kościele św. Piotra, odkryto, że po obu stronach apostolskiego grobu znajdowały się groby pogańskie. To samo znaleziono w 1823 r., gdy po pożarze odbudowywano baldachim w kościele św. Pawła, tu znaleziono jeszcze całe naczynia z popiołami pogrzebanych pogan. Starzy Rzymianie zakładali swe groby wzdłuż drogi, tak musieli więc chrześcijanie i w posiadłości swej na Watykanie i przy drodze ku O s t i a wiodącej groby zakładać wśród pogańskiego cmentarzyska. Groby apostołów były wśród grobów pogańskich, dopiero po śmierci Nerona, w czasie gdy prześladowanie ustało, pogrzebano uczciwiej książąt apostolskich, a Konstantyn zbudował później bazylikę.

w której je złożono. Liczne świadectwa przemawiają za tem twierdzeniem).

Stanął i słuchał. Idący śpiewali psalm 31, do uszu Justyna doszły te słowa:

„Dam ci zrozumienie i pouczę cię na drodze, którą pójdziesz, zwrócę na Ciebie moje oczy. Nie bądźcie jako koń i muł, które rozumu nie mają!“

Dziwna! Słowa te, w tej chwili brzmiały jakby pocieszająca obietnica dla Justyna! Jeszcze bardziej uderzyło go drugie zdanie, porównanie z koniem i mułem. Przecież nieznajomy wygłosił te same słowa do niego i powiedział, że są wyjęte ze świętej księgi. Musiało być więc coś wspólnego między nieznajomym, a tymi ludźmi.

Przystąpił szybko do jednego z orszaku i spytał: Skąd wyjęte te słowa, które śpiewacie?

— Z naszych ksiąg świętych.

— Z waszych ksiąg świętych? Coście wy za jedni, że macie własne swe święte księgi?

Zapytany spojrzał badawczo na Justyna, miły wyraz jego twarzy uspokoił go i po cichu odrzekł mu: Jesteśmy chrześcijanie!

— Chrześcijanie! chrześcijanie! — zawołał Justyn. Miał wielką ochotę pytać się jeszcze o tyle innych rzeczy, ale orszak wstępował na pagórek watykański i za chwilę znikł mu z oczu.

Długo jeszcze stał, słuchał i patrzył, wszystko to wydało mu się snem, widzeniem.

I znów przyszły mu na myśl słowa Kornelii. Jakżeż szybko się one spełniły, sternik już przybył! Justynie! już on uchwycił ster twego okrętu i poprowadzi go nowemi zupełnie drogami ku prawdzie. Nie dziw się jednak, że twa barka trzeszczeć będzie we wszystkich spojeniach w walce z burzliwym żywiołem!

Chrześcijanie! mówił do siebie Justyn i w zamyśleniu spuścił głowę na piersi. Chrześcijanie!... a ów nieznajomy? a te wzniosłe nauki, pełne Boskiej mądrości?... Ślepym dotąd byłem, oh, żeby mi kto oczy otworzył! rękę podał w tej ciemności!...

IV.

Męczennica.

Chrześcijanie po ukończeniu igrzysk wykupili od służby na pół poszarpane ciała męczenników Kolosseum i z nadejściem nocy, jak to widzieliśmy, pogrzebali je na watykańskim cmentarzu.

(Pierwsi chrześcijanie dokładali usilnych starań, aby relikwie męczenników ocalić. Najstarszą wiadomość o tem mamy w aktach męczeńskich św. Ignacego, ucznia św. Apostołów, którego porzucono na pożarcie lwom w Kolosseum. Zostały tylko co grubsze kości z niego i te zebrali wierni z Antyochii, którzy do Rzymu wraz ze Świętym przybyli i jako skarb nieprzepłacony przenieśli do

Męczeństwo św. Ignacego.

ojczyzny. Z tego widzimy, jak daleko sięga cześć oddawana relikwiom Świętych w Kościele).

Blandynę przez Forum poprowadzono znowu do więzienia mamertyńskiego i zamknięto w nizkiej, ciasnej celi. Bolało ją niezmiernie, że nie poniosła męczeństwa wraz z innymi. Widziała już niebo otwarte, widziała swego Boskiego Oblubieńca w całej Jego wspaniałości, już . . . już wyciągała rękę po palmę zwycięstwa i znów została przy życiu.

Osłabiona wskutek ran licznych od tortur, upadła na posłanie ze słomy i wzniosła wzrok pełen tęsknoty w niebo.

— Cóż ja zrobiłam, o mój Jezu! — wołała, a łzy gorące spływały po jej obliczu — żeś mnie nie uznał jeszcze za godną Twej uczty w przybytkach niebieskich? Inni spoczywają już w pokoju, przy Twem sercu; szczęśliwi oni! a ja odtrącona znowu od oblicznośći Twojej, leżę tu w tem ciemnem więzieniu.

Koło północy przybył do więzienia kapłan Lucyusz pocieszyć cierpiących za wiarę. Niema w życiu kapłana wznioślejszej chwili, jak kiedy klęcząc u łoża umierającego już pojednanego z Bogiem, ogląda jego zdanie się zupełne na wolę Bożą, jego cierpliwość wśród cierpień, tęsknotę za niebem przebijającą się w spojrzeniu. Cóż dopiero uczuwać musiał kapłan w pierwszych wiekach, klęcząc obok młodej dziewicy męczennicy,

która okazała się niezłomną wśród najstraszliwszych cierpień, a smuciła się tem tylko, że jej niebieski Oblubieniec znalazł coś w niej, co ją czyniło niegodną palmy męczeństwa.

— Nie, moja córko — pocieszał ją kapłan — nie dla twych grzechów to się stało, tyś je już dawno krwią twoją zmyła, chce ci Pan tylko większą, wspanialszą nagrodę przygotować, abyś wspanialej wystąpiła w orszaku niebieskich oblubienic.

— Widziałam ja tę nieprzeliczoną gromadę oblubienic Chrystusowych, w białych, złotem obszytych szatach, o jaśniejącem obliczu, w wieńcach błyszczących jak drogie kamienie na skroni. Na ich czele stała jedna, piękna nie do opisania, w stroju królewskim, jaśniejąca bardziej, niż inne, ta uśmiechając się do mnie przyjaźnie wyciągnęła*) ręce, mówiąc: Chodź, siostro moja! — I chciałam wzlecieć, wtem znikło widzenie, a w miejsce niebiańskiej światłości ujrzałam tylko czarną masę ludu zapełniającą teatr wokoło. Panie, niech się dzieje wola Twoja!

Z kapłanem Lucyuszem przybyła jeszcze inna osoba, która dotąd pozostała w cieniu, teraz jednak zbliżyła się i uklękła obok niewolnicy. Była to szesnastoletnia Cecylia, córka możnego Caeciliusa Maxima Fausta, do którego niewolnica Blandyna należała.

---

*) O widzeniu tem opowiadają akta męczenników.

— Ty tu przyszłaś do mnie, na to okropne miejsce, pani? — rzekła Blandyna, całując rękę dziewczęcia.

Cecylia szybko cofnęła swą rękę i odrzekła: Na kimże więcej cięży obowiązek tego, jak nie na mnie, moja siostro droga? Cesarz zaprosił ojca na ucztę, miałam tam i ja pójść; tam byłoby mi nieznośnie siedzieć, tu czuję się szczęśliwą, że cię odwiedzić mogę.

Cecylia przyniosła dla uwięzionej posiłek i leki. Gdy się kapłan usunął, poczęła przy blasku małej lampki obmywać poprzecinane zupełnie przy biczowaniu plecy Blandyny i zlewać je gorącym balsamem. Nie jednę przytem łzę uronić musiała, patrząc na okropnie poranione dziewczę.

Robiła zaś wszystko tak zręcznie, że zaraz poznać było można, iż nie pierwszy to raz taką posługę czyni.

— Dzięki ci, dzięki droga moja pani, tyś tak dobrą dla mnie, o jak się modlić będę za ciebie! — rzekła Blandyna, patrząc wzruszonym wzrokiem na Cecylię.

— Módl się za mnie, kochana siostro — odrzekła Cecylia, całując ją w głowę — abym i ja się stała godną wieńca i palmy męczeńskiej. Tyś tak mężną się okazała, ja jestem tak zniewieściałą, że trzeba szczególniejszej łaski Boskiej, abym zwyciężyć mogła.

Poczciwe dziewczę nie wiedziało, że już przy-

gotowana jest dla niej korona zwycięstwa, która bardziej wsławiać miała jej imię, niż liczne wawrzyny wodzów, którzy z jej rodu wyszli.

Kapłan przyrzekł Blandynie, że będzie się starał odwiedzić ją jeszcze następnej nocy, poczem się z nią pożegnał, bo stróż więzienny naglił już do wyjścia.

Upłynęło ośm dni od tego czasu.

W Kornelii zatarło się zupełnie wrażenie, którego doznała na widok Blandyny w Kolosseum. Były po temu także inne powody. Mąż jej szczególniej w ostatnich czasach prowadził życie prawie zupełnie poza domem na rozpuście, tak, że Kornelii na prawdę poczynała przychodzić myśl o rozwodzie. Nie było też i dzieci, przy olbrzymim majątku nie miała tego, coby jej szczęście dać mogło, nie kochała nikogo i wiedziała na odwrót, że nie jest przez nikogo kochaną.

Odbierając hołdy innych, bawiąc się, odczuwała wciąż tę próżnię w życiu swojem. Postępowanie męża w ostatnich czasach, niechęć tę coraz bardziej jeszcze zwiększało. Myślała nieraz o innej kobiecie, którąby dla jej męża o wiele stosowniejszą była, np. cesarzowa Faustyna, pytała się sama siebie, czemu to los jej właśnie nie posadził na tronie cesarskim. Wnet jednak i tę myśl odpędziła od siebie, wzdychając: Kto wie, czy i wtedy czułabym się szczęśliwą i zadowolnioną!

O pewnie, biedne serce! i na tronie nie znalazłabyś tego, czego szukasz.

W tydzień po uroczystościach postanowiła odwiedzić swego dalekiego krewnego senatora Cecyliusza Maxyma Fausta, którego pałac leżał poza Tybrem.

(Kościół św. Cecylii za Tybrem wznosi się na miejscu, gdzie stał dawniej pałac jej ojca. Może być, że przed śmiercią męczeńską ona sama go chrześcijanom podarowała, a może odkupił go ktoś z chrześcijan od skarbu i darował go Kościołowi. Dochowały się nawet resztki łaźni, gdzie poniosła męczeństwo. Umarła jeszcze za rządów cesarza Marka Aureliusza, w parę lat po wypadkach, któreśmy tu opowiedzieli, prawdopodobnie w roku 177, a grób jej jest w katakombach św. Kalixta przy drodze apijskiej. W 821 roku papież Paschalis przebudował kościół pod jej wezwaniem wzniesiony, przeniósł ciało jej z katakomb do kościoła i pochował je pod wielkim ołtarzem. Klasztor, będący tuż obok kościoła, zamieszkują od kilku set lat Bogu poświęcone dziewice).

Zastała w domu córkę jego Cecylię i rozmowa zeszła naturalnie na jej niewolnicę Blandynę. Cecylia mówiła o niej z takim szacunkiem, że to musiało uderzyć Kornelię, która wyciągnąć zdołała z niej nawet tajemnicę, że odwiedza Blandynę w więzieniu.

— Ależ to okropne, moje dziecię! — rzekła Kornelia. — Jak ty patrycyuszka możesz się tak bardzo zapominać! Gdyby tak o tem się twój ojciec dowiedział!

— Proszę cię też dla tego, nie mów ani jemu, ani nikomu wogóle o tych odwiedzinach. Czy

ty jednak to na prawdę za poniżające uważasz, że podziwiam odwagę i bohaterstwo tego dziewczęcia, przecież dzikie zwierzęta to nawet oceniły.

— Podziwiać możesz, ile chcesz! Podziwiam przecież i gladyatora odbierającego bez drgnięcia cios śmiertelny. Ależ ona bądź co bądź, jest niewolnicą, między tobą a nią jest przepaść!

— Trzebaby ci ją widzieć! Nie wątpię, że Bóg, co ją wyrwał z pazurów dzikich zwierząt, wyraził na jej obliczu piętno Swej boskości. Co Wirgili opowiada o swych boginiach, o ich porywającym serce czarze, to widziałam na twarzy tej niewolnicy.

— O ty marzycielko! Zawsze to jednak niewytłómaczone, czemu się dzikie zwierzęta na nią nie rzuciły, a lwica, jak szczenię u nóg jej się układła. Bardzo jestem ciekawa dowiedzieć się, jakim to stać się mogło sposobem.

— Jeśli chcesz się dowiedzieć — rzekła Cecylia uśmiechając się — chodź ze mną odwiedzić ją, to ci powie.

Kornelia roześmiała się głośno na te słowa i zwróciła rozmowę na co innego.

Wracając do domu, przywołała jednak na pamięć wszystkie szczegóły owego wieczora, a przed oczyma duszy stanął jej znowu obraz Blandyny stojącej w zachwycie w cyrku w pośród zwierząt. Dziewczyna ta miała w istocie coś pociągającego ku sobie, zauważyła to przecież sama odwiedzając

Cecylię dawniej, a cóż dopiero teraz po tym wypadku! Nie dziwiło ją więc już więcej, że ją Cecylia odwiedzała.

Kilka dni przeszło bez zajęcia i rozrywek, to też coraz częściej obraz Blandyny stawał jej przed oczyma. Nie wiedząc sama jak do tego przyjść mogło, poczęła nabierać ochoty odwiedzenia Blandyny. Przecież to coś oryginalnego: przebrana, pokryjomu, w nocy iść do więzienia i zobaczyć tę ciekawą postać, w jednostajnem życiu, jakie teraz wiodła, mogło jej to przecież przynieść rozrywkę. I znowu odpędziła tę myśl, jako niedorzeczność, cóż ją obchodzić mogła niewolnica.

W kilka dni w towarzystwie zeszła rozmowa na wypadek w Kolosseum. Przypisywano to tajemnym czarom, a jeden z filozofów począł opowiadać ciekawe i straszne rzeczy o czarnoksięstwie, które chrześcijanie praktykują.

To podraźniło Kornelię i rzekła: Widziałam tę niewolnicę częściej w domu moich krewnych. Jest to dziewczę tak proste, tak otwarte, że jej nawet o coś podobnego podejrzywać nie można.

— To jest właśnie najobrzydliwszem w tych chrześcijanach. Wyglądają dobroduszni, niewinni, a w sercach ich jest cała przepaść złości i podłości.

— Co do tej niewolnicy proszę ją wyjąć z liczby takich. Zresztą, czemuż te czary nie skutkowały u innych?

— Ja, to znów zupełnie naturalnie sobie tłómaczę — odrzekł inny. — Dzień przedtem była na torturach, zapach ran powstrzymywał zwierzęta.

— A przecież męczono innych! Zwierzęta były zgłodniałe, to też nie obwąchiwały nawet ofiar swoich, czy mięso ich świeże, lub nie. A ta lwica, czemuż się do stóp jej położyła? Dla mnie całe to zajście jest niewytłómaczoną zagadką.

Na drugi dzień spotkała się Kornelia z Cecylią. Dziewczę przyznało się jej, że zeszłej nocy odwiedziła znowu niewolnicę i z zapałem opisywać jej znowu poczęła wrażenie, jakie na niej zrobił widok męczennicy.

— Wiesz co, dziecię moje — rzekła Kornelia — nie wiele potrzeba, a zdołasz mnie namówić, że i ja tam z tobą pójdę.

— Żartujesz znowu, czy myślisz na prawdę?

— Czemużbym nie miała na prawdę mówić, ta myśl mnie bawi. Nie byłam jeszcze nigdy w więzieniu, radabym widzieć, a zobaczę do tego osobę, która mnie coraz więcej zajmować poczyna.

— Dziś wieczór tam pójdę.

— Zabierzesz mnie?

— Chcesz naprawdę?

— Właśnie dlatego, że tak niedowierzasz, pójdę. Gadają, że czarami odstraszyła zwierzęta od siebie, chcę dojść innej, właściwej przyczyny.

O naznaczonej godzinie przybyła Cecylia z kapłanem Lucyuszem pod ogród Kornelii i wszyscy troje, kobiety otulone dla niepoznania, udali się do więzienia mamertyńskiego.

Zstępując po schodach do podziemnego sklepienia Kornelia poczęła drżeć cała; chętnie wróciłaby się teraz, wstyd przed Cecylią powstrzymał ją tylko od odwrotu. Przybywszy na miejsce, Cecylia położyła palec na ustach, wskazując na Kornelię, polecając tym sposobem ostrożność, poczem uklękła obok Blandyny.

Blandyna przyjęła ich z uśmiechem i rzekła: Jutro umrę. Dozorca powiedział mi, że pójdę znowu na przesłuchanie. Oh! jakżeż pragnę tego! Wreszcie! wreszcie przeleję krew za mego Boga, a potem połączę się z nim na wieki.

Twarz jej jaśniała takim blaskiem, taką niebiańską radością wobec nadziei śmierci, że Kornelia oniemiała stała patrząc w nią, nie mogąc wyjść z podziwienia.

Blandyna zwróciła się teraz do niej:

— Czemże sobie zasłużyłam, że tak wysoka dama przyszła mnie ubogą niewolnicę nawiedzić w więzieniu? Będę się modlić za tobą, pani, w godzinie śmierci będę pamiętać o tobie.

Kornelia nic nie odrzekła, ale to spojrzenie, które Blandyna na nią zwróciła, przeszyło ją do głębi, była niezmiernie wzruszoną.

Cecylia wręczyła jej posiłek, który ze sobą

przyniosła. Uśmiechając się wdzięcznie, przyjęła Blandyna podarek i rzekła:

— Jakżeż ci, droga moja pani, mam dziękować za twą dobroć względem ubogiej niewolnicy? Ostatnie moje tchnienie tobie będzie ofiarowane i tam przed tronem Boga będę się modlić za ciebie bez ustanku. Wiesz co? Znowu dziś ukazała mi się piękna pani, z koroną na głowie, otoczona gromadą biało przybranych dziewic i przyniosła mi wieniec i palmę z raju. Jutro, ach jutro! pójdę do niej, jakżeż szczęśliwą się czuję!

Kornelia rozpłakała się, choć się jej coś podobnego rzadko zdarzało. Zimne jej serce topniało na widok tej świętości i pobożności. Lwica u nóg dziewicy stanęła jej znowu przed oczyma, a sama nie wiedząc, jak do tego przyszło, uklękła i ona u nóg Blandyny; n i e m o g ł a inaczej postąpić, m u s i a ł a uklęknąć. Blandyna twardą, lodową skorupę, która serce Kornelii pokrywała, złamała i stopiła.

Gdy dozorca wszedł i wezwał do odejścia, pożegnała się tak Cecylia, jak i Kornelia pocałunkiem z niewolnicą, tą razą jednak uczyniła to Kornelia bez żadnego przezwyciężenia siebie, owszem z ochotą. Wzruszona do głębi, te tylko wyrzekła słowa: Módl się za mnie! Więcej nie zdołała wymówić.

Przez całą drogę szła milcząc i w nocy oka wcale nie zmrużyła. W jej sercu wrzała straszna

walka, walczyły w niem duchy światła i duchy ciemności, chcąc zdobyć dla siebie to serce, które dotąd należało tylko do świata i nim żyło.

— A więc Cecylia musi być chrześcijanką! — rzekła do siebie. — A przecież to dusza tak czysta i szlachetna! Nie, te potwarze rzucane na chrześcijan, którym dotąd ślepo wierzyłam, nie mogą być prawdą.

Na drugi dzień rano wyprowadzono Blandynę na Forum przed sędziego. Wśród publiczności była garstka chrześcijan, między którymi się także Cecylia znajdowała; Kornelia także przybyła. Na krześle sędziowskim zasiadł Quintus Sollius Urbicus, prefekt miasta w otoczeniu kilku sędziów.

— Jak się zowiesz? — zapytał sędzia.

— Jestem chrześcijanką i u nas nie dzieje się nic złego — odrzekła Blandyna.

— Słuchaj rozkazu boskiego cesarza i złóż ofiarę bogom.

— Jestem chrześcijanką!

— Jak się nazywa Bóg chrześcijan?

— Bóg nie ma nazwiska, jak my śmiertelni. Jeżeli się godnym tego okażesz, i ty Go poznasz.

— Ale wy przy waszych obrzędach popełniacie zbrodnie, na które się ludzkie uczucie oburza. Jecie mięso dzieci i pijecie ich krew podczas waszych uczt nocnych!

— Tego robić nie możemy, bo nie jemy na-

Blandynę wiodą na śmierć.

wet krwi zwierząt. Wy zabijacie ludzi, my wogóle nic złego nie robimy.

— Raz jeszcze powtarzam, ofiaruj bogom.

— Jestem chrześcijanką!

Widząc tę wytrwałość, Urbicus usunął się ze swymi sędziami na naradę, a po chwili woźny ogłosił wyrok: Ponieważ Blandyna wyznaje, że jest chrześcijanką i nie chce według cesarskiego rozkazu ofiarować nieśmiertelnym bogom, ma być za swoją bezbożność mieczem ściętą.

— Deo gratias! Bogu dzięki! — odrzekła Blandyna.

W tejże chwili pochwycili ją oprawcy, a liktor z pęku rózg wydobył szeroki topór.

Blandyna uklękła, w niemej modlitwie wzniosła w niebo ręce i oczy, skrzyżowała ręce na piersiach i przymknęła oczy. O tem, co się koło niej działo, o ziemi i wszystkiem ziemskiem nie wiedząc, przeniosła się duszą do szczęścia, które jej wiara obiecywała, modlitwa jej była słodką rozmową z niebieskim Oblubieńcem. Nigdy jeszcze tak czystej ofiary nie miał topór liktora.

Podług prawa rzymskiego przestępca czynił zadość sprawiedliwości, poniósłszy śmierć zawyrokowaną, wolno było przeto trupa zabrać i pogrzebać go uczciwie. Stałość dziewczyny zrobiła wrażenie i na poganach, nikt też nie przeszkadzał, gdy kilku z chrześcijan zbliżyło się odważnie i zabrało ze sobą zwłoki owinięte w bogatą chustę.

— Gdzież ją pogrzebiesz? — zapytała Kornelia, zapłakana przystąpiwszy do Cecylii.

Cecylia spojrzała badawczo na krewnę i rzekła wymijająco: Prawdopodobnie pogrzebią ją chrześcijanie tam, gdzie się grzebać zwykli.

— Moje drogie dziecię — rzekła na to Kornelia, ściskając jej ręce — nie obawiaj się mnie, przecież ja wiem, żeś chrześcijanką! Żebyś ty wiedziała, com przeżyła tej nocy!

Kornelia nie mogła więcej nic od wzruszenia przemówić, uspokoiwszy się nieco, ciągnęła dalej: Pozwól mi uczestniczyć w jej pogrzebie, oddać jej cześć ostatnią. Tak szlachetnej duszy nie znajdzie się chyba więcej na ziemi!

Cecylia uścisnęła gorąco krewnę. O jakżeż szybko zwyciężyła męczennica to serce, które niedawno temu jeszcze tak dalekiem było od chrześcijaństwa!

— Czekaj o zmroku przy drodze apijskiej, przy trzecim kamieniu milowym, tam jest nasz cmentarz i tam też pochowamy naszą Świętą. Albo może wolisz, to przyjdę po ciebie.

— Przyjdź po mnie — rzekła Kornelia — udamy się tam w zamkniętej lektyce. Ale przyjdź wcześniej nieco, gdyż mam z tobą wiele do pomówienia!

Gdy z nadejściem nocy vespillones (grabarze) nadeszli ku katakombom ze zwłokami Blandyny, wśród gromadki oczekujących ich chrześci-

jan, znajdowały się także Kornelia i Cecylia, która opowiedziawszy kapłanowi Lucyuszowi o cudownej zmianie zaszłej w sercu jej krewnej, wyjednała pozwolenie dla niej wzięcia udziału w pogrzebie. Pochód ruszył ze śpiewem psalmów i ze światłem pochodni. Cecylia na marach złożyła wieniec z wspaniałych róż pąsowych.

Po schodach zeszli wierni do podziemia, które w owych czasach nie było jeszcze zbyt rozległe. Było tu zaledwie parę komor i kilka ścieżek, na ścianach po prawej i lewej stronie były płyty marmurowe oznaczające miejsce spoczynku pogrzebanych.

W jednej z komor, której ściany i sufit były pokryte malowidłami, była wykuta framuga. Ze łzami w oczach spoglądały obie panie, jak murarze z szacunkiem złożyli w niej ciało męczennicy i wśród modłów kapłana zamurowali otwór płytą marmurową bez napisu.

Cały ten obrzęd pogrzebowy, w nocy, przy świetle lamp i pochodni, w łonie ziemi, wywarł głębokie wrażenie na Kornelii. Otworzył się jej świat inny, ale i ona się całkiem zmieniła. Wychodząc, dostrzegła w jednej z nisz obraz, który zajął jej uwagę. Cecylia dała jej takie objaśnienie:

— Spoczywająca w tym grobie poniosła podobnie jak Blandyna śmierć za wiarę. Jest ona teraz w ogrodzie wiecznej rozkoszy, do którego

przeniósł ją Chrystus z tej ziemi, jak dobry pasterz swą owieczkę.

— A u stóp pasterza jest jeszcze druga owca — mówiła dalej Kornelia, jakby do siebie — i trzecia chciałaby też dostać się na ramiona pasterza.

— On cię też chętnie przyjmie — rzekła Cecylia, z miłością zwracając się ku Kornelii.

Nie odrzekłszy na to ani słowa, zarzuciła Kornelia Cecylii rękę na szyję, przycisnęła ją do siebie i serdecznie ucałowała.

— Wiesz ty co—rzekła Kornelia, opuściwszy cmentarz — cobym ja kazała wymalować na grobie tej kochanej Blandyny? No, ale to nie byłby wcale chrześcijański przedmiot!

— Powiedz tylko, chciałabym myśl twą poznać — odrzekła Cecylia, uśmiechając się.

— Orfeusza,*) w chwili gdy swą grą obłaskawia lwy i tygrysy go otaczające. Co w poezyi jest o tym trackim śpiewaku, to samo zrobiła przecież Blandyna w amfiteatrze!

— A w stokroć cudowniejszy sposób zrobił to boski Orfeusz Chrystus, który czarem łaski swojej obłaskawia serca ludzkie i lwy w jagnięta

*) Orfeusz: piewca starożytnej Grecyi. Wdziękiem swojego śpiewu czarował dzikie zwierzęta, drzewa i skały, tąż samą potęgą głosu wyprowadził swoją ukochaną małżonkę Eurydykę z piekieł. Miał być synem pogańskiego bożka Apollina i muzy Kalliopy.

zamienia i gromadzi koło siebie, aby słuchały Boskich dźwięków Jego nauki.

— Jak się to pięknie zgadza — odrzekła Kornelia zamyślona i dalej jeszcze postępując w swoich myślach, wyobrażała sobie w katakombach grób swój, a obraz Orfeusza wymalowany był na płycie grób zamykającej.

V.

Walka.

Od poznania prawdy do jej wyznania, od odrzucenia tego, co się za dobre uważało, aż do ujęcia i chwycenia się tego, cośmy przedtem za fałsz uważali, jest długa i przykra droga. Każdy nowonawrócony mógłby wiele o tem opowiedzieć. Droga ta przykrzejszą jeszcze jest dla serca, niż rozumu; musi ono zerwać ze wszystkiemi skłonnościami, do których dotąd lgnęło, a na odwrót przylgnąć do tego i to pokochać, co się dotąd nienawidziło i pogardzało. W starożytnym Rzymie, a do tego w czasach prześladowań krok ten, to przejście z pogaństwa na wiarę chrześcijańską było nieporównanie trudniejsze. Całe życie publiczne i prywatne było ściśle związane z pogaństwem, węzły te przeto trzeba było potargać. Zarzucano chrześcijanom rozmaite tajemne zbrodnie i dlatego pogardzano nimi, piętno hańby łączyło

się z imieniem chrześcijanina; kara śmierci wymierzaną była na wszystkich wyznawców krzyża, codzień można było widzieć, że nie szczędzono tortur i karano śmiercią tych, co silnie przy wierze obstawali. Na tę hańbę trzeba się było narazić i przed oczami śmierć mieć ustawicznie. Każdy miał krewnych, przyjaciół, rodzinę, stosunki, a tu Ewangelia głosiła: „Kto przychodzi do mnie, a nie znienawidzi ojca i matki, i żony i dzieci, i brata i siostry, a nawet własnej duszy swojej, nie może być moim uczniem.“

Nawrócenie przychodziło więc w owych czasach nieskończenie trudniej, niż w naszych, ofiara była nieskończenie cięższą i większą, ale też nigdy widoczniej nie okazała się moc i boskość chrześcijaństwa, jak wówczas przez liczne nawrócenia, których nagrodą była najczęściej palma męczeńska.

Taka walka zawrzała w duszy Kornelii, w tem rozpieszczonem dziecięciu świata, które dotąd żyło tylko rozkoszami i upodobaniami swojemi. Stracenie i pogrzeb Blandyny wywarły na niej wrażenie niezatarte, ale sama myśl, aby także zostać chrześcijanką, przyprowadzała ją do rozpaczy. Wzgląd na rodzinę, stosunki na rozgłos publiczny stawiały jej nieprzepartą przeszkodę.

— Nie, nie! nie mogę! Wierzyłam w bogów, nie będę więcej, ale czyż mogę usunąć się od publicznych uroczystości i widowisk? Moje położenie towarzyskie zmusza mnie do tego. Czyż

to nie wystarczy, że będę w sercu, tajemnie chrześcijanką? O jakżeż okrutnym jesteś Boże chrześcijan, że pożądasz całego człowieka! Ach! upadam w tej walce. Poco byłam tak głupia, że z Cecylią poszłam do więzienia, u stóp tej niewolnicy straciłam spokój i szczęście! Cecylia! Tej nie zależy nawet na życiu, ona dziś z taką samą radością poszłaby na śmierć, jak jej niewolnica, ale moje serce zbyt się zrosło i zżyło z światem.

Blandyna i Cecylia rozproszyły w jej sercu podejrzenia i przesądy, jakie miała co do chrześcijan; męczenników uważała przedtem jako zwykłych zbrodniarzy, teraz byli w jej oczach podziwienia godnymi bohaterami, co za swe przekonania mężnie życie kładli, ale czyż to koniecznem być chrześcijaninem, aby być cnotliwym? Przecież i cesarz Marek Aureliusz jest wzorem cnót i doskonałości, a doszedł do tego przez filozofię!

Próbowała się rozerwać, aby odpędzić myśli tłoczące się do jej głowy. Spraszała przyjaciół, poszła do teatru na przedstawienia sławnego mimika, ale obraz Blandyny stał jej wciąż przed oopuścił ją jakoś, a teatr nie bawił jej wcale. Coczyma, dowcip, którym dawniej się odznaczała, raz bardziej czuła potrzebę wywnętrzenia się przed kimś. Do Cecylii nie chciała pójść, czuła się bezbronną wobec tego dziecka, które nie miało pojęcia o walce wewnętrznej. Wśród przyjaciół nie

miała nikogo, któryby na jej zaufanie zasługiwał, wtem przyszedł jej na myśl Justyn. Ten od lat wielu po różnych szkołach filozoficznych szukał prawdy, zwiedził Wschód cały w tym celu. Z pewnością ten zostałby chrześcijaninem, gdyby w chrześcijaństwie była prawda! Tak, on jeden mógł spokój jej sercu przywrócić.

Kornelia ani pomyślała, ani przeczuwała, jaka zmiana zaszła w Justynie od czasu owej uczty.

Justyn nie wątpił wcale, że starzec, którego poznał, jest chrześcijaninem; tak on, jak dzieci głosili więc chrześcijańskie nauki, a to była prawda, za którą on tak dawno gonił. Wróciwszy wieczorem w dniu igrzysk do domu, spisał całą rozmowę z nieznajomym, odpowiedzi dzieci i począł to wszystko rozważać. Im więcej myślał nad tem, tem jaśniej mu się w duszy robiło. Tyle czytał, tyle się uczył, czemuż mu nie przyszło nigdy na myśl, aby zajrzeć także do świętych ksiąg chrześcijan? Ale uprzedzenie do nich tak wielkie było, że upatrywano w tej sekcie wszystkiego, ale ani pomyślał kto, że tam się mieści wyjaśnienie najważniejszych zagadnień filozoficznych.

Justyn, jako prawdziwy filozof, poznawszy prawdę, począł i działać. Szukał jej długo, błądził długo, odkrywszy teraz jej ślad, postanowił nie spocząć, aż póki jej zupełnie nie posiędzie. Wtedy spodziewał się dopiero znaleźć spokój, znaleźć owego sternika, co miał okręt jego życia wśród

burz doprowadzić bezpiecznie do przystani pokoju i szczęścia.

Zaraz na drugi dzień pobiegł na Monte Mario. Odźwierny poznał go i wpuścił.

Ptolomeusz siedział właśnie w gronie swoich dziatek i opowiadał im o przymiotach Boga, prosto i jasno, żeby go pojąć mogły. Opowiadając im o miłości Boga, mimowoli począł mówić z ciepłem i zapałem, przedstawił dzieciom, żeśmy wszyscy wolni i niewolnicy zarówno dziećmi Boga, przedstawił im miłosierdzie Boże względem błądzących, cierpliwość względem grzeszących i nagrodę, jakiej Bóg udziela za pełnienie dobrego.

Z natężoną uwagą słuchał Justyn słów starca, coraz jaśniej robiło mu się w duszy, serce rozszerzało mu się, jak kielich kwiatu wobec porannego słońca.

Nauka się skończyła, a on pragnąłby jeszcze godziny całe słuchać, użyzniać wyschłą swą duszę orzeźwiającym strumieniem prawdy. Przystąpił do Ptolomeusza i rzekł:

— Znalazłem to, czego szukałem tak długo! Bóg przywiódł mnie do ciebie, prowadź mnie ty teraz do Niego, chcę, muszę zostać chrześcijaninem.

Cały dzień już pozostał w cichej willi. Gdy nad wieczorem żegnał się z dziećmi i ze starcem, dał mu Ptolomeusz ewangelię św. Jana i polecił

mu ją przeczytać sobie z uwagą i dopiero potem przyjść znowu do niego.

Już sam początek zachwycił Justyna swą wzniosłością: „Na początku było słowo, a słowo było u Boga, a Bogiem było słowo.“ Coś podobnego nie spotkał u żadnego z filozofów. Z coraz bardziej rosnącem zajęciem czytał i czytał; coraz jaśniej rysowała się przed oczyma jego duszy postać Boskiego Zbawiciela, coraz silniej uczuwał miłość i wdzięczność ku Boskiemu Mistrzowi. Dla Justyna, co tak dawno łaknął prawdy, który nie był ze światem związany żadnym ziemskim węzłem, nie zważał na żadne względy, stan i węzły krwi, nawrócenie było łatwem, rola serca była bez cierni, bez kamieni, ziarno ewangelii mogło tu zejść bardzo pięknie.

Wśród takich zajęć i studyów zaskoczyło Justyna zaproszenie do domu Kornelii.

Nieraz już prowadził z nią Justyn rozprawy filozoficzne, przecież to było tak modne w Rzymie. Teraz dopiero zupełnie inaczej jej odpowie!

— To, co dotąd jej dać mogłem — mówił do siebie — to była stojąca woda z mętnego bagna, teraz poprowadzę ją do bijącego źródła żywej wody, do Boskiej mądrości. Wyśmieje mnie może, pogardzi mną i wypędzi, gdy jej oświadczę, że to są nauki chrześcijańskie, do których się przyznaję całą mą duszą, niech tam! to mnie nie powstrzy-

ma. Brakuje mi jeszcze całego ich poznania, ale wynagrodzę to mym zapałem.

Długo, bardzo długo trwała rozmowa Kornelii z filozofem. Opowiedział jej, jak poznał Ptolomeusza, jak pierwszą naukę odebrał z ust dziecka, jak silnie jest teraz przekonany o Boskości tej religii. Z zapałem nowonawróconego przedstawił jej główne zasady wiary, a ze zręcznością filozoficzną odparł każdy jej zarzut. Kornelia starała się nie zdradzić z tem, co się w jej duszy działo, ale Justyn z zapytań i zarzutów przez nią stawianych, z zapatrywań jej obecnych na filozofię i religię poznał, jaka walka wrzała w tem sercu, oby tylko i ona znaleźć chciała tego sternika!

Odwiedziny Justyna zamiast przynieść Kornelii uspokojenie duszy, wzburzyły ją jeszcze bardziej. Głośno odzywał się w jej wnętrzu głos Boży, mówiący jej, że tylko w zupełnem oddaniu się prawdzie może znaleźć zupełny spokój, nie mniej głośno jednak oburzała się jej cała istota na myśl, że do tego przyjść musi.

Mijały dnie i tygodnie, Kornelia nie mogła powziąć żadnego postanowienia, na nawoływanie łaski Bożej odpowiadała: Nie, nie podobna! nie mogę!

Czuła się przytem niewymownie nieszczęśliwą, przyznawała sama, że gdyby stan duszy taki miał potrwać dłużej, pomieszania zmysłów dostaćby musiała.

Nawet i oku małżonka, który żresztą bardzo mało się o nią troszczył, nie uszła zaszła w niej zmiana, sądził jednak, że pytając się o powód nikomu innemu, tylko jemu przypisaćby go potrzeba było. Radził jej więc wyjazd na świeże powietrze, nad morze, lecz Kornelia odrzekła mu na to tylko, iż to jej niezawodnie nic nie pomoże.

Chciał wezwać pomocy lekarskiej dla niej. — Dla mnie — odrzekła ze łzami w oczach — jest tylko jedno lekarstwo, ale onego dosięgnąć nie zdołam, zbyt daleko jest ono ode mnie.

Za kilka dni zjawił się u niej Justyn, tą razą niezaproszony wcale, przyszedł zrobić jej propozycyę, aby z nim razem odwiedziła Ptolomeusza. Wahała się chwilę, wreszcie przystała.

Co w tej willi widziała i słyszała, utwierdziło ją jeszcze bardziej o prawdziwości religii chrześcijańskiej, wyznała to otwarcie kapłanowi, dodała jednak, że niemożebnem jest dla niej otwarcie przejść do Kościoła Chrystusowego.

Ptolomeusz dał jej na to osobliwszą odpowiedź:

— Gdy jeszcze Pan był na tej ziemi, żyła na zamku swym w Magdala bogata pani, która bardziej była splątana w sieci tego świata niż ty, o pani! To, co ludzie zowią przypadkiem, zaprowadziło ją razu pewnego pomiędzy tłum ludzi przysłuchujących się słowom Boskiego Mistrza. Ta postać wzniosła, a więcej jeszcze Boska Jego

nauka, zawładnęła całą duszą tej pani. Gdy raz Mistrz zaproszony był przez jednego z Faryzeuszów na ucztę, nie mogąc się oprzeć pociągowi serca, wpadła i Marya Magdalena do triclinium. Nie zważając na złośliwe spojrzenia, nie słuchając szyderczych uwag biesiadników, rzuciła się do stóp Zbawiciela, a zlewając je łzami, obcierała je włosami swojemi. I ja ciebie, dostojna pani, nie myślę ani jednem słówkiem namawiać, abyś została chrześcijanką, przyjdzie i dla ciebie chwila, kiedy parta nieprzezwyciężoną tęsknotą serca, pobiegniesz tam, gdzie Pan się znajduje i będziesz gotową wszystko, co najdroższe, złożyć Mu w ofierze; i ty się rzucisz Mu do nóg i błagać Go będziesz, aby cię w Swej łaskawości przyjąć raczył.

Kornelię uderzyły słowa kapłana. Co? jak żebraczka miała przyjść i na kolanach błagać o przyjęcie? Jakżeż daleką była jeszcze od podobnego upokorzenia siebie, od podobnej ofiary!

Skoro jednak przyszła do domu, zamknęła się w swoim pokoju i upadłszy na kolana z rękami wyciągniętemi w niebo, modliła się wśród łez gorących:

— Boże mój! Boże mój! zmiłuj się nade mną! Poznałam Cię pod działaniem Twej łaski, dajże mi teraz sił na tyle, abym z Magdaleną rzuciła się do stóp Twoich!

Przyjdzie, przyjdzie i dla ciebie, słabe serce, godzina, że znajdziesz odwagę do każdej ofiary,

choćby to była i ofiara życia! Jak cię raz jeszcze Cecylia zaprowadzi do katakomb, poproś jej, aby ci pokazała Abrahama, który wszystko, co miał najdroższego, jedyne swe dziecko gotów jest złożyć Bogu w ofierze, dlatego, że Bóg tak zechciał. Nie na darmo umieszczali chrześcijanie obraz ten na grobach męczenników. To, co patryarcha Starego Zakonu uczynił wolą tylko, to męczennicy w czyn wprowadzili, oddając najdroższe rzeczy, życie nawet dla Boga.

Na drugi dzień oświadczył jej małżonek, że jedzie do Aleksandryi wyszukać odpowiedniego miejsca dla niej na pobyt zimowy i że postanawia zaraz jutro już Rzym opuścić.

Kornelia nic nie odrzekła. Znała zbyt dobrze męża, wiedziała, że nie dla niej tę podróż przedsiębierze, ale chce tylko bez przeszkody używać rozkoszy, w jakie rozpustny Wschód obfituje. Utwierdziła się w tem podejrzeniu jeszcze bardziej, dowiedziawszy się, jaką wielką ilość kufrów i skrzyń ze sobą zabiera.

Opuszczając ją właśnie w tym czasie i to na dłuższy przeciąg czasu, zrywał Cecylian ostatnią nić, która oboje małżonków ze sobą wiązała.

VI.

Narzeczona.

Cecylia cieszyła się niezmiernie zmianą, jaka się odbyła z Kornelią, modliła się też gorąco, aby Bóg raczył dokończyć dzieła, które rozpoczęła Jego łaska. Wiedziała, że od młodości Kornelia zbyt była zaplątaną w sieci tego świata i że ciężko jest dla niej zerwać je naraz. Obawiała się, aby wrażenia, które na niej wywarły, Blandyna, jej męczeństwo i pogrzeb, nie zatarły w Kornelii rozrywki i zajęcia światowe.

Wrażenia te jednak były zbyt silne, Opatrzność przyłączyła do nich wiele jeszcze innych okoliczności, modlitwa męczennicy nie miała zostać bezowocną. Podróż jej męża dotknęła ją głęboko, ale musiała nastąpić, aby zerwały się ostatnie węzły łączące ją z światem; pragnęła doradzcy i powiernika, a nie miała nikogo, tylko Justyna, który właśnie co poznał prawdę; przez niego poznała Ptolomeusza, który wraz z Justynem mieli być z woli Bożej jej przewodnikami na drodze do zbawienia wiodącej.

Od pogrzebu Blandyny widywała się Kornelia z Cecylią dość często i między obiema krewnemi zawiązał się stosunek serdecznej przyjaźni. Cecylia była wprawdzie znacznie młodszą co do lat, dorosłą była jednak i dojrzałą co do wiary i życia chrześcijańskiego, podczas gdy Kornelia pod

tym względem uważała się za dziecko, za uczennicę.*) W duszy Kornelii budziły się nieraz rozmaite wątpliwości i zarzuty. Cecylia zaś, ku niemałemu jej podziwieniu, umiała je zawsze kilku prostemi słowami zbić i usunąć.

Było to już pod koniec roku, gdy raz Cecylia wbiegła z radością do pokoju Kornelii, wołając: Ciesz się ze mną, za ośm dni dostanę zasłonę, która mnie na zawsze z moim Oblubieńcem połączy.

— Z Oblubieńcem? — zapytała zdziwiona Kornelia — a tyś mi nigdy ani słówkiem o tem nie wspomniała? Nie ładnie to z twojej strony. Któż to ten szczęśliwy?

— Wyrobiłam dla ciebie pozwolenie — mówiła Cecylia dalej, nie zważając na zapytanie — żebyś i ty mogła być obecną przy tej uroczystości.

— Nadzwyczaj łaskaw twój ojciec — odrzekła Kornelia, marszcząc mimowoli czoło — ż

*) W początkach chrześcijaństwa świeżo ochrzcznych, choćby to już w późniejszym wieku dopełnili, zwano pueri, infantuli, to jest dziećmi, niemowlątkami; spotykamy to na wielu nagrobkach. Napis z roku 406: puer Helias argentarius, chłopiec Helias złotnik, jest na grobie w 35-tym roku życia ochrzconego. Na innym grobie spotykamy napis: decessit de seclum puer Victorinus qui bixit annus XXXVII, zmarł chłopiec Wiktoryn, mając lat

Przedstawienie Chrztu św. spotykamy często w katakombach, szczególniej św. Kaliksta w tak zwanych kaplicach Sakramentów świętych, sięgają one III-go stulecia. Jako symbol Chrztu świętego brano ze Starego Zakonu Mojżesza, wyprowadzającego wodę ze skały i przejście przez Morze Czerwone.

mnie, twojej krewnej, raczył udzielić pozwolenia takiego!

— Mój ojciec — rzekła Cecylia i nagle zastanowiła się. — Przecież on o tem nic nie wie, on jeszcze za bardzo przywiązany do swych bogów, gniewałby się nawet okropnie, gdyby się o tem dowiedział!

— Zaczynasz być coraz więcej zagadkową!

— Przebacz — rzekła Cecylia zastanowiwszy się chwilę — że z radości zapomniałam, iż nie wiesz nic o tem błogiem połączeniu, które u nas chrześcijan wiąże kochające szczerze serce z Najgodniejszym miłości. Już od dawna serce moje należało wyłącznie do Boga, ślubowałam to Jemu; teraz publicznie i uroczyście klęcząc przed ołtarzem mam Mu je oddać, złożyć ślub wiecznego dziewictwa, aby się z Bogiem i Panem moim zaślubić.

Kornelia zdziwiona coraz więcej, zapytała:

— Więc ty nie chcesz wyjść za mąż wcale? Ty, jedyna dziedziczka! Niejeden z naszych młodych patrycyuszów już zwrócił uwagę na ciebie; wiem nawet o jednym i znam go, którego ojciec dla ciebie za męża wybrał. Czy nie wiesz, co za władzę daje ojcom prawo rzymskie względem córek?

— Anioł Boży strzedz mnie będzie — odrzekła Cecylia z zapałem. — O tak! Ty Boski mój Oblubieńcze będziesz czuwał nad tem, aby

i ciało i dusza moja nieskazitelnemi zostały. Twą Ewangelię noszę w mem sercu, a dusza moja goreje ogniem niebieskim.

— Czyś ty jednak pomyślała, zastanowiła się nad tem, że wtedy musi się wydać, żeś chrześcijanką?

— Szermierze Chrystusa, unikając dzieł ciemności, uzbrojeni są bronią światłości. Czyż może być większe szczęście, jak z wieńcem dziewictwa złączyć palmę męczeńską?

— Jestem jakby ślepy — odpowiedziała Kornelia, która podobnej odpowiedzi nie spodziewała się wcale — który co dopiero wzrok odzyskał. Cały nowy świat się dla niego otwiera; blask słońca, przepych i różność barw i postaci nieznanych, obcych, dla których określenia i pojęcia mu dotąd brakowało. Kiedyż te twoje zaślubiny?

— W dzień Objawienia się Pańskiego. Jest to pamiątka dnia, w którym władzcy z dalekiego Wschodu przybyli do Betleem i złożyli dary Królowi niebios. W dniu tym zdziałał Pan Swój pierwszy cud, zamieniając wodę w wino na weselu w Kanie Galilejskim. Długo, długo, droga moja przyjaciółko tęskniłam za tym dniem, w którym mi mój Boski Oblubieniec poda kielich wina Swej miłości, książęta niebios pospieszą złożyć ślubne podarki, a chóry Aniołów zanucą pieśń weselną.

Kornelia milcząc, patrzyła i patrzyła na Ce-

cylię, na obliczu jej był odblysk raju, jaśniała bowiem, jakimś nadziemskim blaskiem.

Papieże zamieszkiwali podówczas pałac, w którym niegdyś senator Pudens podejmował świętego Piotra i Pawła. Poprzednik ówczesnego papieża Aniceta, Pius I, kościołowi w tym domu się znajdującemu nadał nazwę: titulus Pastoris. Był tam jeszcze drewniany ołtarz, na którym książę Apostołów sprawował św. tajemnice i funkcye papieskie, uroczysty chrzest na Wielkanoc, święcenia biskupów i kapłanów i odbieranie ślubów dziewictwa. Tymoteusz, jeden z synów Pudensa, zbudował w tym domu łaźnie publiczne, aby właśnie chrześcijanie mogli bez ściągnięcia na siebie podejrzenia tutaj się zgromadzać.

(Kościół św. Pudencyana należy do najstarszych kościołów tytularnych Rzymu. Dziś poznać jeszcze można, że go przebudowano ze starej łaźni, ślady tego widoczne tak na tylnej ścianie, jak i w kościele podziemnym. Mozaika za wielkim ołtarzem z 368 r., najwspanialszy zabytek tego rodzaju w Rzymie, przedstawia Chrystusa w pośród Apostołów, poza nimi Pudencyanna i Prakseda. W bocznej kaplicy kamiennej, w której przechowuje się kawałek ołtarza drewnianego św. Piotra, jest stara posadzka mozaikowa; tu też jest malowidło ścienne z IV wieku przedstawiające Piotra jako nauczyciela w pośród trzody owieczek).

Dnie, w których zwykle papież odbierał śluby dziewictwa były w starożytnym Kościele: dzień św. Trzech Króli, Wielkanoc i dzień św. Piotra i Pawła. Cecylia prosiła usilnie, aby ją w dzień

św. Trzech Króli obleczono w zasłonę dziewictwa, dowiedziała się bowiem, że ojciec jej chce ją wydać za mąż, chciała więc publicznie i uroczyście, a jak najprędzej, w obliczu Boga, duchowieństwa i wiernych złożyć te śluby, które w cichości serca swego dawno już Bogu uczyniła.

Poświęcone Bogu dziewice miały swe osobne miejsce honorowe w pobliżu ołtarza. Tu w pośród nich widzimy dwie podeszłe staruszki, Pudencyannę i Praksedę, córki senatora Pudensa, przewodniczące tego świętego zgromadzenia; ileż już one przyjęły w grono swoje! ileż z pośród tego grona poszło z palmą męczeństwa do nieba!

I miejsce i całe zgromadzenie zrobiło głębokie wrażenie na Kornelii. Obrazów bożków nie było; w półokrągłym zagłębieniu stał tron, z dwoma pobocznemi siedzeniami po prawej i lewej ręce, sufit polamowany był cały; był tam pasterz w pośród trzody, z owieczką na ramionach; uczta, przy której cała zastawa był chleb i ryba; człowiek wpośród lwów z wyciągniętemi ramionami itp. Nie rozumiała znaczenia tych obrazów, a po prostu gorszyła się, jak taki obraz ucztę przedstawiający można było tu na świętem miejscu umieszczać! W kaplicy siedzieli mężczyzni, po lewej ręce, po prawej kobiety, nastrój wszystkich był bardzo poważny. Śpiewali naprzemian jakąś pieśń w tonie bardzo uroczystym. A cóż to były za

poważne postacie tych starców, biskupa i kapłanów go otaczających!

Widziała Kornelia, jak w ofierze niesiono na ołtarz chleb i wino, potem ołtarz i kapłana zasłonięto. Wszyscy jedli z ofiary, ale każdy z takim szacunkiem brał na ręce podany mu kawałeczek chleba i pił wino z kielicha, że ten współudział musiał u chrześcijan coś szczególniej świętego oznaczać. Krwawych ofiar nie składano, nie było też do tego nic przyrządzone.

Składanie tej ofiary pojąć nie mogła Kornelia, wiele tam rzeczy było dla niej ciemnych i tajemniczych, obrzęd jednak poświęcenia się Bogu przez Cecylię rozrzewnił ją bardzo. Cecylia miała na głowie wieniec ze świeżych róż i włosy rozpuszczone; w otoczeniu Pudencyanny i Praksedy przystąpiła do tronu, na którym zasiadł biskup w otoczeniu kapłanów. Zdziwiło Kornelię, że biskup w swej mowie wychwalał tak stan dziewiczy. Nazywał dziewice oblubienicami Chrystusowemi, naczyniami słowa wiecznego, kwiatami na drzewie Kościoła, najszlachetniejszą cząstką trzody Zbawiciela, aniołami ziemi zaślubionemi Królowi nieba, który pragnął, aby Go w niebie i na ziemi aniołowie wielbili. Dlatego ojczyzną dziewic niebo, a miejscem na ziemi honorowe miejsce tuż przy ołtarzu, na którym niepokalana ofiara się składa. Dziewice są właśnie najjaśniejszym dowodem, że tylko chrześcijanie Boga pra-

wdziwie czczą i wielbią. Wskazał potem na Królowę Dziewic, Matkę Jezusa, polecając im Ją naśladować. Marya jest nauczycielką, one winny być Jej uczennicami, Ona jest zwierciadłem panieństwa, Jej życie szkołą dla wszystkich.

(Wyrażenia ojców Kościoła, w celu oddania pochwał dziewictwu).

Złożenie ślubów odbywało się podobnie, jak przy Chrzcie św. przez pytania i odpowiedzi. Potem wyszła Cecylia po stopniach aż do tronu i uklękła, położyła rękę na księdze i wypowiedziała słowa, któremi poświęcała się przez zachowanie dziewictwa Bogu, dodając: Sic me Deus adjuvet et haec sancta Dei Evangelia, t. j. „tak niech mi Bóg dopomoże i ta Jego święta Ewangelia!“

Wszyscy zebrani odpowiedzieli: Amen! kładąc tem niejako pieczęć. Potem biskup włożył na głowę Cecylii zasłonę z białej wełnianej materyi, zdobną tylko wązkiem purpurowem obszyciem i rzekł: Odbierz, córko moja, świętą zasłonę, którą zanieś niepokalaną przed tron Sędziego Jezusa Chrystusa, przed którym ugina się wszelkie kolano niebieskie, ziemskie i piekielne, po wszystkie wieki.

— Amen — odpowiedzieli zgromadzeni.

Poświęcona Bogu odeszła teraz od tronu i wracała na swoje miejsce, wtem ujrzała Kornelia, jak naraz stanęła zapatrzona w niebo, nieru-

choma, z policzkami płonącemi św. ogniem. Zdziwiona Kornelia patrzyła na stojącą tak w zachwyceniu Cecylię, aż póki się do niej nie zbliżyły Prakseda i Pudencyanna, aby ją zaprowadzić do chóru dziewic i dać jej pocałunek pokoju. Poczem rozpoczął się znowu śpiew na przemian, którego treścią były zaślubiny króla z królową.

(Przy obłóczynach dziewic śpiewano Psalm 44).

Kornelia śledziła każdy ruch w obrzędzie z naprężoną uwagą, gdy biskup wdziewał Cecylii zasłonę, łzy puściły się jej z oczu, a skoro ją ujrzała stojącą w zachwyceniu, wydała się jej jakąś nadziemską istotą. Kiedy jej Cecylia o swych ślubach opowiadała, wyobrażała sobie, że to będzie coś podobnego do poświęcenia Westalek, ale o ile wznioślejszym i świętszym był obrzęd, który teraz widziała! Odtąd patrzyła na dziewicę z szacunkiem, żegnając się dawniej z nią, całowała ją zwykle w czoło, teraz bała się tego uczynić, aby nie znieważyć tej, na której czole niebieski Oblubieniec Swój pocałunek wycisnął.

Z początku zdawało się jej twierdzenie biskupa, że dziewictwo jest najwyraźniejszym dowodem boskości religii, zbyt śmiałem; dłużej się zastanawiając, musiała mu jednak przyznać słuszność. Taka Blandyna, Cecylia, nie wyrosłyby nigdy na pogańskim gruncie, na wyschłej puszczy, mogły się one udać tylko przy żywem źródle łaski i prawdy.

(Na cmentarzu Pryscylli znajduje się malowidło ścienne, przedstawiające obłóczyny dziewicy chrześcijańskiej. Obok siedzącego na tronie biskupa stoi dziewica, trzymając zasłonę w ręku; naprzeciwko Matka Boska, jako wzór dziewictwa. Obraz znakomity, sięga bardzo starych czasów. Na cmentarzu Cyryaka jest obraz, przedstawiający mądre i głupie dziewice obok Zbawiciela. Mądre trzymają w górę zapalone pochodnie, głupie zagaszone w dół opuściły).

W dniu złożenia ślubów dziewictwa przez Cecylię przekonała się Kornelia o boskości chrześcijaństwa.

W parę dni potem odwiedziła Kornelia Cecylię. Opowiadając jej o wrażeniu, jakie podczas obrzędu odniosła, rzekła jej wreszcie: Ale powiedz mi, drogie dziecię, co cię tak wzruszyło, żeś po odebraniu zasłony stała tak długo nieruchoma?

Cecylia zarumieniła się i milczała, Kornelia nalegała jednak póty na nią, aż jej wreszcie opowiedziała, wymógłszy jednak przedtem przyrzeczenie, że nigdy nikomu o tem nie powie.

— Nie wiem, co to było — rzekła. — Ujrzałam się naraz w wielkim ogrodzie. Tam ukazał mi się czcigodnej postaci starzec, w ubraniu pasterza, który skinął na mnie, bym się zbliżyła. Przy starcu stała gromada wielka, wspaniale przybranych, ci grali i śpiewali prześliczne pieśni. Gdym się do starca zbliżyć chciała, przystąpiło naraz do mnie dwóch młodzieńców i rzekło: Weź i nas z sobą do niego. Ale anioł przystąpił i na-

przód ich do starca zaprowadził. Starzec wręczył każdemu z nich gałęź palmową i polecił im, jakby drużbom, teraz mnie przyprowadzić. Otrzymałam z rąk szanownego starca różę i lilię wonną, potem wycisnął na mem czole pocałunek i rzekł: „Filia, pax tecum! tj. córko, pokój z tobą.“

Podobne widzenie w aktach św. Perpetuy i Felicitas. (Ruinart I p. 207).

Obie przyjaciółki zamilkły i pogrążyły się w zamyśleniu.

— A poznałaś obu młodzieńców? — zapytała po chwili Kornelia.

— Zdaje mi się — odrzekła Cecylia ze spokojem — że to byli bracia Waleryan i Tyburcy, którzy często nas odwiedzają i z których jednego chce mi ojciec wybrać na męża. Ale oni obaj nienawidzą chrześcijan i nie rozumiem, jak...

Cecylia nie dokończyła zdania, w oku Kornelii zabłysła łza, gdyż cóż innego miało oznaczać to widzenie, jeżeli nie to, że wszyscy ci mieli ponieść śmierć męczeńską?

VII.

Zwycięstwo.

O ile tylko pogoda zimowa pozwalała, spieszył Justyn codziennie na Clivus Cinnae, by pouczać się od Ptolomeusza o prawdach chrześcijańskich.

Ten zaraz w pierwszych dniach przedstawił filozofa papieżowi Anicetowi, który go wpisał w poczet katechumenów, a na Wielkanoc miał otrzymać Chrzest św. Zaraz od początku starał się Justyn licznemi pismami udowodnić zaślepienie Żydów, przedstawić prawdę nauk chrześcijańskich, zbić błędy i uprzedzania pogan i filozofów. Część tych pism doszła do naszych czasów, wysługując Justynowi tytuł Ojca Kościoła. Ściągał on przez nie nienawiść wszystkich wrogów imienia chrześcijańskiego, wiedział o tem, ale cóż wspanialszego mogło mu się za to dostać w udziale, jak łaska przypieczętowania krwią swoją wyznania wiary?

Często z Ptolomeuszem nawiedzali dom Kornelii, która pod pozorem nieobecności męża, usunęła się zupełnie od dawnych towarzystw i żyła samotnie i cicho. Od jednej z przyjaciołek bawiącej w Aleksandryi, odbierała od czasu do czasu listy, z których dowiedziała się, jak rozpustne życie mąż jej w tem mieście prowadzi. Utwierdziło ją to jeszcze więcej w zamiarze zerwania łączących go z nią węzłów. Wziąwszy publicznie rozwód, miała otwartą drogę, aby przejść jawnie na łono Kościoła chrześcijańskiego. Uspokoiła się znacznie, dzięki Ptolomeuszowi, który kazał się jej modlić i pouczać o prawdach wiary; czuła jednak zarazem, że zupełnego spokoju nie znajdzie, póki nie zrobi stanowczego kroku, niech się po-

tem dzieje, co Bóg zechce. Nie mogła stać ustawicznie u bramy świątyni, trzeba było wejść do niej koniecznie.

Szczególniejszy wypadek krok ten przyspieszył. Gruby Krescens byłby zapomniał obrazę wyrządzoną mu przez Justyna podczas uczty, lecz nie odbierając więcej zaproszenia do domu Kornelii, a wiedząc, że Justyn tam często bywa, przypisał to jego intrygom. Tego mu darować już nie był w stanie!

Już pierwsze pismo przeciw Żydom i fałszywym filozofom wystarczyć mogło, żeby wydać Justyna w ręce katów, ale delatores, szpiegowie, co tylu nieszczęść byli powodem za innych cesarzów, byli w publicznej pogardzie za Marka Aurelego, a Krescensa napiętnowanego taką publiczną hańbą, już nikt nie zaprosiłby pewnie do stołu. Zbierał sobie tylko po cichu dowody na Justyna i przytem dowiedział się rzeczy, które go mocno zdziwiły.

Odkrył przedewszystkiem przytułek dla sierot na Clivus Cinnae. Dzieci wyglądały zdrowo i dobrze, i tuczono je zapewne na te nocne uczty chrześcijan! Nie wątpił więc o tem, że Ptolomeusz jest chrześcijaninem.

Odwiedziny częste Justyna w domu Kornelii i jej odosobnienie doprowadziły go do wniosku, że Kornelia jest chrześcijanką. Cóż za skrupuły

miał mieć względem kobiety, co go nawet do stołu nie zapraszała.

Z początkiem kwietnia otrzymał Cecylian dwa listy z Rzymu. W jednym donosił mu prefekt miasta, że Cecylia podała o rozwód z nim, w drugim donosił mu Krescens, że Kornelia dała się uwieść dwom oszustom, Ptolomeuszowi i Justynowi, i została chrześcijanką. To go doprowadziło do wściekłości, wsiadł na pierwszy okręt, który do Rzymu jechał i przybył do stolicy. Tu odszukał nasamprzód Krescensa i kazał sobie wszystko szczegółowo opowiedzieć, poczem pospieszył do prefekta miasta i wniósł ze swej strony podanie o rozwód, ponieważ Kornelia stawszy się chrześcijanką, splamiła stan swój i jego honor.

Urbicus znał Kornelię od dzieciństwa jako wesołą i dowcipną osobę, nie wątpił nawet, że skarga na nią jest bezpodstawna, wiadomość jednak o przytułku sierot Ptolomeusza zajęła go tem bardziej.*) Tu było odkrycie wielkiej wagi.

---

*) Oszczerstwa, które Żydzi na chrześcijan potworzyli, jedne skierowane są przeciw wierze, drugie przeciw moralności. Oskarżano ich jako bezbożnych, ateistów, a zarzucano im z drugiej strony najohydniejsze występki. W rozdziale 10. dyalogu z Tryfonem Żydem przytacza je nam Justyn. Tak n. p. mówiono, że chrześcijanie na swych zebraniach zabijają dzieci, jedzą ich mięso, poczem gasi się światło, a oni dopuszczają się najohydniejszych zbrodni. Pierwszy zarzut zdaje się, że poszedł ze źle zrozumianych słów o Komunii św. (Kto nie pożywa Ciała Mego i nie pije

Urbicus postanowił więc z całą pewnością wystąpić przeciw zbrodni, na której ślad wpaść mu się udało.

Aby proces prędzej załatwić, Cecylian idąc za wskazówką prefekta, usunął na razie skargę przeciw Justynowi, oskarżając tylko Ptolomeusza, że zwiódł Kornelię, przeciągając ją do sekty.

O całej sprawie powiadomiony został i cesarz, przedtem jednak postanowił prefekt prywatnie pomówić z Kornelią, chcąc później sprawę, jako proste oszczerstwo przedstawić; nie wątpił bowiem ani chwili, że to nieprawda.

Kornelia zbladła, kiedy po długim wstępie Urbicus zeszedł na właściwą przyczynę swych odwiedzin.

— Mogłabym śmiało odpowiedzieć na skargę wielce szlachetnego i cnotliwego Cecyliana, że nie jestem chrześcijanką. Nie jestem nią jeszcze — odrzekła Kornelia — ale chwila obecna zmusza mnie i robi mię chrześcijanką, i żadna moc odtąd, żadna namowa nie skłoni mnie, bym kiedykolwiek więcej bogom ofiarowała.

Mej Krwi itd.) Uważano przeto chrześcijan za ludzi bez religii i Boga, jako wyrzutków społeczeństwa, którzy przez swe występki ściągają gniew bogów i są przyczyną publicznych nieszczęść. To też, czy wylał Tyber, czy wojska rzymskie pobito, czy zaraza wybuchła, musieli to chrześcijanie odpokutować. Nadaremnie apologeci chrześcijańscy to zbijali, napróżno zapewniali wśród najstraszliwszych mąk męczennicy, że u nich nie dzieje się nic złego, przeświadczenie to trwało u pogan i było powodem tylu krwawych prześladowań.

— Ależ Kornelio! Jesteś potomkiem tak znakomitego rodu, obdarzoną tak pięknymi przymiotami, Rzym podziwiał cię dotąd, jako wzór wszelkich cnót kobiecych! I ty przystępujesz do tej wstrętnej sekty, która tak ohydnych zbrodni się dopuszcza?

— Tak samo myślałam i ja, zacny prefekcie, pierwej, teraz jednak poznałam nauki chrześcijańskie i zapewniam cię, przysięgam ci, tobie, prefektowi Rzymu, że to tylko oszczerstwo! Te nauki, do których się teraz z całego serca przyznaję, tysiąc kroć wznioślejsze są, niż wszystkie nauki filozoficzne.

Prefektowi przyszło na myśl schronienie na Clivus Cinnae.

— To jest właśnie ohydne postępowanie, że adeptom (chcącym przystąpić dopiero do wiary chrześcijańskiej) ukazują chrześcijanie pewien pozór cnoty, dopiero wtajemniczywszy ich zupełnie, zmuszają potem straszliwemi przysięgami do milczenia i spada zasłona.

— Nie, nie! mogłabym ci wymienić chrześcijan od lat wielu, od dzieciństwa będących wyznawcami tej religii, a musiałbyś i ty podziwiać ich, jako wzór wszelkich cnót. Pamiętasz ty tę niewolnicę w amfiteatrze? — ciągnęła dalej głęboko wzruszona — której dzikie zwierzęta tknąć nie śmiały? Odwiedzałam ją w więzieniu, poznałam

ją bliżej, o żebyś ty wiedział, co to za szlachetna istota była, a ty okrutniejszy od dzikich zwierząt, skazałeś ją na śmierć! Mówisz, że Rzym podziwiał mnie dotąd, jako wzór cnót kobiecych; Rzym zaślepiony przesądami nie chce widzieć prawdziwej cnoty, która zeszła na jego horyzoncie. Mówisz o mem urodzeniu, o mych zdolnościach, jakże mało waży to wszystko wobec tego, żem znalazła prawdę!

Urbicus powstał; widział, że tu cała jego wymowa nic nie poradzi. Pomny dawnych stosunków przyjaźni poradził Kornelii wnieść prośbę do cesarza jeszcze dzisiaj, uporządkować swe stosunki majątkowe, zanim na mocy skargi wniesionej przez męża, przed sąd ją zawezwie.

Tegoż dnia jeszcze uwięziono Ptolomeusza, dzieci i całą służbę z willi na Monte Mario.

— Co? — zawołał cesarz zdziwiony do najwyższego stopnia — Kornelia ma być chrześcijanką? Czyż jest w Rzymie kobieta więcej szacunku godna, niż ona? Pomieszało się jej pewnie w głowie z żalu i gniewu, że mąż jej takie życie prowadzi. Niech mnie bogowie zachowają od tego, abym miał być narzędziem podłej zemsty w ręku tego nędznika!

— W procesie rozwodowym sprawa religii niech nie będzie wcale poruszoną! Co zaś do owego kapłana i dzieci użyć wszystkiego, aby zeznania złożyli i ukarać ich z całą surowością prawa.

(Święty Justyn wyraźnie mówi, że starano się dzieci i sługi skłonić do oskarżenia swych rodziców i panów, jako chrześcijan: „Zmuszano sługi do zeznań przeciw panom, i starano się wszelkiemi niegodziwymi środkami skłonić nawet dzieci do oskarżenia swych rodziców.“)

Całą noc nie zasnął cesarz. Nad ranem wezwał do siebie swego powiernika i dawnego nauczyciela Rustikusa, a zobowiązawszy go do najściślejszego milczenia przysięgą, wysłał go z ważnem, tajemnem zleceniem do Kornelii.

Skoro tylko prefekt wyszedł, posłała Kornelia natychmiast po biskupa Aniceta; upadłszy mu do nóg, opowiedziała mu wszystko i błagała go gorąco o udzielenie jej Chrztu świętego.

Już się zbliżyła Wielkanoc, ponieważ jednak Ptolomeusz potwierdził, iż Kornelia pouczona już jest o prawdach wiary przez niego, przyrzekł jej papież, że udzieli jej Chrztu świętego nawet bez odbycia katechumenatu.

Rozmowa, którą miał Rustikus z Kornelią, trwała długo, bardzo długo, nie udało się jednak Rustikusowi wyjednać u Kornelii tego, czego się spodziewał cesarz.

— Czyż to pojmujesz — rzekł wreszcie zniechęcony — że jeszcze żadnej kobiecie podobnego zaszczytu nie uczyniono? Być żoną Marka Aurelego! Czyż znajdziesz szlachetniejszego człowieka, cnotliwszego męża nad niego na tej ziemi? Cóż możesz na świecie więcej sobie wymarzyć, jak

zostawszy żoną takiego człowieka, tron cesarski z nim dzielić?

Głęboko wzruszona Kornelia odrzekła:

— Przed pół rokiem podobne poselstwo ze strony największego i najszlachetniejszego z władców napełniłoby mnie najwyższą radością. Teraz nie mogę korony wiecznej chwały zamienić na dyadem, który śmierć mi zedrze kiedyś z głowy.

— Pozostawiam ci jeszcze do wieczora czas do namysłu.

— Pod warunkiem zrzeczenia się wiary, nigdy! Jeżeli mi Bóg łaski tej udzieli, mogę umrzeć jako męczennica dla Niego, ale zaprzeć się Go, wyrzec, za największą cenę nie mogę i nie powinnam. Powiedz cesarzowi — rzekła głosem drżącym od wzruszenia — powiedz mu, że do ostatniego tchnienia będę się modlić za niego, aby mu Bóg błogosławił, oświecił go i wynagrodził za jego cnoty.

— Lubo twierdzisz, że wszystko, co o tej sekcie mówią jest oszczerstwem, musi ona mieć do rozporządzenia jednak tajemne czarnoksięskie środki, że nawet obałamucić potrafiła ciebie, podziwianą w Rzymie dotąd z powodu wielkiego ducha.

Z temi słowy pożegnał się Rusticus i wyszedł.

Zostawszy samą, upadła Kornelia na kolana i ukryła twarz w dłoniach. Skąd nabrała dzisiaj tyle siły do takiej ofiary? Sama tego pojąć nie

zdołała. Zdawało się jej, że jakaś niewidoma potęga każde słowo jej do ust podawała. Nie przeczuwała, że w chwili tej pokusy stał przy niej anioł, Blandyna, dziewica i męczennica.

Przesłuchanie dzieci nie dało rezultatów, jakich oczekiwał prefekt miasta. Pytał każde z osobna, czy od czasu do czasu które z nich gdzie się nie podziało, nie zginęło; czy nie przychodzili do tego domu czasem w większej liczbie mężczyzni i kobiety, na wszystko odebrał odpowiedź przeczącą. Nie pomogły głaskania i groźby, słodycze i chłosta, dzieci wszystkie powtarzały tylko, że rodzice ich byli chrześcijaninami, którzy za wiarę śmierć ponieśli, że one także są chrześcijaninami i że kochają swego ojca Ptolomeusza z całego serca.

Względem służby używano i tortur, ale i tu odpowiedź brzmiała: u nas nie dzieje się nic złego. Urbicus był pewny, że odkrył miejsce schadzek, gdzie chrześcijanie swe ohydne uczty odprawiają i zawiódł się wielce. Złość swą postanowił wywrzeć na Ptolomeuszu.

Mnóstwo ciekawych, wpośród nich także chrześcijanie, Justyn filozof, kapłan Lucyusz nawrócony przez Ptolomeusza i wielu innych zeszło się na F o r u m, aby przysłuchać się rozprawie. Krescens otrzymał na wieczór zaproszenie od Cecyliana, a cóż lepiej zdołałoby mu uprzyjemnić ucztę wieczorną, jak skazanie na śmierć chrześci-

jan? Spodziewał się tu także spotkać Justyna, a nuż nadarzyłaby mu się pożądana sposobność wydania i jego w ręce sędziego, czy nie zadowoliłby przez to chęci zemsty?

Urbicus ze sędziami zajęli miejsce na wywyższeniu, liktorzy z pękami rózg i toporem ustawili się po obu stronach.

Wprowadzono Ptolomeusza.

Po zwykłych pytaniach o pochodzeniu, stanowisku, zapytał przewodniczący:

— Jesteś chrześcijaninem?

— Jeżeli ktoś czegoś się zapiera — odrzekł starzec — to albo uważa sam siebie niegodnym jakiej sprawy, albo uważa tę sprawę za niegodną swej osoby. Jeżeli się o wiarę rozchodzi, prawdziwy chrześcijanin ani jednego, ani drugiego uczynić nie może.

— A więc jesteś chrześcijaninem?

— Tyś powiedział.

Nie pytając o nic więcej, Urbicus podpisał nań wyrok śmierci. W tejże chwili odezwał się głos z tłumu:

— Czyż starzec ten zabił kogo, dopuścił się wiarołomstwa, kradzieży, albo zbrodni jakiej? Jak możesz go skazywać na śmierć dlatego tylko, że jest chrześcijaninem? To wyrok niegodny ani ciebie, ani cesarza, ani filozofa, ani prześwietnego senatu!

Skazanie na śmierć Ptolomeusza, kapłana.

Był to Lucyusz, który ten zarzut uczynił prefektowi. Rozdraźniony tem Urbicus, spojrzał na mówiącego i zapytał:

— Pewnie i ty należysz do tej klasy ludzi?

— Tak jest — odrzekł Lucyusz.

— Liktorzy, ująć go natychmiast!

— Dziękuję ci — odrzekł zasądzony — że mnie uwalniasz od poddaństwa tak niesprawiedliwych władzców, a posyłasz mnie do mego niebieskiego ojca i króla.

— Justyn jest także chrześcijaninem! — zawołał naraz Krescens, widząc jak szybko się ułatwiał prefekt z chrześcijaninami, chcąc skorzystać ze sposobności i wywrzeć na Justynie swą zemstę.

Rzeczywiście powstał już prefekt i począł szukać oczyma Justyna, wtem głos jakiś się odezwał:

— To już tak daleko rzeczy zaszły, że każdy nędznik może swego nieprzyjaciela napiętnować imieniem chrześcijanina, aby go tylko wydać w ręce liktorów?

Szmer zadowolnienia dał się słyszeć w tłumie, ale Urbicus tem jeszcze bardziej rozdraźniony, kazał mówcę przyprowadzić przed siebie i rzekł:

— Ciebie tu nikt nie doniósł, powiedzże teraz, czy jesteś chrześcijaninem.

— Tak jest.

— Skazuję i ciebie przeto na śmierć!

— Bogu dzięki!

Liktorzy pochwycili go i skrępowali wraz z innymi. Głośny szmer oburzenia powstał w tłumie.

— Nie jestem wcale chrześcijaninem — rzekł jeden ze stojących obok Krescensa — ale oświadczyć muszę, że jeśli na słowo tego wieprza, porządny obywatel ma stracić życie, to pod najsprawiedliwszym z cesarzów powędrowała sprawiedliwość chyba gdzieś między Scytów.

To uratowało Justyna.

— Gdzie jest delator, szpieg, donosiciel? — poczęto wołać.

— Patrzcie! ten tu wieprz — rzekł stojący obok Krescensa — złamanego szeląga nie wart gałgan i chce porządnego człowieka wtrącić w nieszczęście.

— Precz z opasłym wieprzem! — rozległy się głosy i gdyby Krescens nie począł szybko zmykać, źleby mu było poszło. Tak więc skończyło się na oberwaniu tylko kilka szturchańców.

— Puh! — jęknął, wydostawszy się na wolne miejsce i obcierając pot z czoła. — A to hołota! Żebym tak dobrych nóg nie miał, kto wie, jakby ze mną było... Ale Justyn musi krwią swoją zapłacić te szturchańce.

Tejże nocy postępował drogą appijską orszak pogrzebowy; v e s p i l l o n e s (grabarze) nieśli ciała straconych trzech męczenników. F o s s o r e s wykuli dla nich grób wspólny. Wśród wiernych była także Cecylia i Kornelia. Na prośby

Kornelii wymalowano na grobie męczenników historyę trzech młodzieńców babilońskich, wzbraniających się na rozkaz Nabuhodonozora złożyć cześć złotemu posągowi króla. Obraz ten spotykamy często na sarkofagach.

W dwa dni po pogrzebie męczenników wręczył Justyn senatowi rzymskiemu apologię, czyli obronę chrześcijan. Zaczynała się ona od słów:

— To, co w waszem mieście, o Rzymianie, wczoraj i przedwczoraj zrobił Urbicus, a w podobny sposób wszędzie robią sędziowie wbrew wszelkiej sprawiedliwości, zmusza mnie do skreślenia tego pisma.

Nie wymieniając nazwisk, opowiada potem o rozwodzie Kornelii, straceniu trzech męczenników, broni nauki i moralności chrześcijan i prosi potem senat, aby to pismo ogłosił publicznie, aby Rzymianie nie byli dłużej w błędzie względem chrześcijan i żeby ich za to tylko, że są chrześcijaninami na śmierć nie skazywano.

Cesarz polecił całą sprawę zbadać, zganił prefekta za jego zbyt surowe postępowanie i własnoręcznym edyktem wyrok śmierci ogłosił na każdego, który przed sąd pozwie chrześcijanina jedynie za wyznanie wiary Chrystusa.

Wszystko to przypisywali chrześcijanie apologii Justyna, właściwy powód jednak mógłby podać tylko Rusticus.

* * *

Na Wielkanoc udzielił biskup Anaklet nowonawróconym Chrztu św. W liczbie ochrzconych byli Justyn i Kornelia. Oboje znaleźli spokój, którego filozof nadaremno szukał po manowcach ludzkiej mądrości, a dama wielkiego świata w hołdach i bogactwach doczesnych.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

		Str.
I.	Uczta	5
II.	Uroczystości	18
III.	Nieznajomy	30
IV.	Męczennica	41
V.	Walka	59
VI.	Narzeczona	69
VII.	Zwycięstwo	79

Czcionkami Karola Miarki w Mikołowie.